Warto zapytać o kulturę 2

CZŁOWIEK
DUCHOWOŚĆ
PRZEDSIĘBIORCZOŚĆ

Warto zapytać o kulturę 2

CZŁOWIEK
DUCHOWOŚĆ
PRZEDSIĘBIORCZOŚĆ

Redakcja
Maria Szyszko
Krzysztof Czyżewski

Białystok – Sejny 2007

KRZYSZTOF CZYŻEWSKI

Zagajenie

Dlaczego sympozjon?

Gerhard Wehr, w niedawno opublikowanej w Polsce biografii Martina Bubera podkreśla troskę wielkiego filozofa z Lwowa o autentyczny dialog, który w naszej epoce ustępuje miejsca udającemu jedynie dialog monologowi. Na potwierdzenie zasadności tej troski przywołuje słowa wybitnego teologa katolickiego i historyka idei Hansa-Ursa von Balthasara, które są dobrym wprowadzeniem do refleksji nad potrzebą sympozjonu dzisiaj: „Kiedy publiczność opuszcza wielkie sale, gdzie zebrały się tłumy z okazji przyznawania nagród czy świętowania jubileuszy, pozostaje – o ile szczęście dopisze – kilka osób, które chcą wziąć udział w wywiązującej się właśnie rozmowie. Fakt, że jeszcze w ogóle się rozmawia, wydaje się rodzajowi ludzkiemu tak nieprawdopodobny, beznadziejny i nieekonomiczny, że prawie nikt już nie słucha”[1].

Ideą sympozjonu jest mądrość zdobywana w rozmowie z innymi. Chodzi o spotkanie, budowane przez tych, którzy

[1] H. von Balthasar, *Einsame Zwiesprache. Martin Buber und das Christentum*, Koln 1958; cyt. za G. Wehr, *Martin Buber. Biografia*. Przeł. R. Reszke. Warszawa 2007, s. 323.

uczestniczą, dzieląc się refleksją i słuchają. Nie chodzi tu o zgromadzenie specjalistów z wybranej dziedziny, o konferencję czy seminarium. Nie chodzi także o spektakularną imprezę dla licznej widowni. Taka rozmowa nie może toczyć się wśród wielu osób, ale za to może w niej uczestniczyć każdy.

Mimo że sympozjon pociąga za sobą koszty i wymaga wysiłku organizacyjnego, powinien być wolny od utylitaryzmu w postaci wniosków końcowych, zadań i projektów, które się podczas jego trwania powinno wymyślić oraz każdej innej formy udowadniania sobie i innym, że płyną z niego wymierne korzyści. To uwolnienie – o czym wiedzieli już starożytni – rodzi niezależne myślenie, otwiera na to, co nowe, niewyobrażalne, przekraczające ramy uwarunkowań, które decydują o naszym życiu i działaniu na co dzień.

W sympozjonie nie uczestniczy się na co dzień – to wejście na chwilę w inną przestrzeń, tak jak świąteczną, oderwaną od biegu „wszystkich naszych dziennych spraw", w której władają myślenie, wyobraźnia i dialog. Nie ma referatów, raczej zagajenia wprowadzające do dyskusji, która jest sednem spotkania. Głos zabierają ludzie różnych profesji, o różnym doświadczeniu życiowym i posługujący się różnymi językami w nazywaniu świata. Nie trudno w takiej sytuacji o chaos w rozmowie, o nagłe obniżenie jej lotów, o brak cierpliwości i kłopot z uważnym wysłuchaniem każdego głosu. Jednak w chwilach, gdy uda się te trudności przezwyciężyć, rozmowa nabiera temperatury, staje się niepowtarzalna, inna niż w zaklętych kręgach naszych profesji czy środowisk. Dlaczegóż by nie porozmawiać o Platonie w gronie złożonym nie tylko z zawodowych filozofów? Albo o ostatnim filmie Almodóvara, bez użycia całego sztafażu interpretacyjnego narzucanego nam przez krytyków filmowych? Albo o współczesnych zależnościach i powinowactwach artysty i przedsiębiorcy? Przecież mamy na ten temat

niemało do pomyślenia i wiele do powiedzenia, bo żywo nas to dotyka, odnosi się do naszych marzeń i życiowych losów. Tylko kiedy mamy o tym pomyśleć i gdzie o tym porozmawiać, skoro w mediach i na uczelniach królują wyłącznie eksperci, w klubach i kawiarniach już od dawna nie prowadzi się dyskusji, nie pisze się listów, w domach panuje telewizor, w internecie nie można wymienić spojrzenia albo pomilczeć przez chwilę... Oczywiście udaje się czasem wywalczyć przestrzeń dla myślenia i publicznego wyrażania własnej refleksji w internecie, czasem w jakimś klubie albo innej enklawie życia społecznego. Przypomina to odzyskiwanie terenu od pustyni, przykrywającej piaskiem okolicę, w której jeszcze niedawno istniały nieprzebrane – wydawałoby się – zasoby wody i bujnej roślinności. Sympozjon odzyskuje przestrzeń dialogu w świecie, w którym zamilkła rozmowa o sprawach istotnych, a poszczególne dziedziny życia pozamykały się w osobnych dziuplach swoich specjalizacji.

Mam szczęście od wielu już lat uczestniczyć w Remarque Forum, kameralnym sympozjonie organizowanym przez Remarque Institute przy Uniwersytecie Nowojorskim. Jego duszą jest Tony Judt, wybitny historyk i publicysta. Do kilkudniowej rozmowy, toczącej się za każdym razem w innym miejscu świata, zasiadają ludzie bardzo znani i bezimienni, z wielkich i małych krajów, profesorowie renomowanych uczelni, zdobywcy Nagrody Pulitzera, liderzy organizacji pozarządowych, pisarze, dyplomaci, bankierzy, politycy szczebla rządowego i samorządowego... To wszystko, tytuły i nazwiska, są ważne tylko do momentu rozpoczęcia rozmowy – od tej chwili liczy się jedynie to, co każdy z uczestników ma do powiedzenia i jaką kulturę dialogu sam reprezentuje.

Nie od razu zrozumiałem dlaczego ci, często bardzo dobrze sytuowani ludzie, gotowi są w dowolnej chwili oderwać się

od swoich powinności zawodowych albo odwołać udział w ważnych konferencjach i stawić na każde spotkanie małego kręgu ludzi, oddającego się jedynie rozmowie. Szybko uświadomiłem sobie jednak, że kieruje nimi nieprzeparta tęsknota za tak właśnie rozumianą rozmową, wyzwalającą żywioł nieskrępowanego myślenia, który z kolei dotyka spraw dla naszego życia ostatecznych.

Przecież nie chodzi w sympozjonie o informacje na temat innego kraju albo innej dziedziny działalności niż ta, którą sami się zajmujemy. Nie chodzi też o przybycie do miejsca, którego dotąd nie poznaliśmy. To wszystko są sprawy poboczne, o które warto z pewnością zahaczyć, ale przy okazji. Istotne skrywa się w obszarze naszego autentycznego zatroskania. Jest dotknięciem tego, co nas boli, nie pozwala spać, fascynuje i niepokoi. Świętem jest czas, kiedy możemy ujrzeć swoje życie, niezrealizowane jeszcze idee w innej perspektywie i pozyskać dla nich nową inspirację, kiedy udaje nam się odemknąć drzwi zatrzaśnięte przez konieczności życiowe, kulturowe uwarunkowania, przynależność grupową, osobiste ograniczenia. Świętem jest czas, kiedy można o tym porozmawiać w gronie osób z innych obszarów i środowisk, u których sympozjon przebudzi podobne oczekiwanie i tęsknotę. Taka rozmowa, powtórzmy to jeszcze raz, powinna być wolna od doraźnych celów i wymiernych korzyści, którymi tak często obciąża się nasze myślenie i spotykanie się w czasach, kiedy na pragmatyczne pytanie „jak żyć" odpowiedzi szuka się raczej w prawach rządzących rynkiem niż w filozofii.

Sympozjon „Warto zapytać o kulturę" od początku swego istnienia mierzył się z pytaniem „dlaczego sympozjon?", za którym kryły się różne wątpliwości typu „a komu to potrzebne?" i „co z tego wyniknie?" Pomagając w jego przygotowaniu

i prowadzeniu, przekonałem się, jak trudno w naszej polskiej rzeczywistości ery transformacji wywalczyć przestrzeń możliwości do zaistnienia takiej rozmowy.

W swoich poczynaniach twórczych niejednokrotnie już znalazłem się w sytuacji tego, który naraża się na krytykę czy – co gorsze – obojętne wzruszenie ramion tych, którzy stoją na gruncie ustalonych konwencji, przyjętej wiedzy, oswojonej estetyki. Tworzyłem teatr awangardowy, publikowałem nieprawomyślne książki, pisałem dobrze o amatorze, a źle o profesjonaliście, budowałem placówkę kultury, której dotychczas jeszcze nie było... Nigdy jednak nie przypuszczałem, że niemal równie prowokujące i w jakimś sensie „nowatorskie" będzie pomaganie tym, którzy w publicznej przestrzeni chcieli znaleźć miejsce i formę dla istotnej rozmowy.

To nie inicjatorzy sympozjonu – a myślę tu przede wszystkim o ludziach kultury z Podlasia, takich jak Maria Szyszko – kierowali się instynktem nowatorstwa. Wszak odwoływali się do sympozjonu, formy starej jak świat. To nasza rzeczywistość uczyniła z nich twórców niekonwencjonalnych. Któż poważny kwestionowałby dzisiaj miejsce teatru eksperymentalnego w kulturze? Albo kontrowersyjnego zachowania (bo o treści już nie wspomnę) pisarza lub artysty? Rynek kupił przełamywanie konwencji w kulturze jako jedną z najbardziej dochodowych konwencji. Ale jakieś tam gadanie? Sympozjon? Wolne żarty. I to ten opór materii, silny niewątpliwie i realnie odczuwalny przez uczestników spotkań „Warto zapytać o kulturę", tym bardziej uwydatnił tęsknotę za tym, co naszemu życiu zostało odjęte albo zdeprecjonowane, a co korzeniami tkwi głęboko w wewnętrznej potrzebie człowieka.

W momentach spojrzenia na życie z lotu ptaka, kiedy wspominamy bliskie osoby, które odeszły albo staramy się uchwycić istotę naszego podniebnego bytowania, przywołujemy

najczęściej nie to, co ktoś kiedyś umieścił w książce, na obrazie czy w spektaklu, ale to, co ktoś powiedział w rozmowie z drugim człowiekiem, w obecności innego. Uświadomiłem to sobie, słuchając Czesława Miłosza w jego późnych latach, kiedy w rozmowach często przytaczał wypowiedzi Vincenza, Giedroycia, Jean Hearsch i innych osób, z którymi dane mu było prowadzić dysputy. Jakby w tym człowieku, który przez całe życie wręcz pożerał kulturę – książki, wystawy, spektakle, koncerty – pozostały żywe jedynie głosy ludzi biorących udział w rozmowie. Przyznaję, że nie wiem, czy tak zdarza się najczęściej. Wiem natomiast, że poza tym, co zostało stworzone i zachowane w wielkim archiwum dzieł kultury, istnieje cała sfera tego, co zostało wyrażone w rozmowie, listach, modlitwach, relacjach międzyludzkich i co równie silnie może zmieniać nasze życie, decydować o naszym światopoglądzie i światoodczuwaniu, co jednak nie ma ani swojego archiwum, ani okienka w mediach.

Nie twierdzę, że spotkania, które odbyły się w Sejnach, Tykocinie i Supraślu, były takim idealnym sympozjonem, o którym pisałem wyżej. Co najmniej jednak stworzyły szansę zaistnienia różnych elementów publicznego dialogu, który wyzwala myślenie, wyobraźnię i otwarcie na to, co inne. Z każdą nową odsłoną przybywa nam również odwagi, by uwolnić się od presji form konwencjonalnych i utylitarnych zobowiązań. I tak na przykład na pierwszym spotkaniu wiele czasu poświęciliśmy na „konkretyzowanie" różnych wspólnych przedsięwzięć i pomysłów, które rodziły się w trakcie dyskusji. Samo życie i bieg spraw w okresie pomiędzy spotkaniami nauczyły nas jednak, że te kwestie powinny być rozstrzygane podczas sesji roboczych, w mniejszych gronach i innymi narzędziami, i że sam sympozjon powinniśmy ocalić dla czegoś, czego nie są w stanie dać nam rozmaite konkretyzacje i czego brak silnie odczuwamy. W ten

sposób, przez wierność pierwszej potrzebie, która dała początek rozmowie i na przekór głosom sceptyków, każde spotkanie przybliżało nas do istoty sympozjonu.

Twórcy kultury i przedsiębiorcy – dlaczego razem?

Człowiek, istota myśląca i sercem obdarzona, pełen jest sprzeczności i rozdarcia. Znakomicie wyraził to Franz Kafka w *Aforyzmach z Z*ürau, gdy pisał o człowieku przykutym łańcuchami do nieba i ziemi: „Kiedy wybiera się na ziemię, dusi go łańcuch nieba; chce do nieba, gardło ściska mu łańcuch ziemi”[2]. Dlatego dialogiczność, nieustanne bycie w relacji wobec innego, znajduje się w centrum dramatu ludzkiego życia. Można próbować się przed tym bronić, jak w twierdzy zamykając się w różnych formach monologu. Sympozjon zwraca się twarzą ku tej prawdzie o naszej naturze i stara się z łańcucha uczynić most, ze zniewolenia obcością możliwość zabliźnienia jej w całość .

Fakt, że w trakcie sympozjonu spotykają się ze sobą ludzie sztuki i biznesu, a w jednej książce sąsiadują ze sobą teksty o myśleniu i duchowości z tekstami o zarządzaniu i finansowaniu, daje wyraz prawdziwej kondycji człowieka. Natomiast rozdzielenie obu tych sfer naszego życia, absolutyzowanie jednej z nich kosztem eliminacji lub niedostrzegania innej, wprowadza fałsz do naszych działań i zakłamuje myślenie.

Cierpimy, gdy wyrywając się ku górze i starając się czynić zadość naszym duchowym aspiracjom, czujemy na gardle ucisk ziemskiego łańcucha. Bunt przeciw wyrokom losu nie powinien

---

[2] F. Kafka, *Aforyzmy z Zürau*. Przeł. A. Szlosarek. Kraków 2007, s. 66.

nas jednak oślepić. Bardziej niż ci, którzy nie odnaleźli jeszcze prawdy, błądzą ci, którzy się na nią obrażają. Wyjściem z tej sytuacji jest usiłowanie uczynienia z tego bólu naszej siły. Rozpoznając jego naturę i pozyskując umiejętności radzenia sobie z nim, nie uwolnimy się od zniewalającego nas łańcucha, ale sprawimy być może, że będziemy mogli iść dalej i wyżej, jego ciężar i mitręgę mając za towarzyszy podróży.

Nasze działanie twórcze przypomina wyprawę w wysokie góry. Przygotowując się do niej musimy zadbać o właściwy ekwipunek – dobre buty, ciepły śpiwór, zapas jedzenia, mapę i wiele innych potrzebnych rzeczy. Bez nich – tak samo jak bez odwagi, wiary i tęsknoty – polegniemy w drodze albo zawrócimy pokonani. Cała sztuka w tym, by przetrwać noc na zboczu i iść dalej, aby nie spaść, czy w inny sposób nie ulec koniecznościom życiowym lub przeciwnościom losu. I nawet anioł nie wyciągnie ku nam skrzydła, jeśli go nie zagaimy, czyli nie wykażemy minimum przedsiębiorczości.

Warto w tym miejscu ponownie przywołać Martina Bubera, dla którego religijność nie była – jak pisał Gerhard Wehr – „jakąś specjalną dziedziną wyjętą ze świata, jakimś sacrum odgraniczonym od profanum, czymś, co można przeżywać jedynie w formie «religijnych stanów wyjątkowych». Religijność, sądził Buber, zagaduje całego człowieka, nie tylko jego życie emocjonalne, zagaduje go w każdym miejscu, w każdej «doczesnej godzinie»"[3].

Ludzie kultury nie mają monopolu na wysokogórską wędrówkę, w której potrzebne im są narzędzia wypracowane w warsztatach jak najbardziej ziemskich rzemiosł i materiałów. Także przedsiębiorcy podejmują podobne wyprawy, mierząc się z własnymi marzeniami. Potrzebują wówczas narzędzi wypracowanych przez sztukę, filozofię czy teologię. Zwracał

[3] G. Wehr, ibidem, s. 325.

na to uwagę Vaclav Havel, odbierając nagrodę przyznaną mu w Madrycie przez Fundację Ortegi y Gasseta i Instytut Przedsiębiorczości: „Kulturą jest nie tylko twórczość artystyczna, to nie tylko kultura zachowania jednych wobec drugich, nie tylko kultura spotykania się lub stowarzyszania się, ale to też kultura przedsiębiorczości jako tworzenia wartości, które mają i chcą mieć sens. To kultura porządku, którym przedsiębiorczość się kieruje, i wreszcie kultura gospodarki jako organicznego elementu społeczeństwa obywatelskiego”[4].

Równowaga istnieje wtedy, gdy człowiek zaangażowany w działalność gospodarczą potrafi korzystać z dorobku duchowego i udzielać swego warsztatu człowiekowi zaangażowanemu w twórczość artystyczną, jeżeli tym relacjom nie towarzyszy wzajemne dyskredytowanie się, ignorowanie bądź zwalczanie. Taką równowagę trudno jest osiągnąć we współczesnym świecie. Dlatego dzisiaj prawdziwie wysokogórskie wyprawy zdarzają się rzadko. Ludziom kultury nie jest łatwo z ciężarem materialnego „ekwipunku”, którego bądź jest za mało, bądź też wydaje im się zbyt przygniatający i zniewalający dla twórczego ducha. Przedsiębiorcom doskwiera brak „tych spraw”, które wolne są od dyktatu pieniądza i rynku, a skoro już sami otworzą się na wymiar duchowy, zagraża im niewydolność finansowa i pomówienie o folgowanie utopijnym mrzonkom. Można powiedzieć, że w dziejach cywilizacji to nic nowego. Zawsze jednak człowiek zdolny był do wywalczenia przestrzeni autentycznego dialogu, do uczestniczenia w sympozjonie czy innej formie spotkania, która – poprzez pielęgnowanie sztuki myślenia i rozmowy – ustanawiała relacje pomiędzy różnymi sferami życia, respektowała zależności między nimi i przywracała równowagę, jeśli ta została naruszona.

---

[4] V. Havel, *Przemówienie z okazji odebrania Nagrody Juana Lladó*. Przeł. T. Grabiński. „Gazeta Wyborcza” 13 X 2003 r.

W przywołanym wyżej przemówieniu Vaclava Havla, kafkowski łańcuch przemienia się w więzy zależności między tym, co duchowe i tym, co materialne, więzy, których potrzebują obie sfery naszej egzystencji: „Należy ciągle podkreślać, że przedsiębiorczość to przede wszystkim tworzenie wartości, a nie czyste gromadzenie zysku. Owszem, zysk stanowi motor gospodarki rynkowej, ale powinien być bardziej rozumiany jako nieodzowny instrument kreatywności ludzkiej, a nie cel sam w sobie. Przedsiębiorca najsilniej i najlepiej wspiera kulturę w ten sposób, że sam tworzy ją poprzez kulturę swojego przedsiębiorstwa, jego jakość i sensowność. Skala ludzka i socjalna, zdrowy rozum, pokora wobec tajemnic natury i świata, wzgląd na przyszłe generacje, rozwinięte sumienie – to wszystko współtworzy lub powinno współtworzyć kulturę przedsiębiorczości”[5].

Warto w podobny sposób zwrócić się również do filozofów, artystów i innych rzemieślników duchowości – kultura to także zmysł przedsiębiorczości, respekt dla wytwórców dóbr doczesnych, wiedza o strukturze i prawach rządzących światem rzeczy i natury, biegłość w posługiwaniu się techniką. To wszystko, w połączeniu z takimi cnotami jak precyzja, konkretność, racjonalność czy rzetelność, współtworzy przedsiębiorczość kultury.

* * *

Drugi tom edycji „Warto zapytać o kulturę”[6] nosi tytuł *Człowiek – Duchowość – Przedsiębiorczość*. Zebrane w nim teksty oraz głosy w dyskusji poruszają kwestie, które dla uczestników

---

[5] Ibidem.

[6] Pierwszy tom edycji „Warto zapytać o kulturę” ukazał się w 2005 r. jako zapowiedź pierwszego sympozjonu zorganizowanego w Sejnach i klasztorze wigierskim w tymże roku. Zawiera wypowiedzi szerokiego kręgu animatorów kultury Podlasia na temat tożsamości regionalnej.

dwóch ostatnich sympozjonów okazały się najistotniejsze – wzajemnych zależności pomiędzy życiem duchowym a nowoczesnością oraz pomiędzy działalnością kulturalną a przedsiębiorczością. Nie stanowią one jednak wiernego zapisu przebiegu obu sympozjonów, które odbyły się w Tykocinie i Supraślu. Złożona z nich książka powstała niejako przy okazji albo z inspiracji debaty toczonej na podlaskim forum. Tylko trzy z publikowanych tekstów – autorstwa ks. Henryka Paprockiego, Tadeusza Gadacza i Edwina Bendyka – stanowią autentyczne zagajenia do rozmów w trakcie sympozjonu. Większość pozostałych zastała napisana w odzewie na prośbę redaktorów tomu bądź też przez nich odkryta jako istotne nawiązanie do wątków poruszanych podczas sympozjonowych debat (teksty Bernda Kauffmanna i Audronisa Imbrasasa). W rezultacie tych poczynań, a także dzięki społecznemu zaangażowaniu większości osób pracujących nad powstaniem tej książki (włączając w to także autorów tekstów), powstał dodatkowy owoc sympozjonu „Warto zapytać o kulturę". Miejmy nadzieję, że okaże się on użyteczny zarówno dla uczestników sympozjonu, jak i dla innych czytelników zainteresowanych myśleniem i działaniem w świecie współczesnym, w tym zwłaszcza dla przedsiębiorców i animatorów kultury.

CZŁOWIEK
DUCHOWOŚĆ
NOWOCZESNOŚĆ

KS. HENRYK PAPROCKI

Na rozdrożu

Dla Oli

Od czasu do czasu w historii SĄ wydarzenia tak dramatyczne i groźne, że ludzie czują, iż znaleźli się na rozdrożu, nie wiedzą, co dalej i gdzie się udać.

Takim wydarzeniem był upadek Cesarstwa Rzymskiego na Zachodzie, rewolucja przemysłowa, wszelkie możliwe przewroty polityczne i bunty, wojny, i różnego rodzaju kataklizmy.

Nie przeżywamy obecnie upadku państwa, rewolucji, wojen i kataklizmów, a mimo to ludzie czują się zagubieni. Zdecydowana większość ma świadomość bycia na rozdrożu.

„Być na rozdrożu" nie jest sprawą ani łatwą, ani prostą. Trwanie na rozdrożu narzuca pytanie nie tylko o kierunek drogi, ale także o sens – już nie drogi – ale egzystencji.

Dlaczego więc blisko dwadzieścia lat po upadku reżymu, który nawet nie proponował żadnej drogi, ludzie znaleźli się na rozdrożu? Przede wszystkim na rozdrożu cywilizacyjnym i kulturowym. Także politycznym i technicznym.

Nie jest to *de facto* sytuacja związana wyłącznie z ostatnimi latami. Ostatnie lata jedynie ją pogłębiły. Po załamaniu się systemu średniowiecznej pewności i po różnorakich perypetiach związanych ze zmianami ideologii, ludzkość znalazła pociechę

i sens w koncepcji wiecznego rozwoju, zwycięstwa nad chorobami, śmiercią oraz w idei wiecznego pokoju. Rok 1914 przekreślił wszystkie te nadzieje. Pierwsza wojna światowa bardziej była klęską określonej ideologii niż poszczególnych imperiów. Nie przypadkiem po pierwszej wojnie światowej zaczyna stopniowo stawać się coraz bardziej popularna filozofia rozpaczy. Emil Cioran, myśliciel popularny w okresie międzywojennym i bezpośrednio po drugiej wojnie światowej, znowu staje się modny. Jest to pewien symptom losu cywilizacji.

Cioran głosił, że „tkwimy w otchłaniach piekła, w których każda chwila jest cudem"[1]. Stąd też można oczekiwać jedynie rzeczy coraz straszniejszych: „Można przyjąć za pewnik, że wiek XXI, skądinąd bardziej zaawansowany od naszego, Hitlera i Stalina będzie uważał za niewinnych młodzianków"[2]. „Jakkolwiek bylibyśmy pozbawieni złudzeń, kiedyś z pewnością wydamy się naiwni, bo przyszłość dalece przerośnie nasze najczarniejsze wizje"[3]. Wizję radosnego postępu zastąpiła więc wizja czarnej rozpaczy.

Wszystkie nasze dotychczasowe przekonania zostają postawione na głowie, bo jak inaczej można zrozumieć słowa: „Grzech przewyższa cnotę. Jest w nim nadmiar cierpienia i samotności, jakiego próżno by szukać w »spokojnym sumieniu« czy »dobrych uczynkach«"[4]. W tej perspektywie filozof nie może znieść niczyjej troski o jego zbawienie[5] i po prostu uważa, że „nienarodzić się, to bezsprzecznie najlepsze ze wszystkich rozwiązań. Niestety, nikomu nie jest ono dostępne"[6]. Cioran, jak część współczesnych ludzi z naszego kręgu kulturowego, odrzuca istnienie Boga: „Wszystko bez Boga jest nicością, Bóg

---

[1]E. Cioran, *Zły Demiurg.* Przeł. I. Kania. Kraków 1995, s. 120.
[2]Tamże, s. 93.
[3]E. Cioran, *Zeszyty 1957–1972*. Przeł. I. Kania. Warszawa 2004, s. 232.
[4]E. Cioran, *Zmierzch myśli*. Przeł. A. Dwulit. Warszawa 2004, s. 159.
[5]Tenże, *O niegodności narodzin*. Przeł. I. Kania. Kraków 1996, s. 5.
[6]Tamże, s. 165.

zaś jest jedynie nicością najwyższą”[7]. Jednak odrzucenie Boga nie przeszkadza wadzić się z nim: „Historia ludzka to w gruncie rzeczy dramat Boski, gdyż Bóg nie tylko wmieszany jest w proces stwarzania i niszczenia, będący sednem życia, ale cierpi równolegle z nim, za to nieskończenie intensywniej. Jest to wspólne nasze nieszczęście, które – biorąc pod uwagę skalę wielkości – Jego zniszczy być może wcześniej od nas”[8].

Można powiedzieć, że Cioran lubuje się w upadku: „Biada wam, gdy ludzie będą mówić o was dobrze – tymi słowami Chrystus prorokował własny koniec (…). Chrześcijaństwo będzie zgubione, o ile nie spotkają go prześladowania równie bezlitosne jak ongiś, w początkach (…). Być może tylko jakiś nowy Neron mógłby je jeszcze uratować”[9]. Trzeba więc znaleźć jakieś środki zastępcze: „Alkohol, podobnie jak muzyka, zastępuje namiętność do świętości. Tak samo erotyzm i poezja. Są to różne formy zapominania, każda idealnie odpowiada drugiej”[10]. Najlepiej więc mówić o katastrofie całkowitej: „Kilka dni w Bretanii (…). W tej doskonałej samotności nieraz rozmyślałem o czarownych chwilach po wojnie atomowej, nareszcie ziemia bez ludzi”[11].

To już nie jest bezdroże. To jest ślepa uliczka ludzkiego losu. Może bardziej dotkliwa niż upadek Cesarstwa Rzymskiego, przedstawiony w poetyckiej wizji Bułata Okudżawy:

Imperium Rzymskie epoki upadku
Ciągle wyglądało na uporządkowane,
Cesarz był na miejscu, patrycjusze obok,
A życie było piękne, po raportach sądząc.

---

[7] E. Cioran, *Zły Demiurg…*, s. 98.
[8] Tamże, s. 107.
[9] E. Cioran, *O niegodności narodzin…*, s. 125.
[10] Tenże, *Zmierzch myśli…*, s. 10.
[11] Tenże, *Zeszyty 1957–1972…*, s. 98.

Rzymianie imperium epoki upadku
Jedli, co dostali, i upijali się strasznie.
A każdy podpity na rosół był łasy,
Widocznie nie wiedzieli, że to upadku czasy.

Młodzieńcom imperium epoki upadku
Śniły się nieustannie to szkoła, to potyczka,
To oni w ataku, to oni w odwrocie,
To w Afganistanie, a to w Europie.

Rzymiankom imperium epoki upadku
Tylko im, pięknisiom, wszystko się udało,
Wszystkie drogi otwarte przed ich oczyma,
Chcesz to pracuj, a chcesz, to idź na forum[12].

Rzymianie mieli przynajmniej chęć życia. Współczesny człowiek epoki bezdroży uważa, że to też jest dyskusyjna sprawa:

„Chodzi o zwalczanie nie tyle chęci życia, ile chęci posiadania potomstwa. Rodzice – rodziciele – to prowokatorzy albo szaleńcy. Czy jest większy skandal niż to, że najpośledniejszą nawet kreaturę obdarzono zdolnością przekazywania życia, »wydawania na świat«? Jakże bez trwogi czy odrazy myśleć o tym cudzie, mocą którego pierwszy lepszy ludzik staje się demiurgiem pełną gębą? Coś, co powinno być darem równie wyjątkowym jak geniusz, przydzielono wszystkim bez różnicy. Hojność to w kiepskim guście, dyskwalifikująca raz na zawsze naturę.

Zbrodniczy nakaz Księgi Rodzaju – »Bądźcie płodni i mnóżcie się« – nie mógł wyjść z ust dobrego Boga. »Niechaj będzie was mało« – powinien był zasugerować, gdyby

[12] B. Okudżawa, *Ach ty, szarik gołuboj*…. Moskwa 2007, s. 174–176.

w ogóle miał coś do gadania. Nigdy też nie mógłby on dodać tych złowrogich słów »i napełniajcie ziemię«. W pierwszym rzędzie należałoby wymazać je z Biblii, aby zmyć z niej hańbę ich utrwalania (…). Kobiety ciężarne będzie się kiedyś kamienować, instynkt macierzyński będzie wyklęty, bezpłodność spotka się z poklaskiem.

Całkowicie słusznie postępowano w sektach podejrzliwych wobec płodności – u bogomiłów i katarów, którzy potępiali małżeństwo, plugawą instytucję, zawsze chronioną we wszystkich społecznościach, ku wielkiej rozpaczy jednostek niepoddających się powszechnemu wariactwu. Prokreować to kochać plagę i pragnąć, by trwała i srożyła się coraz bardziej. Rację mieli antyczni filozofowie utożsamiający ogień z zasadą wszechświata i z pożądaniem. Albowiem pożądanie pali, pożera i unicestwia (…). W chwili rozkoszy przyjemność osiąga swój szczyt, maksimum intensywności, aby właśnie tam, w apogeum sukcesu, odsłonić nagle swoją nierzeczywistość i ruszyć we własną nicość. Rozkosz to klęska przyjemności.

Nie można przystać na to, by jakiś Bóg, czy nawet człowiek, powstał w wyniku gimnastyki uwieńczonej stękaniem (…). Zdumiewamy się dysproporcją między chwilką zapomnienia a oszałamiającą masą wynikających z niej kłopotów. Im dogłębniej rozważamy tę kwestię, tym wyraźniej widzimy, że tak naprawdę coś z tego wszystkiego pojęli jedynie ci, którzy wybrali orgię lub ascezę – rozpustnicy lub kastraci”[13].

To już byłby nie tylko koniec cywilizacji, ale także koniec ludzkości.

Człowiek powoli, lecz systematycznie podcina już nie tylko konar, na którym sam siedzi, ale po prostu usiłuje zrąbać pień

[13] E. Cioran, *Zły Demiurg…*, s. 9–11.

drzewa, z którego wyrasta cywilizacja. W tym momencie przypominamy sobie dialog Fiodora Karamazowa z jego synami.

Fiodor Karamazow, o rysach twarzy „patrycjusza rzymskiego epoki upadku", pyta kolejno swoich synów o jedną tylko kwestię, która dla niego jest najważniejsza. Najpierw zwraca się do Iwanowa:

– A teraz odpowiedz: jest Bóg, czy Go nie ma? Tylko poważnie. Teraz domagam się odpowiedzi.

– Nie, nie ma Boga.

– Aloszka, jest Bóg?

– Jest Bóg.

– Iwan, a nieśmiertelność jest, powiedzmy, malutka, no, najmniejsza?

– Nie ma nieśmiertelności.

– Żadnej?

– Żadnej.

– To znaczy absolutne zero albo nicość. A może jest jakaś ociupinka? Przecież nie nicość!

– Absolutne zero.

– Aloszka, jest nieśmiertelność?

– Jest.

– I Bóg, i nieśmiertelność?

– I Bóg, i nieśmiertelność. Bóg właśnie jest nieśmiertelnością.

– Hm! Prawdopodobnie Iwan ma słuszność. Boże, pomyśleć tylko, ile to wiary, ile wszystkich sił oddał człowiek daremnie na to marzenie, i to od tylu tysięcy lat! Kto sobie tak pokpiwa z człowieka? Iwan! Po raz ostatni i ostatecznie: jest Bóg czy nie ma? Po raz ostatni!

– I po raz ostatni odpowiadam: nie ma.

– Któż tak sobie podkpiwa z ludzi, Iwanie?

– Diabeł zapewne – uśmiechnął się Iwan Fiodorowicz.

– A diabeł jest?

– Nie, diabła też nie ma.

– Szkoda. Do licha, cóż bym zrobił z tym, który pierwszy Boga wymyślił! Powiesiłbym go na suchej gałęzi, a i tego za mało.

– Gdyby nie wymyślono Boga, nie byłoby w ogóle cywilizacji.

– Nie byłoby? Bez Boga nie byłoby?

– Tak. I koniaczku też by nie było”[14].

Ateista Iwan Karamazow ma przynajmniej świadomość, co stanowi fundament cywilizacji.

W sytuacji takiego bezdroża, braku drogowskazów i wskazówek, czy warto pytać o kulturę? Warto!

Domena sztuki jest bardzo trudna do zdefiniowania i określenia. To, co duchowe nie poddaje się żadnym definicjom, ale zarazem to, co niewidzialne, jest bardziej realne od widzialnego i bardziej od niego potężne. Dzieje się tak nawet w wymiarze empirii. Kultura wypływa z *sacrum*, a nie z *profanum*. U podstaw chrześcijańskiej kultury nie leży żadna instytucja, ani żaden inny autorytet poza Ewangelią. Ewangelia jest bowiem eksterioryzacją świętości wszelkiej literatury. Wszystko wypływa z Ewangelii, a więc ostatecznie z Boga. To On jest źródłem uświęcenia. Ten wielki powrót do jedności świata i Boga, a więc powrót do panenteizmu Apostoła Pawła, jest zarazem drogowskazem dziejów. Sztuka porywa się na malowanie rzeczywistości innej, antycypuje przemianę, która nastąpi w dniu ostatnim, niebędącym już dniem. Duch Święty w momencie tego wielkiego przejścia dotknie – według

---

[14] D. Dostojewski, *Bracia Karamazow. Powieść w czterech częściach z epilogiem*. Przeł. A. Watt i Z. Podgórzec. London 1993, t. 1, s. 155–156.

trafnego określenia Paula Evokimova – całej kultury i coś z niej pozostanie na zawsze[15].

Tylko ludzkie szaleństwo pozwala poznać niedające się przewidzieć drogi Boże. Każdy twórca kultury musi mieć w sobie szaleństwo w biblijnym, oczywiście, sensie tego słowa. Wskazując to, co jest niewskazywalne, objawia, unaocznia rzeczywistość, którą jest droga nie nasza. Jeżeli „myśli moje nie są myślami waszymi i drogi moje nie są drogami waszymi", to aby je poznać, trzeba przyjąć inną perspektywę. Tak, jak ikona, której „odwrotna perspektywa" otwiera zupełnie inne możliwości ukazywania. Jeżeli nie ma podziału między *sacrum* i *profanum*, jeżeli cała sztuka należy do dziedziny *sacrum*, to jest wtedy ukazaniem eschatologicznej pełni. W tym sensie sztuka nie jest z tego świata. Kościół stanowi wspólnotę eschatologiczną i jego sztuka winna mieć taki charakter. Nie przypadkiem w historii chrześcijaństwa wielokrotnie dochodziło do utraty tego właśnie wymiaru sztuki. Sztuka przestawała ukazywać rzeczywistość przemienionego świata, a tym samym przestawała być pomostem prowadzącym ku świętości ostatecznej. Sztuka, gdy przestaje być Paschą, czyli przejściem do Królestwa, zamienia się w rzemiosło lub też w nieudolne naśladownictwo natury. Sztuka rozumiana jako ikonostas jest mostem, przejściem do innego wymiaru. Człowiek jako żywa ikona Boga odnajduje sens swojej egzystencji w świecie, który jest nie z tego świata. Zatem rozpacz, rewolta i zwątpienie ustępują miejsca pogodnej jasności dnia, który nie będzie już miał końca. „Każdy kociołek trzeba poświęcić Bogu", mawiał Zachariasz, a sztuka jest przecież nieporównywalnie doskonalsza od owego „kociołka", w zwierciadle sztuki zapisuje się prawda bytów i rzeczy. Potrzebujemy muzyki, poezji, malarstwa, a więc potrzebujemy piękna,

---

[15] P. Evdokimov, *Prawosławie*. Przeł. J. Klinger. Warszawa 2003, s. 335.

które stwarza „komunię", czyli wspólnotę. Teologia mówi o pięknie, podstawowy zbiór tekstów ascetycznych nosi nazwę *Filokalii*, czyli „umiłowania piękna". Piękno jest domeną kultury, czyli ma charakter „filokaliczny". Przejawia się on w świętych i w sztuce. Sztuka należy więc wyraźnie do kręgu *sacrum*. Historia nie jest pustym korytarzem wiodącym ku nicości. Kultura zaś to wymiar osoby i relacji osób będących w drodze do Królestwa. Prawdziwym fundamentem historii jest kultura. Kultura wprowadza w rzeczywistość ludzką napięcie i otwiera na perspektywę Ducha. Udręka i ekstaza artysty uczestniczą w agonii Logosu. Z dźwiękiem dzwonów i z pięknem ikon w głębi naszych dusz Jezus wychodzi ze swego milczenia i mówi: „Ja jestem", co znaczy: „Ja jestem Bogiem"[16]. „Nasza siostra-ziemia matka", jak mawiał św. Franciszek z Asyżu, zostaje podniesiona do wymiaru bytu przemienionego.

Andrzej Tarkowski twierdził, że istnieje ryzyko, że dzisiaj ludzie przestaną stawiać pytania[17]. Sztuka sama jest pytaniem, podobnie jak i człowiek. Pytanie stawiane przez sztukę otwiera człowieka. Otwartość ludzkiego bytu jest jego cechą szczególną, a kierunek sztuki jest wyraźny – od chaosu do porządku.

Każdy obraz więc można nazwać ikoną. Ikony dotyczą rzeczywistości bytów subtelnych, budują metafizykę fenomenu sztuki. Ikona spada z nieba. Jeżeli nie jest dana „z góry", to w ogóle nie powstanie. Malarz ikon ma „cnotę heroiczną" tworzenia wizji malarskiej. Potworność rzeczywistości empirycznej zostaje przezwyciężona i świat staje się teofanią. Mistagogiczna funkcja sztuki realizuje się na poziomie jej oczywistości. Ponieważ ikona jest oknem otwierającym się na rzeczywistość Bożą, każde dzieło sztuki uczestniczy w tym otwarciu, gdyż

---

[16] Bartłomiej I, *Via Crucis*. Przeł. H. Paprocki. Warszawa 1995, s. 16.
[17] O. Clément, *Notre Père*. Paris 1988, s. 51.

ikona stanowi centrum wszelkiej sztuki. Gdy słowo nie może oddać rzeczywistości metaempirycznej, sztuka otwiera nową perspektywę jej postrzegania.

U Heraklita znajdujemy obraz o wstrząsającej głębi, obraz łuku i liry. Greckie słowo *bios* oznacza zarazem „życie" i „łuk", którego strzały niosą śmierć. Ale łuk ma napiętą cięciwę; sublimując, można więc powiedzieć, że łuk o wielu cięciwach staje się lirą i zamiast strzał niosących śmierć, niesie muzykę, harmonię i piękno[18].

Kultura jest jak napięty łuk o wielu cięciwach, niosący harmonię i piękno. Piękno zaś to synonim Ducha Świętego. Udział w pięknie ma Duch Święty. Powoduje to, że cała kultura staje się szatą Królestwa, poprzez którą prześwituje radość otwarcia na niezgłębioną tajemnicę Ojca.

Każda kultura tworzy się w obrębie obrzędu. to naturalne, gdyż obrzęd jest formą wyrażania ludzkich uczuć i myśli, formą kultury. Kultura rodzi się z kultu, w nim ma swoje korzenie. Ma moc przemieniania świata. Nie ma to nic wspólnego ze stylem, który jest swoistym rodzajem nawarstwiania się akcji odbiorczej określonej epoki. Żywotność dzieła sztuki uzależnia się wtedy od epoki i stopnia wrażliwości odbiorcy. Chodzi o wieczny wymiar kultury. W tym sensie kultura w pełni realizuje się jedynie w świątyni, która wraz z liturgią jest syntezą sztuki. Stąd też dążenie do sztuki jako wszechjedności wszelkich działań, z dotarciem do samego jej sedna, jest celem artysty. Bóg stworzył „niebo" i „ziemię", i ta dwoistość wyznacza zarazem los sztuki. Sztuka leży na granicy obu tych światów i łączy je w syntezie. Nie jest „rzeczą wśród innych rzeczy", ale wizją. Każde rozdarcie odbija się na całości kultury i na ludzkim życiu[19]. Między

---

[18] P. Evdokimov, *Duch Święty i Matka Boża*. Przeł. H. Paprocki. W: *Teksty o Matce Bożej. Prawosławie*. Wybór H. Paprocki. Niepokalanów 1991, t. 2, s. 120.
[19] Por. P. Florenski, *Ikonostas i inne szkice*. Przeł. Z. Podgórzec. Białystok 1997.

niebem i ziemią, w miejscu właściwym dla sztuki. I jak się wydaje, nie można ograniczać tego miejsca sztuki wyłącznie do ikony bądź sztuki sakralnej. Każde dzieło jest między niebem i ziemią, wyjawia to, co niebieskie i to, co ziemskie. Tym samym sztuka staje się łącznikiem, pomostem między rzeczywistością empiryczną i jej metapłaszczyzną. Jest liturgią objawiającą tę tajemnicę, która wymyka się wszelkim próbom logicznej klasyfikacji. Tajemnica ta odbija się w sztuce jak w lustrze. Tym samym sztuka burzy rzeczywistość zastaną, podnosząc ją do wymiaru bytu przemienionego. Lub też inna rzeczywistość, inna przestrzeń, wdziera się w naszą rzeczywistość. Z tego powodu sztuka ma zawsze charakter zbawczy. Sztuka jest więc czymś więcej niż jest sama z siebie. Uświęca ona rzeczywistość, gdyż jest naocznym ukazaniem istoty przedstawianego bytu, wydziela z całej rzeczywistości tę jej część, gdzie immanencja spotyka się z transcendencją, czas z wiecznością, zniszczalne z niezniszczalnym, co stanowi równocześnie antynomię sztuki. Antynomia ta zostaje przezwyciężona w syntezie wszystkich przeciwieństw. Jest zarazem podwójnym obiektem piękna – jako przedmiot kontemplacji otoczenia i jako piękno samo w sobie. Sztuka wyznacza granicę między światem widzialnym i niewidzialnym.

Piękno zbliża się do swej granicy w miarę przenikania od fenomenów peryferii istoty do jej noumenalnego korzenia. Piękno pochodzi z kontaktu ze światem wyższym, gdyż samodzielne jest jedynie piękno świata wyższego (o. Paweł Florenski). Z tych powodów sztuka stanowiła zawsze przedmiot zainteresowań prawosławia. Zwłaszcza że VII Sobór Powszechny w 787 r. zdogmatyzował kult ikony. Sama liturgia Kościoła zrodziła się przede wszystkim jako symbol Królestwa i symbol Kościoła wstępującego do Królestwa. Człowiek jako *homo liturgicus* syntetyzuje w liturgii architekturę, ikonę, sztukę ognia, zapachu, dymu,

szat liturgicznych, choreografii (plastyka rytmu ruchów, wejść, wyjść i procesji), sztukę wokalną i poezję. Ich podstawę stanowi rozkład lektur biblijnych, czyli Biblia. Podobnie jak ikona, tak i sztuka jest szczególnym typem poznania tego, co niepoznawalne, ukazywania Archetypu, który Boski Artysta ukształtował w dziele stworzenia. W dziele sztuki przezwyciężona zostaje neoplatońska opozycja noetycznego i zmysłowego poprzez wizję harmonii obu światów. Wiara określa kult, a kult światopogląd, z którego następnie wynika kultura. Zadaniem kultury jest walka z prawami świata niosącymi śmierć i chaos. W ostatecznym rozrachunku – jak twierdził o. Paweł Florenski – jest to walka Chrystusa, czyli Logosu z Antychrystem, a więc chaosem. Sztuka znajduje swój pełny wyraz, gdy pozostaje w harmonii z rzeczywistością nieba i ziemi. Jest więc paruzją Królestwa, ikoną Królestwa Bożego. A wszelka doczesna twórczość nabiera nieprzemijającej wartości, odbijając w sobie element wieczności. Każdy artysta wędruje więc ciągle ku tamtej stronie i rzuca nam swoje dzieła, na których jaśnieje piękno, jutrzenka Królestwa.

Poza bezdrożem cywilizacyjno-kulturowym mamy też do czynienia z bezdrożem technicznym, ponieważ większość populacji nie rozumie współczesnej techniki i częstokroć przypisuje jej cechy diabelskie. Przytoczę historię, która mnie spotkała, zatytułowaną:

Bezkreskowcy

Okazuje się, że zakup bułek w sklepie osiedlowym w Warszawie może być doświadczeniem niezwykłym. Stwierdziłem brak pieczywa w domu, i poszedłem po nie do najbliższego sklepu. W sklepie samoobsługowym włożyłem do torebki bułki i ruszyłem ku kasie.

– Czy pan w tym sklepie kupuje tylko bułki? – usłyszałem za plecami.

Odwróciłem się. Przede mną stała staruszka i uśmiechała się. Nie bardzo rozumiałem sens postawionego pytania, ale odpowiedziałem:

– Tak. Kupiłem bułki.

– To dobrze, że w tym sklepie kupuje pan tylko bułki. Tu można kupować jedynie bułki i wędliny. Tylko na tych produktach nie ma pieczęci antychrysta. Wszystkie inne produkty kupuję na bazarku. Tam masoni nie umieszczają jeszcze znaku antychrysta. Czy pan też kupuje na bazarku?

– Oczywiście.

– To znaczy, że pan też jest wtajemniczony. Dobrze, że kupuje pan na bazarku. Dzięki temu unika pan pieczęci antychrysta, a tym samym potępienia. Żyjemy w strasznych czasach, koniec się zbliża, niedługo antychryst jawnie zapanuje na świecie. Niech pan uważa!

– Będę się starał. Dziękuję pani.

Zbliżyłem się do kasy, zapłaciłem za bułki, odwróciłem się i powiedziałem:

– Do widzenia pani.

– Do widzenia. Niech Bóg pana strzeże.

Wróciłem do domu nieco oszołomiony. Zwłaszcza jedno zdanie z tej krótkiej rozmowy nie dawało mi spokoju: „Pan też jest wtajemniczony". W co mianowicie jestem wtajemniczony i kto mnie wtajemniczył? Nikt w nic mnie nie wtajemniczał. W pierwszej chwili pomyślałem, że miałem do czynienia z trochę niezrównoważoną staruszką. Z tym przekonaniem spokojnie poszedłem spać.

Następnego dnia, spożywając rano bułkę, przypomniałem sobie staruszkę. O co w tym chodzi? Oczywiście, wiedziałem, że o kod kreskowy. Ale co za wtajemniczenie? Postanowiłem

zasięgnąć języka. W takiej sytuacji nieocenioną pomocą są sąsiedzi. Okazja nadarzyła się wręcz po chwili, na schodach. Pierwszemu napotkanemu sąsiadowi opowiedziałem o wczorajszym wydarzeniu. Popatrzył na mnie z niedowierzaniem. Było to jednak inne niedowierzanie niż to, jakiego się spodziewałem.

– To pan nic nie wie?

– A co mam wiedzieć?

– Przecież wszyscy o tym wiedzą!

– O czym?

– Na naszym osiedlu jest cała grupa ludzi, którzy nie kupują produktów z kodem kreskowym. Uważają, że zakup takiego produktu jest równoznaczny z oddaniem się antychrystowi. Zbierają się tu, niedaleko, w bloku obok kościoła i modlą się o oddalenie nadejścia antychrysta. Poza tym ustalają, jakich produktów nie wolno kupować. Wie pan, nie wolno też kupować produktów wyprodukowanych przez Żydów, nawet gdy nie ma na nich kodu kreskowego. To byłoby oddanie się w ręce antychrysta. Chociaż można obejść to niebezpieczeństwo.

– W jaki sposób?

– Ten, kto kupuje, oddaje się antychrystowi, a musimy kupić robot kuchenny na prezent, powiedzmy – dla wnuczki. Można poprosić o kupno sąsiadkę. Można powiedzieć, że czujemy się bardzo źle. Trzeba wybrać taką sąsiadkę, która i tak jest już stracona.

–???

– No, na przykład, rozwódkę lub żyjącą bez ślubu kościelnego. Jej już i tak nic nie pomoże.

– Pan to mówi poważnie?

– Jak najpoważniej. Jest ich trochę. Można powiedzieć, że żyją w oczekiwaniu końca świata.

Powoli schodziłem po schodach.

Proszę państwa, świat jest jednak zdumiewający. Poza tym teza głosząca, że wraz z rozwojem wiedzy będą zanikać zabobony, nie ma sensu.

Opowiedziana przeze mnie historia to efekt niezrozumienia działania pewnych urządzeń technicznych. Większość społeczeństwa nie rozumie także mechanizmów działania demokracji i traktuje urny wyborcze jako miejsce składania swoich marzeń o lepszym życiu, które nigdy się nie realizują. Nie mówiąc już o całkowitym niezrozumieniu idei, celów i działania Unii Europejskiej. Te dwa wektory dodatkowo zwiększają frustrację i wręcz kierują człowieka na bezdroża życia.

W procesie jednoczenia świata szczególne miejsce zajmuje dialog kultur. Dialog kultur staje się równocześnie dialogiem kultów-religii. Należy raz jeszcze przypomnieć słowa ojca Pawła Florenskiego, który twierdził, że łacińskie słowo *cultura* pochodzi od słowa *cultus*, że kultura jest dzieckiem kultu i ma religijne korzenie. Tym samym dialog kultur-religii staje się obowiązkowy dla przyszłości świata. Chodzi już nie o ruch ekumeniczny wśród samych tylko chrześcijan, lecz o dialog różnych religii. W tym wypadku znaczenie dialogu między chrześcijaństwem, judaizmem i islamem jako dialogu religii i kultur, ma ogromne znaczenie. Można przewidzieć bez prorockiego natchnienia, że bez tego dialogu przyszła jedność świata nie jest możliwa. Metody tylko polityczne lub rozwój ekonomii są absolutnie niewystarczające. Równocześnie dialog ten jest wyzwaniem dla samego chrześcijaństwa. Jednak bez tego dialogu przyszłość ludzkości przedstawia się mrocznie.

Dzisiaj świat, nie tylko Europa, dąży do jedności. To jednak chrześcijaństwo powinno ukazywać ludziom chrześcijańską perspektywę i autentyczne wartości. Chrześcijaństwo winno

ukazać wymiar wertykalny, bez którego nie może być postępu w wymiarze horyzontalnym, jeśli świat chce być w pełni ludzki, a nie tylko światem robotów, nazywanych ludźmi. O jedności można mówić tylko wtedy, jeśli nie będzie to „fabryka Europa" lub „fabryka świat". Chrześcijaństwo powinno odnosić się krytycznie do autonomii ekonomii, gdyż ludzkość znajduje się w pułapce ciągłego wzrostu produkcji, a ekonomia istnieje dzisiaj bez żadnego odniesienia do człowieka. Należy walczyć o autentyczne relacje między ludźmi, a także o rewolucję w samym życiu ludzkości. Świadome ograniczenie konsumpcji i żądań, a także troska o tych ludzi, którzy znaleźli się w trudnych warunkach, mogą pozwolić stać się światu miejscem autentycznego humanizmu. A to otwiera szerokie pole dla kultury.

Warto więc pytać o kulturę…

TADEUSZ GADACZ

O myśleniu w czasach marnych

Ludzie, zauważyłem, lubią takie myśli, które nie zmuszają do myślenia (S.J. Lec)

„Dawno nie zastanawialiśmy się nad istotą myślenia" – tak rozpoczął swą znaną książkę o myśleniu *Was heisst Denken?* (Co znaczy myśleć?) Martin Heidegger, jeden z najwybitniejszych współczesnych filozofów. Gdy spojrzymy w głębię historii filozofii, nie odnajdziemy zbyt wielu, nie tylko książek, ale nawet i niewielkich rozpraw na temat myślenia. Nie byłoby w tym niczego zdumiewającego, gdyby nie fakt, że myślenie jest samą istotą człowieka. Dlaczego zatem filozofia, która myśli nad światem, człowiekiem i Bogiem, zgłębia tajemnice bytu, prawdy, dobra i piękna, etyki i nauki w tak niewielkim stopniu myśli nad samym myśleniem? Czyżby myślenie było czymś, dzięki czemu możemy poznawać i zgłębiać wszystko, co istnieje i nie istnieje, gdyż filozofia zajmuje się także niebytem, natomiast ono samo skrywa się przed nami, kiedy próbujemy uczynić go przedmiotem namysłu? A może myślenie jest czymś tak oczywistym, jak procesy życiowe, nad którymi nie zastanawiamy się, dopóki żyjemy? Do takiej właśnie metafory myślenia

odwołał się Arystoteles, który porównał je do oddychania. Człowiek bezmyślny jest zatem w równym stopniu martwy, co ciało pozbawione oddechu. Być może zatem problem myślenia staje przed nami w całej oczywistości, gdy w szczególny sposób doświadczamy bezmyślności.

Myślenie jest istotą człowieka. Nie bez powodu jedno z najstarszych określeń człowieka – *homo sapiens*, to właśnie człowiek jako istota myśląca. Arystoteles uznał myślenie za istotę życia ludzkiego. „Zresztą wyłącznie dla przyjemności jedzenia, bądź rozkoszy miłosnych gdy się jest pozbawionym pozostałych przyjemności, jakich dostarcza ludziom bądź to poznanie, bądź widzenie, bądź któryś pozostały zmysł, nikt nie przeceniałby życia, chyba że byłby w ogóle niewolnikiem. Widzimy bowiem, że dla człowieka, który dokonuje takiego wyboru, nie miałoby różnicy, czy jest on zwierzęciem, czy człowiekiem. W każdym razie byk w Egipcie, którego czczą jako Apisa, w większości tego rodzaju spraw posiada większe możliwości niż wielu monarchów. Podobnie także nie wybiera się życia dla przyjemności snu: bo jaka jest różnica pomiędzy spaniem od pierwszego aż do ostatniego dnia w ciągu tysiąca lat albo i dłużej, a życiem rośliny" (*Metafizyka*). Człowiek, który „myśli właściwie" żyje według Arystotelesa „bardziej", tzn. na wyższym poziomie niż inni. Myślenie jest jednak także źródłem najwyższej przyjemności: „…przyznajemy życie raczej człowiekowi czuwającemu niż śpiącemu, myślącemu raczej niż bezmyślnemu i powiemy, że przyjemność życia jest przyjemnością płynącą z ćwiczenia duszy (…) Jeżeli przeto istnieją liczne ćwiczenia duszy, to jednak najważniejszym ze wszystkich jest w najwyższym stopniu myślenie" (*Metafizyka*).

Wiele wieków później Blaise Pascal określił człowieka jako „trzcinę myślącą". Z jednej strony człowiek jest istotą fizycznie kruchą, z drugiej jednak przekracza fizyczny świat swoją myślą:

„Wielkość człowieka jest wielka w tym, że zna on swoją nędzę. Drzewo nie zna swej nędzy. Nędzą tedy jest czuć swoją nędzę, ale wielkością jest wiedzieć, że się jest nędznym" (*Myśli*). Cała godność człowieka spoczywa w myśli. I co prawda jest ona niska przez swoje błędy, wielka jednak przez swą naturę. Dlatego pisał Pascal: „Mogę dobrze wyobrazić sobie człowieka bez rąk, nóg, głowy (jedynie bowiem doświadczenie uczy nas, że głowa potrzebniejsza jest od nóg). Ale nie mogę wyobrazić sobie człowieka bez myśli: to byłby kamień albo bydlę" (*Myśli*).

Wiele wieków później Hannah Arendt zwróciła uwagę na jeszcze inny istotny aspekt myślenia. Człowiek bezmyślny nie tylko nie żyje życiem prawdziwie ludzkim i nie tylko traci swą godność, lecz także bardziej skłonny jest do czynienia zła. Obserwując Eichmanna, hitlerowskiego zbrodniarza, podczas procesu przed sądem w Jerozolimie, wysunęła tezę o banalności zła, zakładając związek między złem a brakiem myślenia. Co prawda trudno zgodzić się z mocną tezą, zwaną od czasów Sokratesa intelektualizmem, że sama świadomość dobra, wiedza o nim wystarczy do tego, by być dobrym. Trudno jednak nie dostrzec związku między myśleniem a moralnością, przynajmniej ludzkim myśleniem, które tym różni się od myślenia kalkulującego, że przynajmniej powinno być świadome skutków, które powoduje. Nie sposób nie dostrzec związku między bezmyślnością a złem ideologii: „Gdy rozum śpi budzą się demony". Pomimo, że XX wiek był okresem rozwoju nauki i techniki, to był jednocześnie czasem panowania ideologii: faszyzmu i stalinizmu, był wiekiem zbiorowej i zorganizowanej bezmyślności.

Czym zatem jest myślenie? „Przez nazwę myślenie rozumiem to wszystko, co w nas zachodzi, gdy jesteśmy świadomi, o ile jest w nas właśnie świadomość tych rzeczy. Tak więc nie tylko rozumienie, chcenie, wyobrażanie sobie, ale także i czucie jest tutaj tym samym, co myślenie". Kartezjusz, autor tych słów, określił

myślenie jako świadomość z całym bogactwem zachodzących w niej procesów. Zatem myśleć, to być świadomym zarówno czynności, których dokonujemy, jadąc np. na rowerze, jak i procesów, które zachodzą w nas wówczas, gdy usiłujemy np. zrozumieć zasady ruchu związane z jazdą na rowerze (na marginesie, nie radzę tego robić podczas jazdy). Myśleć zatem, to nie tylko być przytomnym, ale także analizować, dedukować, wyprowadzać wnioski itp. Nie zamierzam jednak na razie rozpatrywać ani problemu świadomości, ani zachodzących w niej procesów, którymi zajmuje się psychologia, czy logika. Chciałbym raczej pójść tropem Arystotelesa, który domagał się „właściwego myślenia", i Pascala, który pisał: „Silmy się tedy dobrze myśleć: oto zasada moralna" (*Metafizyka*). Stwierdzenia te zdają się sugerować, że myślenia nie można sprowadzić jedynie do samych procesów myślenia, którymi zajmuje się psychologia, praw myślenia, którymi zajmuje się logika i metod, które są przedmiotem metodologii. Poznanie ich, poważne branie pod uwagę jest konieczne, gdyż myślenie nie jest chaotycznym kojarzeniem pojęć. Nie można myśleć, nie znając praw, procesów i metod rządzących myśleniem. Wysiłek włożony w studium logiki, czy metodologii, stanowi niezbędny warunek prawidłowego myślenia. Jednak ze znajomości samych procesów, praw i metod myślenia nie da się wydedukować ani tego, o czym będziemy myśleć, ani tego, czy wyniki samego myślenia zostaną zastosowane ku budowaniu czy ku zniszczeniu, ku dobru czy ku złu. Dlatego wybitni myśliciele walczyli z destrukcyjnymi ideologiami, ale także im służyli. Wybitni naukowcy zarówno budowali pokój, jak i przyczyniali się do wojny. Czy zatem „dobrze myśleć" oznacza jedynie myśleć prawidłowo, czy też odkrywać związek myślenia z dobrem?

Pewną wskazówką może być stwierdzenie Arystotelesa, że myśliciel żyje w najwyższym stopniu i w najbardziej właściwym sensie, gdy rozmyśla nad tym, co jest najbardziej godne

myślenia. Co jednak jest najbardziej godne myślenia? W historii filozofii możemy wskazać kilka tradycji, które odmiennie odpowiadają na to pytanie. Ograniczmy się do dwóch z nich: tradycji idealistycznej bądź metafizycznej oraz tradycji empirycznej. U podstaw każdej z nich tkwi odmienne rozumienie rozumu jako władzy myślenia. Rozumu bowiem nie można jednoznacznie zdefiniować. A z kolei od tego, jak pojmujemy rozum, zależy to, jak rozumiemy myślenie, jego przedmiot i cel.

Dusza ludzka, zanim znalazła się w ciele, preegzystowała w boskim świecie. Przedstawił ją Platon w symbolicznej postaci rydwanu zaprzęgniętego w dwa skrzydlate konie i woźnicy trzymającego cugle w ręku. „Niechaj tedy będzie podobna [dusza] do w jedno zrosłej siły skrzydlatego zaprzęgu i woźnicy. U bogów i konie i woźnice, wszystko to dzielne i z dobrego rodu, a u innych mieszanina. I tak naprzód, parą powozić musi nasz wódz, a potem konia ma jednego doskonałego, z pięknej i dobrej rasy, a drugiego z całkiem przeciwnej, rumaka zupełnie tamtemu przeciwnego. Ciężkie to i trudne oczywiście, powożenie nami" (*Fajdros*). W tym krótkim fragmencie rysuje Platon pewną psychologię wewnętrznego zdwojenia. Dusza składa się z trzech elementów, które odpowiadają trzem stopniom życia (wegetatywnemu, zmysłowemu i intelektualnemu, czyli życiu roślinnemu, zwierzęcemu i ludzkiemu). Każda z tych dusz jest wewnętrznie zdwojona na pierwiastek pożądania i opanowania. Zdwojony jest w sobie jednak także pierwiastek rozumu (*hegemonikon*), którym w porównaniu Platona jest woźnica. Jemu przypada szczególna rola harmonizowania przeciwieństw i panowania nad pojazdem. Ale i rozum nie jest sam w sobie doskonały. Rydwany dusz boskich i ludzkich wędrują po nieboskłonie. Nie ma tam jednak zwykłych dróg, dlatego rydwany-dusze poruszają się dzięki skrzydłom. Konie są uskrzydlone i woźnica też ma skrzydła. „Przyrodzoną mają skrzydła siłę, to co ciężkie podnosić w górę, w niebo, gdzie

bogów rodzina mieszka. Żadne ciało nie ma w sobie tyle boskiego pierwiastka, co skrzydła. A boski pierwiastek, to piękno, dobro, rozum i wszystkie tym podobne rzeczy. Takim pokarmem się żywią i z niego rosną najszybciej pióra duszy, a od bezeceństwa i zła marnieją i nikną" (*Fajdros*). By nakarmić się tym co boskie, dusze pielgrzymują po nieboskłonie ku miejscu, w którym znajduje się byt, aby się nim nakarmić. Miejsce to znajduje się ponad niebem. Do niego pielgrzymują po kole nieboskłonu rydwany dusz boskich i ludzkich. Raz są na dole, raz wznoszą się ku samej górze, gdzie sytuuje się owo miejsce. „A miejsca tego, które jest ponad niebem, ani nie oddał nigdy żaden z poetów ziemskich w pieśni, ani go w pieśni godnie oddać zdoła" (*Fajdros*). Rydwany bogów „równiuteńko jadą", „a z innych dusz taka, co najlepiej za bogiem szła i była mu najpodobniejsza, ponad głowę woźnicy w miejsce poza niebem zagląda i drogę okrężną odbywa, ale jej konie przeszkadzają ciągle, tak, że ledwie się może bytom rzeczywistym przyjrzeć. A inna raz się podnosi, raz zniża; konie jej patrzeć nie dają, więc jedno zobaczy a drugiego nie dojrzy. A inne za nią, choć się wszystkie rwą do góry, nie mają sił dotrzymać kroku, toną w tłumie, który je okrężną drogą niesie, depcą się nawzajem i roztrącają, bo się jedna ciśnie przed drugą. Robi się ciżba, hałas, ścisk i pot okropny. Przez niedołęstwo woźniców niejedna tam zostaje kaleką: nie jednej się skrzydła połamią. Wszystkie razem zmordowane strasznie, jako, iż niegodne były bytu rzeczywistego oglądać, odchodzą, a odszedłszy pożywają pokarm prawdopodobieństwa. A czemu się tak rwą gwałtownie, żeby oglądać zagony prawdy, widzieć, gdzie one są – to dlatego, że tam właśnie na tym łanie rośnie pokarm, którego najlepsza część duszy potrzebuje; z niego nabierają siły skrzydła, które dusze unoszą do góry. A oto prawo Konieczności: Jeśli która dusza za bogiem w ślad idąc, zobaczy coś ze świata prawdy, nic się jej stać nie może aż do następnego obiegu i jeśliby to zawsze potrafiła, nigdy żadnej

szkody nie poniesie" (*Fajdros*). Dusze ludzkie ze względu na swą skończoność, niedoskonałość, wewnętrzne zdwojenie nie potrafią tego. Dlatego za każdym kolejnym obiegiem są coraz słabsze, coraz mniej prawdą i karmią się bytem, a w końcu tracą skrzydła. „A jeśli pióra straci, spada, aż coś stałego napotka, uchwyci i zamieszka tam, ciało ziemskie na siebie wziąwszy, które teraz, niby samo z siebie, poruszać się zaczyna dzięki jej sile i nazwę otrzymuje wszelkiej istoty żywej" (*Fajdros*).

Tu mamy według Platona źródło nieustannego pielgrzymowania i wędrowania śmiertelników. Pielgrzymowanie to może przyjąć dwa kierunki: wędrówki zewnętrznej i wewnętrznej. Albo gna nas po świecie, podróżujemy, gdyż czujemy w sobie niepokój, albo poprzez myślenie usiłujemy powrócić tam, skąd się wywodzimy. Istotną rolę odgrywa tu pamięć. Kiedy dusza przypomina sobie byt i prawdę, które kiedyś oglądała, odrastają jej skrzydła i wyzwalając się z ciała i świata, powraca do swej ojczyzny. „Toteż słusznie jedynie tylko dusza filozofa ma skrzydła. Bo jej pamięć zawsze wedle sił do tego się zwraca, co nawet bogu boskości użycza. Człowiek, który w takich przypomnieniach żyje jak należy i doskonałych zawsze święceń dostępuje, tylko on jeden istotnie doskonałym się staje. A że o ludzkich sprawach zapomina, a z tym, co boskie, obcuje, gani go wielu jako narwańca, ale że bóg w nim mieszka, o tym nie wiedzą ci, których jest wielu" (*Fajdros*).

Platońską tradycję kontymuował św. Augustyn, który jako nawrócony chrześcijanin musiał odrzucić teorię duszy preegzystującej przed wcieleniem i anamnezy (przypomnienia). Wprowadził w ich miejsce pojęcie illuminizmu. Rozum człowieka jest odbiciem rozumu Bożego, niczym pieczęć odbita w wosku pod listem. Pieczęć zachowuje w sobie wzór, który został w niej odciśnięty. Odcisk nie jest tak wyraźny i doskonały jak wzór, zawiera w sobie jednak odbicie wzoru i do niego odsyła.

Metafora ta wyraża ideę oświecenia Bożego. To rozum Boga, a ściślej, zawarte w nim niezmienne i wieczne Idee, oświecają skończony i zmienny rozum ludzki. Tylko w tym świetle rozum może odkrywać prawdę, dobro i piękno. Myślą i tworzą zatem ci, którym światło Bożego rozumu daje do myślenia.

Kartezjusz, XVII-wieczny spadkobierca filozofii św. Augustyna, za punkt wyjścia swego dowodu na istnienie Boga przyjął ideę nieskończoności obecną w rozumie. Skoro ta idea nie mogła być ani skutkiem poznania zmysłowego (gdyż niczego nieskończonego zmysłowo nie poznajemy), ani wytworem rozumu (jak bowiem skończony rozum może wytworzyć nieskończoną ideę, nie zrywając prawa proporcji między przyczyną – rozumem i skutkiem – ideą), to z pewnością musi ona pochodzić od tego, który sam jest Nieskończony. Rozum przechowuje zatem w sobie samym ślad Nieskończonego w postaci jego Idei. Jest w nim zawarte coś, co jest większe od niego i co go przekracza. Idea nieskończoności budzi w nas pragnienie, które jest odmienne od potrzeby. Potrzeby – jak głód (potrzeba chleba), czy potrzebę wiedzy – możemy nasycić. Pragnienie jednak tym różni się od potrzeby, że nie może być zaspokojone. Im bardziej usiłujemy je zaspokoić, tym bardziej ono rośnie. Nie jest bowiem pragnieniem jakiegoś skończonego dobra, prawdy i piękna.

Podsumowując, według idealistycznej lub metafizycznej koncepcji, rozum ludzki bądź przechowuje w sobie ślady bytu idealnego, bądź ślady boskości, a samo myślenie, które za godne myślenia uznaje to, co je przekracza, jest sposobem powrotu do idealnego dobra, prawdy i piękna, bądź nieustannym odkrywaniem ich i wznoszeniem się ku nim.

Przejdźmy do drugiej, empirycznej koncepcji rozumu. Początki empirycznej koncepcji rozumienia rozumu pojawiły się u XVII i XVIII-wiecznych empiryków. John Locke swoją drogę do źródeł poznania pewnego rozpoczął od wyczyszczenia

rozumu z jakichkolwiek treści apriorycznych, czyli takich, które nie pochodziłby z doświadczenia. Rozum jest białą kartą, niezapisaną tablicą. Taki rozum porządkuje materiał zmysłowych postrzeżeń, oddziela jakości pierwszo– od drugorzędnych, łączy z sobą idee proste w idee złożone. Inny z empiryków Paul-Henri d'Holbach twierdził, że człowiek może posiadać rzeczywiste idee tylko takich rzeczy, które działają lub uprzednio działały na jego zmysły. Takimi są tylko przedmioty materialne, czyli fizyczne, naturalne. Wiele wieków później Ludwig Wittgenstein stwierdził, że filozofia winna rozjaśniać i ostro rozgraniczać myśli, które są mgliste i niewyraźne. Poprawna metoda filozofii byłaby właściwie taka, by nie mówić nic poza tym, co da się powiedzieć, czyli poza zdaniami nauk przyrodniczych. Myśleć zatem, zgodnie z tą koncepcją rozumu, to nie wdawać się w metafizyczne rozważania, nie usiłować odkrywać absolutnego dobra, prawdy i piękna, których zmysłowo nie możemy poznać, lecz analizować dane doświadczenia i rozjaśniać pojęcia. Jeśli dzięki pierwszej tradycji myślenia powstały wielkie systemy metafizyczne, filozofia idealistyczna, mistyka i teologia, to dzięki tej drugiej ścisłe i precyzyjne poznanie naukowe.

Myślicielem, który usiłował połączyć teomorficzne i naturalistyczne rozumienie rozumu był Pascal. Jako matematyk i fizyk usiłował wniknąć w strukturę materii, jako myśliciel i pisarz w strukturę ducha. Jako uczony i myśliciel balansował między dwoma światami: światem matematyki i praw fizycznych oraz światem myśli i uczuć. Dopełniał się w nim i wykluczał jednocześnie, jak sam mówił, „porządek rozumu i serca". Jako myśliciel rozdzierany był przez wewnętrzne sprzeczności. Ten ścisły, matematyczny umysł nie potrafił jednak patrzeć na świat gołym, bezbarwnym okiem. Wiedział, że rozum pomimo swej doskonałości nie potrafi ogarnąć całej rzeczywistości zawartej w człowieku: jego uczuć, woli i namiętności. Człowiek, oprócz

pełnej i ścisłej wiedzy, pragnie także szczęścia, które nie da się określić żadną teoretyczną miarą. Należy ono bowiem do innego porządku. Od porządku rozumu odróżnił Pascal porządek serca. Wyłonił się on w jego filozofii na skutek zasadniczego ograniczenia Kartezjańskiego racjonalizmu. Kartezjusz uznawał tylko racjonalne myślenie o ścisłości matematycznej. Otworzył jednocześnie ludzki rozum na wszystkie możliwe zakresy. Pascal wyznaczył mu granice. Poza rozumem i jego możliwościami istnieje według Pascala świat prawdziwie ludzki, życie moralne i religijne człowieka. Lecz także w świecie przyrody, w którym rozum jest sędzią, doświadcza on trojakiego ograniczenia.

Pierwsze ograniczenie wypływa z doświadczenia. Doświadczenie nie rozstrzyga jedynie o tym, jak utrzymywał Kartezjusz, która z możliwych idei przedstawionych przez rozum jest prawdziwa. Ma ono także znaczenie dla samego rozumowania. Według Pascala, który w tym punkcie był bliższy Galileuszowi niż Kartezjuszowi, wiedza nie wypływa z kilku ogólnych zasad na drodze dedukcji, lecz jest badaniem, które przechodzi od doświadczeń do zasad. W swych eksperymentach naukowych Pascal właśnie w doświadczeniu dostrzegł pierwszą granicę rozumu, który dla Kartezjusza był samowystarczalny. Drugą granicę wyznacza według Pascala niewyprowadzalność pierwszych zasad. Zasady, które są podstawą rozumowania, wymykają się rozumowaniu, które nie może ich ani dowieść, ani odrzucić. Niemożliwość, w której znajduje się tu rozum, nie wypływa z niepewności tych zasad, lecz ze słabości rozumu. Poznanie pierwszych zasad (jak przestrzeń, czas, ruch, liczby) jest pewne, jak żadne z rozumowań dedukcyjnych. Jednak pewność ta wypływa z serca i z instynktu, a nie z rozumu. Trzecią granicę rozumu stanowi wiara i metafizyka. Rozum nie jest zdolny poznać Boga, duszy, ani dowieść wiary. „Serce ma swoje racje, których rozum nie zna; widzimy to w tysiącu rzeczy.

Twierdzę, że serce kocha z natury swojej powszechną istotę i też z natury swojej kocha samo siebie, wedle tego, ku czemu się zwróci; i tępieje na jedno lub drugie, zależnie od wyboru. Odrzuciłeś jedno, a zachowałeś drugie: czyż kochasz siebie z racji rozumu? Poznajemy prawdę nie tylko rozumem, ale i sercem. W ten sposób znamy pierwsze zasady i na próżno rozumowanie, które nie ma w tym udziału, sili się je zwalczyć. Pirrończycy, którzy obrali to za wyłączny swój cel, pracują nad tym bezskutecznie. Wiemy, że nie śnimy, mimo iż nie podobna tego dowieść rozumem; ta niemożność dowodzi tylko słabości naszego rozumu, a nie niepewności wszelkiego naszego poznania, jak oni twierdzą. Znajomość bowiem pierwszych zasad, jak przestrzeń, czas, ruch, liczby, jest równie mocna jak którakolwiek z tych, które czerpiemy z rozumowania. I na tych wiadomościach serca i instynktu musi się opierać rozum i na nich budować wszystkie swoje wywody. Serce czuje, że są trzy wymiary w przestrzeni i że liczby są nieskończone; rozum dowodzi następnie, że nie ma dwóch kwadratów liczb, z których jeden byłby podwójną drugiego. Zasady czujemy, twierdzenia wyprowadzamy za pomocą dowodu; i jedno i drugie pewnie, mimo że odmiennymi drogami. I równie bezcelowe i niedorzeczne jest, aby rozum żądał od serca udowodnienia pierwszych zasad, nim zgodzi się na nie przystać, jak byłoby niedorzeczne, aby serce – nim zgodzi się je przyjąć – żądało od rozumu czucia wszystkich twierdzeń, które ten udowadnia. Ta niemoc winna tedy prowadzić jedynie do upokorzenia rozumu, który chciałby sądzić o wszystkim, ale nie do zwalczania naszej pewności, tak jak gdyby tylko rozum zdolen był nas o czymś pouczyć. Dałby Bóg, abyśmy go, przeciwnie, nigdy nie potrzebowali i abyśmy znali wszystkie rzeczy instynktem i uczuciem! Ale natura odmówiła nam tego dobra; dała nam, przeciwnie, bardzo niewiele wiadomości tego rodzaju; wszystkie inne możemy nabyć jedynie

rozumowaniem. I oto czemu ci, którym Bóg dał religię z poczucia serca, bardzo są szczęśliwi i bardzo słusznie przekonani. Ale tym, którzy jej nie mają, możemy ją dać jedynie rozumowaniem w oczekiwaniu, aż Bóg da im ją przez poczucie serca, bez czego wiara jest jeno ludzka i bezużyteczna dla zbawienia. Boga czuje serce, nie rozum. Oto co jest wiara: Bóg dotykalny dla serca, nie dla rozumu" (*Myśli*).

Kartezjańskiemu myśleniu matematyczno-racjonalnemu wyznaczył Pascal określone granice. Myślenie ściśle racjonalne ma swe uprawnienia, lecz tylko na płaszczyźnie poznania matematycznego i fizykalnego. Istnieją jednak głębsze, odmienne zakresy rzeczywistości, które odsłaniają się tylko głębszemu i pełniejszemu sposobowi poznania. Obok czystego rozumu istnieje także inny rodzaj poznania, który Pascal nazywa sercem lub uczuciem i instynktem. Dokonując takiego podziału Pascal nie zamierzał jednak wprowadzić przeciwieństwa między racjonalnym poznaniem i irracjonalnym uczuciem, ponieważ także sercu przypisywał rolę poznawczą w poznawaniu pierwszych zasad, zakładanych w każdym racjonalno-dedukcyjnym poznaniu.

To Pascalowskie rozróżnienie między rozumem i sercem nawiązuje do różnicy między intelektem i rozumem, która pojawiła się u Platona i Arystotelesa jako *ratio* i *intellectus*. Rozróżnienie to zostało przejęte przez św. Tomasza z Akwinu, a później także przez Kanta i Hegla. Intelekt pojmowany był jako logiczne, pojęciowo-racjonalne myślenie, a rozum jako bezpośredni ogląd, przed którym otwiera się byt i jego struktura. Tylko rozum może przekroczyć skończony, przedmiotowy świat i posuwać się w głąb fundamentu bytu. To jednak, co charakterystyczne dla racjonalizmu, a co uczynił Kartezjusz, to zredukowanie rozumu do intelektu, zamknięcie go w granicach myślenia matematyczno-racjonalnego. Przeciwko temu właśnie

zaprotestował Pascal. Dla Pascala istnieje nie tylko rzeczywistość matematycznie mierzalna, obliczalna, określona ilościowo, lecz także rzeczywistość zróżnicowana jakościowo. Rzeczywistość ta ujmowalna jest w porządku serca. Dopiero w nim odkrywa człowiek głębokie wymiary swej egzystencji. W nim także ujmuje ludzkie wartości, „poznaje" Boga i ma wgląd w pierwsze zasady nauk. Nie tylko więc rozum poznaje, ale i serce. *Le coeur a ses raisons, que la raison ne connait point* (Serce ma swoje racje, których rozum nie zna) – pisał Pascal. W dosłownym przekładzie oznacza to: „serce ma swe rozumy…". Rozum poznaje przez dowodzenie, a serce przez czucie. Śmieszne więc byłoby domaganie się dowodu od serca, żądanie na przykład by wierzący dowodzili i uzasadniali swoją wiarę. To serce czuje Boga, nie rozum.

Rozróżnienie dwóch porządków poznawczych: rozumu i serca, związane było u Pascala z odkryciem wagi prawd dotyczących człowieka i religii. „Spędziłem długi czas na zgłębianiu nauk oderwanych, ale zbyt mała okazja do wymiany myśli zmierziła mnie. Kiedy zabrałem się do studiowania człowieka, przekonałem się, że te nauki oderwane nie są dlań stworzone i że dalej odszedłem od mej kondycji wnikając w nie, niż inni – nie znając ich. Przebaczyłem innym ich nieznajomość, ale sądziłem bodaj, iż znajdę wielu towarzyszy w studiowaniu człowieka i że to jest jemu przyrodzona wiedza. Omyliłem się; jeszcze mniej ludzi studiuje tę wiedzę niż matematykę" (*Myśli*). Pascal zwrócił się więc ku człowiekowi, by poznać samego siebie. Człowiek w myśleniu powinien zacząć od samego siebie. Gdyby bowiem nawet nie znalazł prawdy, posłużyłoby mu to do „wytyczenia własnego życia" (*Myśli*).

Większość wybiera poznanie rzeczy zewnętrznych. Lecz taka wiedza nie może jednak pocieszyć człowieka. „Nie uczy się ludzi, jak być ludźmi, a uczy się ich wszystkiego innego; im

zaś nigdy tyle nie zależy na reszcie, co na tym, aby być ludźmi" (*Myśli*). Istotnym zadaniem człowieka jest więc poznanie samego siebie. Do tego jednak zadania rozum nie jest przydatny. Dostęp do prawdy człowieka daje serce.

Odróżnienie rozumu i serca wyraził Pascal także w terminach: umysł matematyczny (*l'esprit géométrique*) i umysł subtelny (*l'esprit de finesse*). Pierwszy poznaje dedukcyjnie, drugi instynktownie. „W jednym zasady są namacalne, ale odległe od pospolitego użytku; tak iż z trudnością przychodzi zwrócić głowę w tę stronę dla braku nawyku; ale skoro raz się ją zwróci, widzi się zasady zupełnie jasno; trzeba by mieć umysł zupełnie opaczny, aby fałszywie rozumować na podstawie zasad tak grubych, że prawie niepodobna ich przeoczyć. Natomiast co się tyczy przyrodzonej bystrości, zasady są pospolite i widoczne całemu światu. Nie ma potrzeby obracać głowy ani zadawać sobie gwałtu; chodzi jedynie o to, aby mieć dobry wzrok, ale trzeba, aby być naprawdę dobry, zasady bowiem są tak rozproszone i tak liczne, iż niepodobna prawie, aby ta lub owa nam nie uszła. (…) Zaledwie je widzimy; raczej czujemy je, niż widzimy; nieskończenie trudno jest dać odczuć je tym, którzy nie czują ich sami z siebie: są to rzeczy tak subtelne i tak liczne, iż trzeba bardzo delikatnego i jasnego zmysłu, aby je czuć i sądzić prosto i jasno wedle tego czucia, najczęściej bez możności udowodnienia ich po porządku jak w matematyce" (*Myśli*).

Określony stopień subtelności potrzebny jest także do odsłonięcia pierwszych zasad geometrii. Serce jest więc pewnym rodzajem intuicji. Co prawda Pascal nie używał wprost tego określenia, ale w przybliżeniu oznacza ono Pascalowskie serce. Umysł subtelny (bystry), ma więc za przedmiot człowieka, natomiast umysł matematyczny świat zewnętrzny. Wymowa, moralność, filozofia oparte są na umyśle subtelnym. „Prawdziwa wymowa drwi sobie z wymowy [geometrycznej], prawdziwa

moralność drwi sobie z moralności [geometrycznej], to znaczy moralność naszych przeświadczeń drwi sobie z moralności rozumu, gdyż obchodzi się bez reguł" (*Myśli*). Także prawdziwa filozofia drwi sobie z filozofii. „Drwić sobie z filozofii znaczy naprawdę filozofować" (*Myśli*).

Która z tych koncepcji pojmowania rozumu, a przez to koncepcji myślenia jest właściwa, tego nie można rozstrzygnąć. Obydwie są interesujące i obydwie ważne. Trudno nie wspomnieć o wadze rozumu empirycznego. Żyjemy w czasach dominacji bio-, info-, techno-, nauk biologicznych, informatycznych, technicznych. Czynimy ogromne nakłady na badania w dziedzinie nauk ścisłych. Usiłujemy odkrywać nowe technologie, materiały. Budujemy coraz szybsze komputery i coraz bardziej funkcjonalne aparaty telefoniczne. Wszystko to dzięki rozumowi empirycznemu. Rozum ten jest jednak tylko instrumentalny. Instrumentalny rozum wie, co czym się robi. Instrumentalny rozum zastąpił kiedyś radło pługiem, a niedawno liczydło kalkulatorem, a potem komputerem. Kiedy w 1976 r. zdawałem w szkole maturę, kalkulatory były jeszcze rzadkie. Posługiwaliśmy się metrycznym liniałem. Na komputerze zacząłem pracować dopiero w 1986 r. Nie wiemy jeszcze, na co pozwoli nam instrumentalny rozum.

Instrumentalny rozum, choć wie, co czym się robi, jest jednak ślepy na wartości dobra, prawdy i piękna. Dlatego instrumentalny rozum budował narzędzia opresji i zniszczenia w XX wieku. Instrumentalny rozum potrzebuje zatem koniecznie owego rozumu metafizycznego jako swego przewodnika. Potrzebujemy obydwu rozumów, które powinny pozostawać ze sobą w równowadze. Rozum metafizyczny jest bowiem bez rozumu instrumentalnego bezsilny, a rozum instrumentalny bez rozumu metafizycznego ślepy. Rozum instrumentalny jest

jak rachmistrz, który równie dobrze może wytyczać tory kolei, jak i liczyć więźniów w obozie koncentracyjnym i pieniądze w banku. Żyjemy jednak w czasach coraz większej dominacji rozumu instrumentalnego i coraz większego uśpienia rozumu metafizycznego. Coraz lepiej wiemy, co czym robić, a coraz trudniej nam radzić sobie z egzystencjalnymi i etycznymi dylematami. Kiedy rozum instrumentalny zaczyna dominować nad rozumem metafizycznym, nadchodzą czasy marne. Sądzę, że żyjemy w czasach marnych. Czasy marne nie rodzą już wielkiej literatury, sztuki, filozofii. Czasy marne są czasami śmierci humanistyki. Zafascynowani techniką, jej funkcjonalnością i skutecznością, zatarliśmy pamięć (Platon), nie dostrzegamy już boskiego światła w naszym umyśle (św. Augustyn), zasypaliśmy źródło, z którego wypływa pragnienie nieskończoności (Kartezjusz). Marność czasów tym bardziej wzrasta, im doskonalsze narzędzia tworzy rozum instrumentalny. Spróbuję przedstawić to na dwóch przykładach najkrótszej historii świata. Kiedy w średniowieczu mnisi przepisywali księgi ręcznie, a przedsięwzięcie to było pracochłonne i kosztowne, przepisywano więc tylko arcydzieła. Wynalazek Gutenberga, który umożliwił druk, już wyraźnie osłabił te kryteria. Drukowano już nie tylko arcydzieła. Kiedy jednak jeszcze w 1983 r. przepisywałem na maszynie do pisania pracę doktorską przez kilka kalek, miałem świadomość, co się stanie, gdy w połowie strony, a jeszcze gorzej przy końcu, sformułuję niewłaściwie myśl. Dzisiaj, kiedy piszemy na komputerze metodą kopiuj i wklej, mamy coraz większy zalew szmiry i głupoty. Kolejne nasze twory są kopiami, kopiami kopii i kopiami kopii kopii. Kiedy przed wiekami chłop musiał zaprząc woły do wozu i godzinami jechać trzydzieści kilometrów do miasta, bardzo długo zastanawiał się, czy przedsięwzięcie warte jest tego ogromnego wysiłku. Dzisiaj, kiedy bezmyślnie częściej używamy kciuka niż mózgu

wstukując esemesy, przestaliśmy zważać, czy mamy coś ważnego do powiedzenia innym. Paradoks narzędzi komunikacji polega na tym, że im łatwiej jest nam się komunikować, tym w mniejszym stopniu jesteśmy dla siebie obecni i doświadczamy coraz większego osamotnienia.

Potrzebujemy zatem na nowo odkryć źródła naszego myślenia metafizycznego. Czy to będzie odkrycie Platońskiej pamięci, czy augustyńskiego rozumu oświetlonego przez Boga, czy Kartezjańskiego pragnienia nieskończoności w nas. Człowiek bowiem, im doskonalej posługuje się rozumem instrumentalnym, tym bardziej – by mógł się rozwijać i nie zagrażać sobie i innym – musi myśleć siebie na miarę, która go nieskończenie przekracza.

Niejednokrotnie studenci pytali mnie, czy można nauczyć się myślenia. Nie ulega wątpliwości, że tak, jeśli przez myślenie rozumiemy sprawne posługiwanie się intelektem, zgodne z prawidłami. Można nauczyć się nie popełniać błędów logicznych, stosować odpowiednie metody poznawcze. Można nauczyć się posługiwać rozumem instrumentalnym. Nie oznacza to jednak jeszcze, że będziemy mieli coś ważnego do pomyślenia i do powiedzenia.

Czym zatem jest myślenie? Ciekawą metaforę odnajdujemy u francuskiego filozofa i pisarza Jeana Guittona, który myślenie ludzi z pasją dążących do prawdy przyrównał do polowania. „Artysta, uczony, myśliciel, noszą w sobie przedmiot swoich myśli, jak nosi się w sobie miłość albo cierpienie: we wszystkich momentach, we wszystkich szczelinach życia. Sen, czas wolny od pracy czy przeznaczony na rozrywkę, to tylko godziny swobodniejsze, w których na pozór tracimy z oczu zwierzynę, aby tym skuteczniej ją tropić: wchodzi w pole strzału, staje się naszym łupem, wpada w sidła tym łatwiej, jeżeli sądzi, że śpimy.

Łowca myśli nigdy nie odpoczywa, jak Goethe, jak Barres, który kładł kartki papieru na nocnym stoliku, jak Henri Poincare, który odkrył funkcję Fuchsa jadąc tramwajem – człowiek, który zajmuje się pracą badawczą, nie przestaje myśleć czy pisać. (…) Badacz powinien być kimś, kto się poświęcił, a poświęcenia się nie mierzy. W laboratorium mogłyby jeszcze mieć sens stałe godziny pracy. Ale jak wyznaczyć czas w dziedzinie literatury albo myśli abstrakcyjnej, tam, gdzie szuka się formy o wiecznym pięknie albo myśli wiecznie prawdziwej? (…) Szukamy nieraz namiętnie, metodycznie, zaczynając wciąż od nowa, klucząc i próbując podstępów, wciąż mając wrażenie, że rozwiązanie problemu jest tuż, tuż… i nie znajdując nic. Na jedną drogę badawczą, która doszła do celu, ile przypada dróg ślepych, ścieżek, które rzekomo wiodły do skarbca, a prowadziły donikąd albo do głębokiej rozpaczy! I nagle, bez naszej woli ani zasługi, gdzieś na zakręcie drogi, w momencie roztargnienia albo nocnego spoczynku, dana jest nam ta myśl, ktoś nam szeptem podpowiada formułę, rysuje się koncepcja batalii" (*Dziennik*). Możemy zatem zmitrężyć dzień i nie tylko dzień na myśleniu, podobnie jak łowczy, który odnalazłszy ślady zwierzyny, biega za nią po chaszczach, traci czas, naraża się na podarcie ubrania, by u kresu dnia stwierdzić, że niczego nie upolował. Jak w wierszu ks. Jana Twardowskiego, który przedstawia bardziej rozbudowaną wersję Kartezjańskiego *cogito ergo sum* („myślę więc jestem"): „Myślał myśliciel i nic nie wymyślił, i tak sobie pomyślał, po co ja tyle myślałem, żeby nic nie wymyślić, przecież mogłem wcale tyle nie myśleć i byłbym tyle samo wymyślił". To, co z punktu widzenia ekonomii jest stratą czasu, z punktu widzenia myślenia jest zyskiem. Nie wiadomo bowiem dlaczego i komu coś daje do myślenia? Dlaczego jedni są wielkimi odkrywcami, myślicielami, a inni nie. Jedno jest wszak pewne, że myśl nie pojawi się, jeśli na nią nie będziemy polować, jeśli

nie zdobędziemy się na wysiłek i trud, a także odwagę myślenia. Tylko myślącemu myśl daje do myślenia.

Gdzie jest jednak miejsce, w którym myślenie daje myślącemu do myślenia? Gdzie tropimy ślady myśli? Na polu czytania. Myślenie zawsze zaczyna się od czytania. To za pośrednictwem kultury, to znaczy za pośrednictwem czytania i interpretacji tekstów dokonuje się rozwój duchowy człowieka, budzi wrażliwość i kształtuje wyobraźnia. Czytanie poszerza naszą świadomość. Myślenie tropi ślady myślenia innych. Ślady te są danym przez geniuszy świadectwem zapamiętanej przez nich kiedyś prawdy (Platon) bądź tego, co dało im do myślenia Boże światło (św. Augustyn), albo tęsknoty za nieskończonością. Czy tropiąc te ślady odkryjemy nową myśl, nie wiadomo. Jedno wszak wiadomo – z pewnością jej nie odkryjemy jeśli tych śladów tropić nie będziemy. Tropienie śladów myślenia to czytanie.

Myślenie wymaga odwagi i trudu, gdyż odwagi i trudu wymaga czytanie. Nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Kiedy czasami przyglądam się bezradności studentów na egzaminie, dochodzę do wniosku, że ich bezradność wynika z przykładania do świata ducha i myśli miar zaczerpniętych ze współczesnej cywilizacji technicznej. Tu nie wystarczy wciśnięcie guzika maszyny, automatu, aby osiągnąć natychmiastowy skutek. Trzeba wiele odwagi i świadomości ryzyka, trzeba wiele trudu poświęcić myśleniu. Już 25 lat zajmuję się myśleniem. Mogę jednak stwierdzić z całą odpowiedzialnością, że czuję się dopiero u początku drogi. Myślenie jest wciąż jeszcze przede mną. Dlatego chciałbym zakończyć słowami pochodzącymi od Fryderyka Nietzschego: „Istnieją umysły nadzwyczaj utalentowane, które tylko dlatego są bezpłodne, że wskutek słabości temperamentu są zbyt niecierpliwe, żeby czekać na brzemienność".

EDWIN BENDYK

Ostrzeżenie przed przyszłością
Kilka uwag do sztuki Christopha Marthalera

Staję się śmiercią, burzycielem świata.

Słowa z *Baghavad Gity* wypowiedziane przez
Roberta Oppenheimera po wybuchu bomby atomowej

Nad dolnośląskim Lubiążem dominuje monumentalna bryła dawnego klasztoru cystersów. Budynek w 1830 roku udostępniono na Prowincjonalny Zakład Lecznictwa i Pielęgnacji. Szpital zajmował się także osobami psychicznie chorymi. W latach 1902–1910 w Lubiążu powstał nowy szpital psychiatryczny, odległy od klasztoru o jakieś dwa kilometry. Po kilkuletniej powojennej przerwie, od 1957 roku szpital w Lubiążu wznowił działalność i funkcjonuje do dziś pod nazwą Wojewódzkiego Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych.

Lubiąż zainteresował Christopha Marthalera, wielkiego czarodzieja teatru, który 30 i 31 października 2005 roku objął władzę nad szpitalem, wystawiając tam (w ramach festiwalu teatralnego Dialog) sztukę pt. *Ostrzeżenie przed przyszłością*. Spektakl miał premierę w maju w Wiedniu, na terenie Szpitala Psychiatrycznego im. Ottona Wagnera. To właśnie w tym obiekcie powstał podczas II wojny światowej specjalny oddział dla chorych umysłowo

dzieci, które na mocy nazistowskiej polityki eugenicznej poddano przymusowej eutanazji. Zatrudnieni w szpitalu lekarze uśmiercili 800 małych pacjentów. Dr Heinrich Grosse, kierujący kliniką, nie dość, że nie został nigdy pociągnięty do odpowiedzialności, to jeszcze dzięki badaniom na mózgach swych ofiar zdobył po wojnie sławę w psychiatrycznym świecie. Dopiero w 2002 roku odbył się pochówek dziecięcych mózgów, które do tego czasu stanowiły materiał naukowo-badawczy szpitala.

Lubiąski szpital przypomina wiedeńską klinikę nie tylko przeznaczeniem, ale także strukturą. Tworzą go rozrzucone w cichym lesie budynki; kto tam się znajdzie odnosi wrażenie sielanki. Przedstawienie rozpoczyna się wieczorem, już po zmierzchu, zwiedzaniem jednego ze szpitalnych oddziałów. Pusty, jak po dopiero co zakończonej wielkiej wyprowadzce. Pozostały tylko pamiątki po pacjentach: zabawki, kartki pocztowe, instrukcje podawania leków. Łóżka już zsunięto do magazynów. Na ścianach wiszą słuchawki, które umożliwiają wysłuchanie listów, jakie mali pacjenci wiedeńskiego szpitala pisali do swych rodziców.

Po tej „wizji lokalnej" trzeba przenieść się do sali widowiskowej i zająć miejsce przy długich stołach, zastawionych konferencyjnymi artefaktami: filiżankami z resztkami kawy, słonymi paluszkami. Stajemy się uczestnikami konferencji, podczas której chwalone jest racjonalne zarządzanie społeczeństwem. Eliminacja osobników o obniżonej wartości życia to tylko jedna ze zdobyczy cywilizacji dążącej do doskonałości. Teksty nazistowskie mieszają się ze współczesnymi dokumentami odnoszącymi się do racjonalizacji służby zdrowia i systemu emerytalnego.

Docierają do nas argumenty, jakie nieraz słychać w medialnych debatach o kosztach leczenia i utrzymania ludzi niepełnosprawnych, z zaklęciem powtarzanym przez technokratów: wszystko ma swój koszt. W domyśle, który w *Ostrzeżeniu* jest wyartykułowany wprost: również wartość życia można

skalkulować. A skoro tak, to może poddać je jeszcze wycenie na rynku, która umożliwi inwestowanie w zasoby cenniejsze (ludzi młodych, wykształconych) niż w osoby starsze, w wieku poprodukcyjnym. W zasadzie to stają się one zbędnym kosztem dla społeczeństwa, zatem może je wyeliminować? Tę szaloną logikę Marthaler nakręca aż do krańcowych konsekwencji: nie, nie chodzi o to, żeby kogoś zmuszać do eutanazji. Konferencja przy brudnych stołach służy temu, byśmy przyjęli nieodpartą moc racjonalnych argumentów i dobrowolnie zgodzili się na eutanazję po ukończeniu 60 lat.

Groteskową atmosferę potęguje absurdalny czarny humor. Aktor, grający prowadzącego konferencję, przechadza się wśród stołów i opowiada dowcip: „Biały lekarz trafia do kanibali. Ci prowadzą go do miejscowego znachora, który poddaje białego dokładnym oględzinom. Zafascynowany przybysz chwali gospodarzy: Ale u was wysoki poziom opieki zdrowotnej! Jakiej opieki zdrowotnej? – odpowiada znachor – To kontrola sanitarna żywności. Znachor zarykuje się sztucznym śmiechem akwizytora." I kolejny dowcip: „Biały trafia do kanibali i widzi, że zastawiają stół na kolację, układając noże i widelce. Na jego zdziwienie kanibale odpowiadają z godnością: Przecież nie jesteśmy dzikusami! I znowu zarykują się śmiechem."

W przerwie wędrówka po innych opustoszałych obiektach, gdzie aktorzy Marthalera odczytują fragmenty nazistowskich przemówień. Nie to jednak robi największe wrażenie. Oto bowiem opustoszały budynek, który oglądaliśmy na początku, ma rozświetlone okna, a z ukrytych głośników dobiega głos dziecięcych śmiechów. Prosty zabieg inwersji czasowej wywołuje efekt absolutnej grozy, jednocześnie wzmacniając sens pierwszej części spektaklu: milczenie pustych szpitalnych sal było możliwe, bo choć wszyscy byliśmy i jesteśmy uczestnikami, milczymy, milczeniem przyjmując logikę racjonalizacji prowadzącej do zagłady.

Podczas ostatniej części scenografia się zmienia, widzowie stają się normalnymi widzami, siadają w fotelach ustawionych naprzeciwko sceny. Najpierw słuchamy aktora, który recytuje zeznania dr. Grossa i innych członków personelu medycznego tłumaczących, że w klinice nic złego się nie działo, dzieci miały doskonałą opiekę, a eutanazja była rodzajem wyzwolenia. Aktor podczas tej recytacji zmienia co chwila teksty, mówi też głosem pacjenta, który przeżył i wspomina poczucie grozy i lęku.

Potem rozsuwa się kurtyna, na scenie przy fortepianie zasiada aktor w masce klowna i zaczyna grać *Pieśni o dziecięcej śmierci* Gustawa Mahlera. Inni aktorzy w dziecięcych maskach wychodzą na scenę, próbując się bawić. Czynią to nieudolnie, potykają się, nie wiadomo czy są manekinami, czy żywymi istotami. *Ostrzeżenie przed przyszłością* jest tragedią, tragedią nowoczesną, w której nie ma miejsca na katharsis. Marthaler nie szczędzi widzów, pokazując, że niezależnie jakie miejsce zajmują na społecznej scenie, współodpowiadają. W świecie, w którym może wydarzyć się to, co w wiedeńskim szpitalu, wszyscy ponoszą za to winę.

Istnieje pokusa prostej interpretacji sztuki Marthalera, obecna często w omówieniach prasowych. To protest przeciwko traktowaniu człowieka jak rzeczy, w wyniku którego staje się on przedmiotem ocenianym pod względem użyteczności. Taka racjonalizacja ma wiele aspektów (ekonomiczny: jak długo leczyć ciężko chorych, skoro to kosztuje bardzo wiele, jak utrzymywać „bezproduktywnych" ludzi starszych, coraz bardziej obciążających budżety nowoczesnych państw), polityczny (kto jest godny podmiotowości politycznej, biernej i czynnej), medyczny (co uznać za normę zdrowia, kto zatem jest chory fizycznie lub umysłowo i w efekcie powinien być poddany terapii – czy np. chory umysłowo jest dysydent protestujący przeciwko władzy radzieckiej, skoro nawet dziecko wie, że władza radziecka jest najlepsza na świecie i protestować przeciwko niej to szaleństwo).

Na pewno sztuka Marthalera to dzieło o człowieku i granicach człowieczeństwa, o kompetencjach w określaniu istoty człowieka i decydowaniu o konsekwencjach takich decyzji. Te konsekwencje mogą być stosunkowo łagodne, jak odmowa prawa do politycznej reprezentacji, stosowana np. wobec kobiet. Mogą to być jednak konsekwencje radykalne: odmowa prawa do życia osobie uznanej za byt gorszej, nieludzkiej jakości. Stąd droga do wiedeńskiego szpitala czy też Holokaustu jest już prosta, wręcz naturalna i logiczna.

Odczytuje się także dzieło Marthalera jako ostrzeżenie przed eugeniką. Wszak eutanazja niepełnosprawnych umysłowo dzieci miała cel. Chodziło o oczyszczenie rasy z osobników „psujących krew". Ale eugenika nie była wymysłem nazistowskim, lecz liberalnym, a prawodawstwo eugeniczne wprowadzone w swoim czasie m.in. w Stanach Zjednoczonych, w Szwecji obowiązywało jeszcze długo po wojnie. Na jego mocy można było sterylizować osobniki pod względem społecznym mniej wartościowe. Naziści projekt eugeniczny konsekwentnie rozwinęli do jego logicznego końca. Marthaler zwraca jednak uwagę, że dziś, w dobie biologii molekularnej, inżynierii genetycznej i technik reprodukcyjnych, eugenika wkracza na nowe wyżyny. Oto bowiem zbliżamy się do momentu, kiedy można będzie projektować społeczeństwo poprzez bezpośrednie projektowanie jego podmiotu, człowieka. Tym samym zbliżamy się do możliwości realizacji zadania, jakie przed myślą polityczną postawił Platon w swej wizji społeczeństwa doskonałego.

By jednak lepiej zrozumieć przesłanie Marthalera, a także dostrzec w przyszłości, oprócz zagrożeń, pewien potencjał pozytywności, musimy przyjrzeć się losom projektu humanistycznego. Najpełniejszym chyba wyrazem tego projektu jest hymn *De humanis dignitate* Pico della Mirandoli z 1486 roku:

Określona natura innych stworzeń jest związana prawami przeze mnie ustanowionymi. Ciebie zaś nieskrępowanego żadnymi ograniczeniami oddaję w twe własne ręce, abyś zgodnie ze swą wolą sam określił swą naturę. Umieściłem cię pośrodku świata, abyś tym łatwiej mógł obserwować cały świat. Nie uczyniłem cię ani niebiańskim, ani ziemskim, ani śmiertelnym, ani nieśmiertelnym, abyś sam w sposób wolny i godny ciebie tworząc siebie, nadał sobie taki kształt, jaki zechcesz.

Projekt renesansowego humanizmu był niczym innym, jak zauważył Martin Heidegger w *Liście o humanizmie* z 1946 roku, niż *renascientia romanitas*, próbą wskrzeszenia Rzymu ze sformułowaną tam ideą *humanitas*. „A więc w samym sercu takiego myślenia tkwi *humanitas*, ponieważ humanizm to: rozważać i troszczyć się, by człowiek był ludzki, a nie nieludzki, „*inhuman*", to znaczy poza swoją istotą." Humanizm był wynikiem spotkania Rzymu z kulturą hellenizmu. „*Homo humanus* stał w opozycji do *homo barbarus*. *Homo humanus* jest tutaj Rzymianinem, który podnosi i uszlachetnia rzymską *virtus*, «ucieleśniając» to, co pod słowem παιδεια przejęto od Greków. Grecy są tu Grekami hellenizmu, którego kultury uczono w szkołach filozofii. Chodzi głównie o *eruditio et institutio in bonas artes*. Tak pojmowana παιδεια zostaje przełożona jako *humanitas*".

Człowiek dopiero się staje, podejmując wybór oznaczający chęć dotarcia do swej istoty, co możliwe jest tylko przez długotrwałą formację, „udomowienie", jak rozwija myśl Heideggera w 1999 roku Peter Sloterdijk w wykładzie wygłoszonym w Bawarii na zamku Elmau. Sloterdijk przypomina, że Rzymianie stworzyli nie tylko ideę *humanitas*, ale także zupełne jej przeciwieństwo: cyrk, w którym upust swym zwierzęcym żądzom dawała nieludzka, barbarzyńska część społeczeństwa. „To, co wykształceni Rzymianie nazywali *humanitas,* byłoby nie do pomyślenia bez chęci odróżnienia się od kultury pospolitej

cyrkowych igrzysk. Humanista pogrążony w oszalałym tłumie miał świadomość, że jako człowiek narażony jest na niebezpieczeństwo zarażenia zezwierzęceniem".

Humanizm jest, zdaniem Sloterdijka, możliwy tylko w splocie z barbarzyństwem, jako starcie dwóch kultur: wysokiej, uczłowieczającej, polegającej na lekturze filozoficznej i kultury masowej rzymskich stadionów. Bycie człowiekiem to wybór, a prawdziwy rzymski humanista swój wybór utwierdzał dobrowolnie uczestnicząc w igrzyskach, by wystawiać się na ryzyko zarażenia bestialstwem. Po zwycięskim wyjściu z próby mógł z przekonaniem mówić, że nic co ludzkie nie jest mu obce.

Pod koniec XV wieku Europejczycy ruszyli w świat, rozpoczynając wielkie dzieło pierwszej globalizacji. W ciągu kilkudziesięciu lat radykalnie zmieniła się przestrzeń antropologiczna, a symboliczną klamrę tworzy pięćdziesięciolecie zapoczątkowane podróżą Krzysztofa Kolumba w 1492 roku i domknięte opublikowaniem przez Mikołaja Kopernika *De revolutionibus* w 1543 roku. Świat zmienia się radykalnie w bardzo krótkim okresie, zmuszając do ponownego przemyślenia humanistycznego projektu. Cesarz Karol V Habsburg był pierwszym i ostatnim władcą światowego, chrześcijańskiego imperium. On też musiał zmierzyć się z konsekwencjami przesuwania się granic europejskiej cywilizacji. Na horyzoncie pojawia się Obcy, radykalnie odmienny. Kim są mieszkańcy Nowych Ziem, nieznający imienia Boga, nieznający „cywilizowanych" obyczajów ani kultury, różniący się tak bardzo pod względem antropologicznym? Jeśli to ludzie, to należy traktować ich jak bliźnich, co oznaczałoby m.in. niedopuszczalność pracy niewolniczej.

Cesarz Karol V postanowił rozstrzygnąć problem w sposób nowoczesny, odwołując się do mądrości uczonych i dostępnego w XVI wieku stanu wiedzy. Zwołał więc w 1550 roku w Valladolid *juntę*, sąd mędrców, który miał rozstrzygnąć o statusie

Indian, a tym samym określić dopuszczalne wobec nich metody traktowania. W Valladolid starli się wybitni intelektualiści, m.in. Bartolomé de las Casas, autor słynnego wówczas dzieła *O zagładzie Indian*, przerażającego opisu zbrodni, jakich dopuszczali się w Ameryce konkwistadorzy. De las Casas twierdził, że Indianie są istotami racjonalnymi, zdolnymi do posiadania praw osobowych. Odmiennego zdania bronił Juan Ginés de Sepúlveda, niedopatrujący się w Indianach ludzkich cech.

W rezultacie zwyciężyła nie tyle nauka, ile polityka. Papież, zgodnie ze swoim wcześniejszym stanowiskiem wyrażonym w bulli z 1537 roku, przyznał Indianom racjonalność i poziom umysłowy zdolny do przyjęcia wiary w Chrystusa. Taka decyzja legitymizowała hiszpańską misję w Ameryce jako krzewicieli chrześcijańskiego uniwersalizmu, jednocześnie jednak skomplikowała ekonomię przedsięwzięcia. Osobowy status Indian uniemożliwiał ich niewolnictwo. W efekcie rachunek zapłacili czarnoskórzy mieszkańcy Afryki, ze względu na swoją gatunkową „podrzędność" okazali się niegodni praw ludzkich, a więc nadający się do pracy niewolniczej.

Spór z Valladolid określił nowoczesny standard debaty polityczno-obywatelskiej, której istotą do dzisiaj jest określenie zewnętrznej normy umożliwiającej włączenie do wspólnoty swoich i wykluczenie – postawienie poza pełnią praw – obcych. Humanizm nowoczesny jest humanizmem opierającym się na logice włączania i wyłączania, a nie na autonomicznym wyborze drogi rozwoju. Jeśli dziś Nicolas Sarkozy, prezydent Francji odwołujący się do republikańskiej tradycji, forsuje wprowadzenie obowiązkowych testów genetycznych dla imigrantów, by jednoznacznie, w sposób biologiczny stwierdzić ich prawo do osiedlenia się nad Sekwaną, to jakkolwiek nieprzyjemne skojarzenia taka praktyka wywołuje, jest ona tylko kontynuacją dobrej, liberalnej i humanistycznej tradycji.

To w jej imię Republika, głosząca hasła „Wolności, Równości, Braterstwa", nie zniosła niewolnictwa w koloniach francuskich, a Polakom, wiernym sojusznikom, przypadł zaszczyt tłumienia buntu Czarnych na Santo Domingo. Podobnie też ojczyzna wolności, Stany Zjednoczone utrzymywały niewolnictwo przez blisko 100 lat od chwili swego powstania, a na prawną likwidację segregacji rasowej trzeba było poczekać jeszcze kolejne 100 lat, do drugiej połowy XX wieku.

Jak zauważa konserwatywny filozof amerykański Francis Fukuyama, cała historia liberalnej demokracji to nieustanna walka o rozszerzanie zakresu emancypacji, czyli o rozszerzanie praw podmiotowych na kolejne, wykluczone dotychczas grupy. Innymi słowy, projekt liberalnej demokracji jest procesem nieustannego niwelowania różnic i rozszerzania swego zakresu, ograniczonego na początku do białych mężczyzn o cenzusie majątkowym, do warstw wykluczonych z przyczyn ekonomicznych, płciowych czy rasowych.

Opisywany przez Fukuyamę proces zdaje się nie mieć końca, bo końca nie ma proces różnicowania się społeczeństwa, a tym samym definiowania się tożsamości i podmiotowości. Nie mamy już problemu z różnicami jeszcze do niedawna traktowanymi jako esencjalne, jak rasa czy płeć, a już wyłaniają się kolejne grupy formułujące roszczenia równości, której są pozbawione ze względu na orientację seksualną, upośledzenie fizyczne lub odmienność kulturową.

Produkowanie różnic jest najwyraźniej warunkiem społecznej i politycznej dynamiki. Różnica stygmatyzuje, jednocześnie jednak skłania noszących jej piętno do podjęcia walki o uznanie, w której zmierzyć się muszą z „normalną większością" drżącą w obawie, że wchłonięcie różnicy zniszczy wspólnotę. Rezultat walki, jak uczy historia, nie zawsze jest pozytywny. Alternatywę dla pełnego wchłonięcia różnicy stanowi radykalne wykluczenie, zagłada.

Pozostaje jeszcze trzecia droga, „droga królewska" wskazana po raz pierwszy przez Platona, czyli pozytywna selekcja, planowe „udomowienie" człowieka w kierunku cech potrzebnych społeczeństwu. Mówiąc bardziej nowocześnie, istnieje jeszcze pokusa eugeniki, produkcji Nowego Człowieka o wymarzonych cechach.

Czas wrócić do wspomnianego już tekstu Petera Sloterdijka. Niemiecki filozof wybiega w nim w przyszłość, wskazując, że ludzkość przeżywa właśnie kolejne radykalne przesunięcie antropologiczne. Po opisanej już zmianie granic kosmiczno-ziemskich na początku XVI wieku, w drugiej połowie XIX wieku, za sprawą Karola Darwina, człowiek stracił szczególną pozycję w świecie biologii, a w chwilę później, za sprawą Zygmunta Freuda, w gruzach legło przekonanie o możliwości racjonalnej kontroli ludzkiego postępowania. Dziś jednak przygotować musimy się do wstrząsu szczególnego, do opuszczenia bezpiecznej przystani humanizmu, w której tkwimy od ponad 2000 lat.

To radykalne przesunięcie wynika z pojawienia się antropotechniki, czyli zdolności człowieka do oddziaływania na samego siebie za sprawą najnowszych narzędzi dostarczanych przez biologię. Sednem projektu humanistycznego była paideja jako narzędzie docierania do istoty człowieczeństwa drogą kultury i filozoficznej formacji. Sloterdijk, który pisał swój tekst po niemiecku, odwołuje się do gry słów: *Lesen* (czytać) i *Auslesen* (selekcjonować). Formowanie przez lekturę ustąpi przed formacją przez selekcję, przez zastosowanie nowoczesnych antropotechnik.

Wkraczamy w epokę posthumanizmu, która będzie rezultatem zbiegnięcia się dwuch procesów. Jeden, to właśnie rozwój antropotechnik. Drugi, to niejako dobrowolne odejście od humanizmu, którego istotą była lektura (*Lesen*). Sloterdijk

pisze o upadku kultury tekstu, której ostatnią przystanią są zakurzone, milczące archiwa. Człowiek dokonuje wyboru, odrzucając *humanitas* staje się barbarzyńcą gotowym jednak nie tyle do powrotu do stanu natury, zezwierzęcenia, ile do posthumanistycznej syntezy.

Niemiecki filozof czyta ten scenariusz historycznie, umieszczając w tle refleksję społeczno-polityczną Platona oraz takie momenty w dziejach, jak nowoczesny projekt edukacji burżuazyjnej jako narzędzie formowania Człowieka-Obywatela, a następnie projekt eugeniki nazistowskiej. Platon jest potrzebny, by pamiętać o istniejącej od zarania politycznej refleksji pokusie stworzenia społeczeństwa idealnego, co dziś, po zamianie *Lesen* przez *Auslesen,* staje się niepokojąco realne.

Nie możemy sobie pozwolić na bierną rezygnację, na stwierdzenie, że nas to nie dotyczy, choć perspektywa wkroczenia w rolę najwyższego prawodawcy i selekcjonera, świadomość, że człowiek staje się jednocześnie podmiotem i przedmiotem musi niepokoić. „Wiadomo jednak, że odrzucenie, dymisja są skazane na bezpłodność: trzeba więc w przyszłości odgrywać aktywną rolę i sformułować kod antropotechnologii" – pisze Sloterdijk.

Doskonałą ilustracją do słów niemieckiego filozofa jest opinia Marvina Minsky'ego, jednego ze współtwórców badań nad sztuczną inteligencją i sieciami neuronowymi, zadeklarowanego transhumanisty: *Zwykli ludzie nie będą wiedzieli co robić z nieśmiertelnością. Masy nie mają jasno określonego celu ani sensu działania. Tylko uczeni, którzy pracują nad problemami wymagającymi dziesięcioleci by je rozwiązać, są w stanie zrozumieć potrzebę wydłużonego życia. Naukowcy nie powinni ponosić odpowiedzialności etycznej za swe dzieła, powinni móc robić, co chcą. Nie powinniśmy oczekiwać, by kierowali się takimi samymi wartościami, jak inni ludzie*.

Otwiera się możliwość eugeniki na skalę dotychczas nie znaną, a posthumanizm jawi się w tym przypadku jako radykalny antyhumanizm. Ale to nie jedyna możliwa ścieżka rozwoju epoki posthumanistycznej. Czasy posthumanizmu nie muszą być czasami marnymi. Wróćmy do przesłania Pico della Mirandoli. Powtórzył to przesłanie w XX wieku George Canguilhem. Istota człowieka polega na braku możliwości normatywnego określenia tej istoty. To ekonomiczny i polityczny kontekst nowoczesności spowodowały konieczność definicji osoby i określenia granicy między osobą/podmiotem praw i istotą praw tych pozbawioną, przeznaczoną do procesu ewentualnej puryfikacji społeczeństwa, usunięcia.

Chciałbym przedstawić alternatywną ścieżkę rozwoju. Pod koniec XIX wieku powstała utopia *Homo communicans*, człowieka komunikującego się, która odwoływała się do pośredniej drogi między liberalną koncepcją podmiotu jako jednostki autonomicznej i aspołecznej oraz socjalistycznym kolektywizmem, ustanawiającym prymat społeczeństwa nad jednostką. W koncepcji *Homo communicans* uwagę zwraca się na pierwszeństwo relacji, na niemożliwość istnienia autonomicznego podmiotu bez relacji z innym. Zarówno społeczeństwo, jak i podmiotowość są epifenomenami aktów komunikacji, to one mają pierwotny charakter. Nie ma Ja bez Ty – piszą na początku XX stulecia filozofowie dialogu.

Jak jednak zoperacjonalizować humanistyczny potencjał filozofii dialogu, jak stworzyć kontrprojekt dla bezprzykładnego barbarzyństwa, w jakie osunęła się cywilizacja w okresie wojny trzydziestoletniej XX wieku? Co można odpowiedzieć na zabijającą wszelką metafizykę konstatację Roberta Oppenheimera: staję się śmiercią, burzycielem świata?

Odpowiedzią była cybernetyka, próbująca rozwiązać kilka problemów związanych z człowiekiem. Cybernetyka, wraz z rodzącą się w tym samym okresie informatyką, stanowiły

zwieńczenie epoki nowoczesnej, której jednym z wyznaczników był rozwój nauki, możliwy z kolei ze względu na odkrycie, że uniwersalnym językiem Natury jest matematyka. Technicznym wyrazem tej kulminacji stał się komputer, maszyna inna niż wszystkie. Komputer to maszyna uniwersalna, techniczny wyraz rozumu matematycznego, a nie instrumentalnego, właśnie ta technika która, jak pisze Martin Heidegger, stanowi postać prawdy.

W 1942 roku Norbert Wiener zaczął tworzyć podstawy ogólnej teorii sterowania, którą znamy pod nazwą cybernetyki. Pracując nad kwestią ulepszenia systemu artylerii przeciwlotniczej Wiener dostrzegł, że kwestię sterowania różnymi systemami złożonymi z ludzi, maszyn, zwierząt lub dowolnych połączeń można sprowadzić do zbioru uniwersalnych reguł. W pewnym podstawowym sensie człowiek nie różni się od maszyny, pilot w samolocie nie stanowi odrębnego od samolotu podmiotu, lecz zlewa się z samolotem w jedność.

Taka integracja jest możliwa, bo wszystkie rodzaje bytu integruje zasada matematyczności świata, zgodnie z którą wszystkie działania, włącznie z myśleniem i aktami woli są efektem rachunku, którego reguły można wyabstrahować i oderwać od konkretnego ucieleśnienia. Skoro tak, to myślenie nie jest właściwością zarezerwowaną wyłącznie dla ludzi, ale uniwersalną właściwością rzeczywistości, którą można zastosować w stworzonych przez człowieka obiektach techniki. „Substancjalną" podstawą tej jedności świata jest szczególny czynnik – informacja, którego jednoznacznej definicji nie dopracowaliśmy się do dzisiaj. Najogólniej jednak jest to czynnik przeciwstawiający się entropii, czyli siłom chaosu. Związek entropii z informacją w sposób matematyczny zdefiniował w latach 40. XX wieku Claude Shannon, dopełniając matematyczno-cybernetyczno-informacyjną rewolucję.

Wiener, uzbrojony w te wszystkie nowe pojęcia, podejmuje projekt, którego efektem ma być nie tylko otwarcie nowych możliwości przed techniką, ale także zdefiniowanie na nowo człowieka i społeczeństwa, tak by na zawsze uwolnić się od koszmaru destrukcji zapisanego w projekcie nowoczesności. *Biologiczna indywidualność organizmu zdaje się polegać na pewnej ciągłości procesu i na pamiętaniu przez organizm skutków jego wcześniejszego rozwoju. Jak się wydaje, dotyczy to również rozwoju umysłowego. Operując pojęciami mającymi zastosowanie do elektronowych maszyn liczących, indywidualność umysłu polega na zachowaniu dawniejszego programowania i pamięci oraz na stałym rozwoju według uprzednio wytyczonych linii* – pisał Wiener.

Nośnikiem tej pamięci jest właśnie informacja, którą można komunikować: *Fakt, że nie potrafimy przetelegrafować struktury człowieka z jednego miejsca do innego, wydaje się być wynikiem trudności technicznych, a zwłaszcza trudności zachowania żywego organizmu w czasie tak radykalnej rekonstrukcji. Sama koncepcja jest w wysokim stopniu do przyjęcia. A co do radykalnej rekonstrukcji żywego organizmu, to trudno o bardziej radykalną niż losy motyla w okresie, gdy jest poczwarką*.

Nie zamierzam dyskutować w tym momencie realności technicznej projektu teleportacji, klonowania umysłu, itd. Istotniejsze są postulaty etyczno-polityczne Wienera. Po pierwsze, dostrzega on możliwość radykalnego przedefiniowania podmiotu, odrzucenie liberalnej definicji odwołującej się do normy i prowadzącej w efekcie do wykluczenia. *Koncepcji, zgodnie z którą nie wszyscy ludzie są ludźmi nowe koncepcje przeciwstawiają wizję jeszcze bardziej uniwersalistyczną niż sformułowaną przez Oświecenie. Nie tylko wszyscy ludzie są ludźmi, ale oprócz ludzi także pewne „byty" – maszyny inteligentne – mogą aspirować dostępu do ludzkości*.

Po drugie, komunikacja polegająca na produkcji i przekazywaniu informacji jest z definicji dobra, bo prowadzi do zmniejszenia chaosu świata. Wiener chciał za pomocą komunikacji wyzwolić ludzkość od widma „Bergen-Belsen i Hiroszimy". Wojny, wrogość człowieka wobec człowieka są symptomem procesów kosmicznych, emanacją zła, któremu na imię entropia (entropia była dla Wienera jednym z imion Diabła). Na skutek intensyfikacji działań komunikacyjnych rośnie uporządkowanie struktur społecznych, stają się one coraz bardziej zróżnicowane i powiązane, przez co zmniejsza się ryzyko destrukcyjnej katastrofy. Barbarzyństwu wieków ciemnych, należy przeciwstawić ideę społeczeństwa przejrzystego.

Po trzecie w końcu, cybernetyka daje szansę na uwolnienia się społeczeństw od przekleństwa chaosu polityki, oferując w zamian racjonalne metody zarządzania sprawami ludzkimi. To cybernetyka i społeczeństwo komunikacyjne, a nie liberalizm lub komunizm są w stanie spełnić postulat Saint-Simona, by polityka przekształciła się z zarządzania ludźmi w administrowanie rzeczami.

Posthumanizm Wienera nie jest antyhumanizmem, lecz radykalizuje sam humanizm, w duchu heideggerowskiego stwierdzenia z 1946 r., że pojęcie humanizmu straciło sens, ale odrzucenie klasycznej idei humanizmu nie jest antyhumanizmem, nie jest barbarzyństwem.

Jaka jest więc nasza dzisiejsza sytuacja, jaka jest możliwość przyszłości, przed którą ostrzega Marthaler? *Primum vivere, deinde philosophari*. Lub inaczej, myśleć nie tylko technikę, ale na powrót trzeba myśleć politykę. Nie łudźmy się, że bez polityki rozwiążemy jakikolwiek z problemów realnego świata.

To jednak, czy polityka wpadnie w ręce ludzi, którzy chcą zrealizować wizje społeczeństwa idealnego Platona, Campanelli, Morusa czy też stanie się narzędziem emancypacji i humanizacji

posthumanizmu zależy od politycznej partycypacji. W pierwszej więc kolejności należy umożliwić polityczną partycypację faktycznie i potencjalnie wykluczonym. Partycypacja nie oznacza formalnego prawa głosu w systemie demokratycznym, ale możliwość uczestniczenia w nieustanne rozmowie. To właśnie rozmowa, jak wyjaśniał w XIX wieku Gabriela Tarde, jest warunkiem formowania opinii. Tam zaś gdzie formuje się opinia, rodzi się władza. Mówi Tarde: *fabryką władzy nie jest parlament, ani gmach rządu, lecz miejsca gdzie trwa rozmowa*.

Warunkiem upolitycznienia, a więc upodmiotowienia jest otwarcie ludziom ust. Można mówić o produktywności rozmowy w sensie społecznym, politycznym i ekonomicznym. To w rozmowie powstają i umacniają się więzi społeczne, tworzy się kapitał społeczny, który da się mobilizować do działań o charakterze ekonomicznym i politycznym. By jednak rozmowa miała wymiar społeczny, musi być zapośredniczona, wymaga udziału mediów. Jak przekonująco argumentuje Philippe Breton, demokratyczna partycypacja zawsze wymagała szczególnych i właściwych dla danej epoki kompetencji związanych z mową. W starożytnej Grecji warunkiem prawdziwej politycznej podmiotowości było opanowanie sztuki retoryki. W epoce nowoczesnej kanon rozmowy określała oparta na druku i książce kultura humanistyczna. Jakie kompetencje potrzebne są w epoce posthumanistycznej? Tu jeszcze klarownych odpowiedzi nie ma, powstają one w tych wielkich laboratoriach, jakimi są nowe ruchy społeczne opierające swą działalność na wykorzystaniu nowych mediów.

W laboratoriach tych próbowane są nowe formy tworzenia więzi społecznych, budowania struktur zaufania i hierarchii. Prace takich badaczy, jak Henry Jenkins czy Yochai Benkler pokazują, że nowe formy rozmowy umożliwione przez nowe technologie medialne doprowadzą do krystalizacji opinii.

Na pewno będzie to (czy może już jest) inna opinia niż opinia epoki gazet i opinia epoki społeczeństwa masowego. Społeczeństwo posthumanistyczne staje się społeczeństwem postmasowym. Jak będą się w nim kształtowały relacje władzy w głównej mierze zależeć będzie od zrozumienia, jak w tym nowym świecie ludzie rozmawiają.

Powstaje fenomen pozarynkowej produkcji społecznej – coraz większe rzesze ludzi uczą się wytwarzać wartość poza logiką rynku i gry kapitału, a socjologowie by zrozumieć to zjawisko, odrzucają koncepcję *Homo economicus* i wracają do antropologii daru. Powstają nowe formy zrzeszania się, przypominające nieco ruch spółdzielczy końca XIX wieku, który polegał na zastosowaniu innowacyjności społecznej i alternatywnych form zrzeszania się i organizowania, by przeciwstawić się ówczesnemu kapitalizmowi. Pozarynkowa produkcja społeczna jest próbą odnowienia tamtej historycznej formuły w epoce kapitalizmu kognitywnego. Kojin Karatani, japoński neomarksista analizuje w książce „Transcritique. On Kant and Marx" te nowe formy stowarzyszania się, które wręcz kwitną w krajach takich jak Brazylia, Argentyna czy Filipiny. Mają one różny charakter, a więc tradycyjnych spółdzielni, lokalnych giełd służących bezpieniężnej wymianie świadczeń (jednostką rozliczeniową może być czas: prawnik za godzinę swojej usługi dostaje godzinę koszenia trawnika).

Jednocześnie jednak wszystkie te ruchy wytwarzają potężny kapitał społeczny, który może być użyty ofensywnie. Najsilniejszą bronią nie jest już jednak, jak 100 lat temu, strajk i widmo strajku generalnego. Współczesny kapitalizm mniej niż produkcji potrzebuje konsumpcji, bo to dopiero podczas konsumpcji tworzy się wartość. Nie strajk więc, lecz odmowa konsumpcji stanowi największe zagrożenie. Bojkoty konsumenckie wobec marek stosujących nieetyczne praktyki w krajach inwestowania

nieraz już dowiodły trafności tego spostrzeżenia. Odmowa konsumpcji i pozarynkowa produkcja to potężna siła, mająca coraz większy wpływ zarówno na politykę, jak i sam kapitalizm.

Nie należy jednak zbyt szybko wpadać w euforię. Nad pozytywnym potencjałem wynikającym z trwającego przełomu komunikacyjnego i posthumanistycznej transformacji rozpościera się cień milczącej większości, o którym pisał przenikliwie Jean Baudrillard. Co zrobić z ludźmi, którzy mogą mówić, lecz nie chcą? Jak ich włączyć do rozmowy? Wiemy przecież, że recepta jakobińska, powtórzona później przez Lenina i Mao, by wtłoczyć świadomość od góry i wybić alienację kolbami karabinów nie daje pozytywnego skutku.

Prawdziwa rewolucja, jak zauważył to 100 lat temu Edward Abramowski, a powtórzył w 1980 r. Józef Tischner w „Etyce solidarności" odbywa się na poziomie podmiotu, człowieka. Świadomości nie da się wtłoczyć, można na nią oddziaływać, włączając uporczywie ludzi w sieci rozmowy. Ważne jest przy tym, by wyciągać właściwe wnioski z licznych eksperymentów w nowej przestrzeni komunikacyjnej. Mobilizacja i uaktywnienie milczącej większości nie musi polegać na bezpośrednim włączeniu do politycznego działania.

Wystarczy włączać w dowolne sieci rozmów, których najwięcej dziś powstaje wokół kultury popularnej. Cel najważniejszy, to wyzwolenie kreatywnego potencjału, pokazanie, że można i warto wyzwolić się ze szponów czasu martwego biernej konsumpcji i bezmyślnej produkcji, że można uciec Kronosowi odzyskując swą podmiotowość w spontanicznej kreacji, w akcie innowacji podczas którego powstaje coś nowego, coś co wprowadza nowy wektor rozwoju rzeczywistości.

Akt twórczy stwarza podmiot i jego otoczenie, jest darem ofiarowanym poza jakąkolwiek logiką rynku i kapitału, jest „labor of love", aktem miłości, siły pierwotnej i jedynej siły

produktywnej, bez której nie ma społeczeństwa. Bo miłość to także jedyne medium komunikacji, które unieważnia wszelkie różnice i umożliwia powstanie najbardziej nawet nieprawdopodobnych relacji. W świetle dotychczasowej analizy miłość staje się więc siłą par excellence polityczną, choć przecież nikt w polityce o miłości nie mówi.

Epoka posthumanistyczna wkracza w decydujący moment, o czym tak przekonująco pisał Peter Sloterdijk. Rozwój antropotechnologii w połączeniu z logiką kapitału stwarza ryzyko utowarowienia samej istoty człowieczeństwa. Jak już w latach 80. uprzedzał Jean Baudrillard, kapitalizm schodzi do poziomu dominacji nad DNA, do poziomu kodu. Odpowiedzią nie jest jednak zwiększenie kontroli nad kapitałem przez państwo, bo współczesny Lewiatan uzbrojony we wspomniane antropotechnologie zyskuje absolutną biowładzę, rozciągającą się od mocy anihilacji życia za pomocą bomby termojądrowej po projektowanie form życia poprzez manipulacje na poziomie kodu.

Każda próba zaprojektowania przyszłości, czy to za pomocą próby reanimacji państwa-Lewiatana, czy też przez oddanie kompetencji zarządzania społeczeństwem sektorowi prywatnemu i wolnemu rynkowi, niezależnie czy będzie ono oświecone przez zdobycze wiedzy i wspomagane narzędziami technicznymi (na których rozwój rynek ma coraz większy wpływ) oznacza ponure konsekwencje dla wolności.

W chwilach kryzysu, zamętu, w czasach marnych w naturalny sposób wraca się do myślicieli, którzy tworzyli w podobnych warunkach. Jednym z nich jest Tomasz Hobbes. Ja jednak proponuję wrócić do Heraklita, myśliciela, który podobnie jak Hobbes tworzył w cieniu chaosu. Heraklit jednakże, w przeciwieństwie do Hobbesa uznał, że wojna, szerzej – spór, jest siłą kosmiczną, która wyraża porządek natury, znajdującej się

w ciągłym ruchu, stale zmieniającej się. Ciągła zmiana grozi jednak, że świat pogrąży się w chaosie, przed czym chroni *Logos,* pojęcie u Heraklita wieloznaczne, oznaczające zarówno miarę, jak i proporcję, rozum czy język. *Logos* przenika cały świat. Dostęp do *Logosu* ma obdarzony rozumem człowiek.

Jaka więc lekcja z Heraklita na dziś? Nie łudźmy się, że *polemos* kiedykolwiek przestanie być zasadą życia. Nie łudźmy się również, że uchronimy się przed negatywnymi skutkami polemicznej natury świata, delegując kompetencje właściwe jedynie wolnej, obdarzonej rozumem jednostki do bezosobowych sił państwa, rynku i techniki. Remedium jest inne, wskazali je również starożytni Grecy, to *polis* – wspólnota wolnych i odpowiedzialnych jednostek organizujących się po to, by zmierzyć się z chaosem świata i destrukcyjną siłą historii. Musimy więc odbudować sferę publiczną. To ona jest warunkiem rozkwitu cnót republikańskich, wolności i odpowiedzialności. Żywa sfera publiczna, kipiąca twórczą i polemiczną energią *polis* – najlepszą formułą na to, by radzić sobie z kryzysem, który objawia się każdego dnia.

Jedyna odpowiedź to posthumanizm jako radykalizacja humanizmu, czyli wykorzystanie opisywanych nowych technik i form komunikacji, by odzyskać indywidualną i zbiorową podmiotowość na podstawie paradygmatu kreatywności, oznaczający w praktyce politycznej radykalizację demokracji. Nie chodzi jednak o zastąpienie istniejących instytucji demokracji reprezentatywnej, lecz podobnie jak w przypadku pozarynkowej produkcji społecznej, stworzenie nowych form tworzenia opinii na poziomie od lokalnego po globalny oraz nowych form zrzeszania się i stowarzyszania, by formowana opinia miała ucieleśnienie, warunek politycznej skuteczności.

Utopia? Tak, humanistyczny posthumanizm z konstytutywną dlań polityką miłości jest utopią, ale utopią rozumianą

w taki sposób, jak ją definiował Ernst Bloch w swym monumentalnym opracowaniu „Zasada nadziei", czyli jako marzenie o tym, że lepszy świat jest możliwy. Bloch definiuje utopię jako rezultat marzenia, śnienia na jawie któremu impuls nadaje antycypacja tego, co jeszcze nieuświadomione i zapowiada to, co się wydarzy. Utopia powstaje nie na skutek pustego fantazjowania, ale aktywnego wsłuchiwania się w sygnały tego, co się umożliwia. To robota dla geniusza, który widzi dalej i wyczuwa to, co nieuświadomione przez resztę, a następnie potrafi to zakomunikować w kontekście uświadomionej rzeczywistości. Geniusz tworzy, antycypując nieuświadomione i nadaje mu formę, kreując coś autentycznie nowego. Utopia zdaniem Blocha przejawia się zarówno w wielkich dziełach sztuki, jak i traktatach naukowych, jej duch jest obecny w katedrze w Strasburgu, w „Boskiej komedii" Dantego i w „Odzie do radości" Beethovena.

Bloch był materialistą, nie należy go podejrzewać o tani spirytualizm i teoretyzowania przepowiadania przyszłości przez kontakty z duchami. Odwołuje się do teorii percepcjiLeibniza: *Leibniz przytacza przykład najmniejszych bodźców, które ze względu na swą słabość pozostają nieuchwytne lub nieuświadomione. Stają się dostępne dopiero wówczas, gdy wystąpią w odpowiedniej ilości, jako fala dźwiękowa lub głos*. Głosy te słychać coraz wyraźniej.

Idee zawarte w tym tekście rozwijam szerzej w książce *Miłość, wojna, rewolucja*, która ukaże się w 2008 r. nakładem wydawnictwa WAB.

LEON TARASEWICZ

Słony smak pieniędzy

Błogosławiona ta prehistoryczna chwila, kiedy po zaspokojeniu głodu nastąpiła refleksja, dająca początek naszej myśli –

…to początek nas, uwiarygodniony odciskiem palca w glinie, kreską opalonego drewna na ścianie neolitycznej jaskini;

…te pierwsze znaki, piktogramy, to początek zapisanej myśli, początek świadomej kultury;

…od tego momentu świadomie jesteśmy obecni i tylko takimi pozostaliśmy;

…i nie było ważne czy kolorem, kreską, słowem, czy dźwiękiem to, co nie zostało zapisane, przekazane następcom, tego nie ma!

…wszyscy ci, którzy nie przekazali następnym pokoleniom swojej myśli, pozostali w ciemnościach przeszłości, po prostu ich nie ma;

…otrzymane informacje pozwalały nam przekraczać następne granice naszej kulturowości, inspirując do kreatywności;

…krok po kroku z Afryki przez Gruzję, Azję i wyspy oceanów pozostawiliśmy ślady, manifestując swoje istnienie;

…kreska po kresce, od prostych piktogramów po coraz bardziej złożone rysunki, głos nasz z prawieków był coraz bardziej słyszalny;

…głos ten umiał być zrozumiały, jeżeli pozostał po dzień dzisiejszy;

…i nie lekceważmy tamtej kultury, bo bez niej nie byłoby nas współczesnych;

…aby pozostały takie rysunki z tamtych czasów, to musiała istnieć także wysoka kultura, tylko nie było takich mediów, aby ją zarejestrować;

…skoro dziś te rysunki są niedoścignione, to potraktujmy je jako nam współczesne;

…gdyż, jak zawsze, aby mogła powstać wysoka kultura, to musi się spotkać ekonomia z intelektem;

…pewnie wymiana towarowa wtedy wystarczała;

…a że dziś nie jest to takie łatwe, widać po portalach współczesnych domów nuworyszy, gdzie kolumny kanalizacyjne zastępują kolumny doryckie;

…niby podobne, ale jaka kulturowa różnica;

…także dwie kolumny antyczne przed drewnianym domem wiejskim nie tworzą pałacu, zwanego dworkiem;

…jest to tylko najdalej na wschód obecna manifestacja kultury helleńskiej, zwana dworkiem szlacheckim;

…dla nas szczyty kultury, a dla współczesnych elit jest to tylko lokalna sztuka na miarę prowincji, proporcjonalnie oddalonej od centrum intelektualnego;

…od dwóch lat jest coś takiego w naszym kraju, co sprawia, że prowincja podobnie stała się ideałem, a centrum napiętnowaną prowincją;

…cóż, jaki król, takie królestwo;

…na szczęście trwało to krótko i nie zrobiło dużego spustoszenia, a kurz strzepnięty z zapisanych kartek Miłosza odchodzi w zapomnienie;

…pamiętajmy, że kultura nie jest wartością stałą, jest jak delikatny kwiat, który – jeśli przestajemy się nim zajmować – więdnie;

…powstawała bardzo powoli, wysiłkiem wielu pokoleń;

…spłynęła z wodami Żółtej Rzeki, aktywizując ludzką energię ówczesnego człowieka, odczuwalną do dziś;

…na styku Turcji, Iranu i Iraku Adam zerwał jabłko w otoczeniu rajskiej scenerii, zapisując pierwsze strony naszej Biblii;

…ciekawe, że życie, wychodząc z wody, ciągle nas nierozerwalnie łączy;

…wszystkie nasze prehistoryczne ślady są nad brzegami strumieni, rzek, jezior, morza w cieniu nawisu bezpiecznej skały lub groty;

…każda cywilizacja rozpoczynała swój rozwój od opanowania żywiołu wodnego;

…to melioracja, a nie armia była fundamentem potęg wielkich imperiów;

…to wody Eufratu, Tygrysu, Nilu, Morza Egejskiego dały początek pieniądzom i sztuce;

…im wyższe osiągała poziomy cywilizacja, tym sztuka promieniowała jaśniejszym blaskiem;

…malarstwo w tym oszałamiającym tańcu było najbardziej delikatne, występowało tylko w kulminacyjnym momencie cywilizacji i ono pierwsze gasło, gdy przychodziła tragedia;

…wystarczy uważnie przejrzeć historię malarstwa, aby wiedzieć, jak rozwijała się nasza historia;

…wszystkie osady, miasta, zamki także były lokowane nad ciekami wodnymi; to woda dawała podstawę istnienia, transport, pieniądze;

…w moim białostockim kraju cywilizacja także osiedliła się nad wodą;

…to nad brzegami Supraśli powstały pierwsze osady neolityczne, gdzie pozostawiono średniowieczne skorupy ceramiki, aby w końcu dać spoczynek i schronienie podróżnym z Wilna do Krakowa;

…głos jaćwieski pozostał w topograficznych nazwach rzek i miejscowości;

…to tu, otoczony jeziorem, piętnastowieczny gród Chodkiewiczów dał początek pierwszej chrześcijańskiej świątyni sławiącej imię Jana Złotoustego głosami jeremitów z okolicznej puszczy;

…to stąd puszczony wodami Supraśli drewniany krzyż zatrzymał się przed górą Suchi Hrud, dając początek supraskiemu klasztorowi;

…to tu, za Puszczą Błudowską lokowano miasto Zabłudów, gdzie powstało pierwsze słowo drukowane Ewangelii Zabłudowskiej;

…to stąd wyszedł Wielki Hetman Litewski Hrehory, Jan, który namalowany jest na obrazie Jana Matejki *Unia Lubelska* oraz Hieronim, Jan Karol z kircholmską wiktorią 1605 roku;

…to wszystko nie byłoby możliwe, gdyby fortuna Chodkiewiczów nie połączyła się z drogą królewską z Wilna do Krakowa;

…i wystarczyło tylko przenieść miejsce obrad sejmu z Krakowa do Piotrkowa Trybunalskiego, a potem do Warszawy, aby droga z Wilna opuściła Gródek i z Grodna skierowała się, przez Kuźnicę Białostocką i Tykocin, do Warszawy;

…wraz z podróżnikami odeszły pieniądze, świadkowie naszego dobrobytu;

…słyszeliśmy potem dźwięk złotych rubli w czasie rozwoju przemysłu włókienniczego między Białymstokiem a Petersburgiem na przełomie XIX i XX wieku, ale to było krótko;

…dźwięk tych złotych rubli ucichł razem z pieśniami w językach jidysz, rosyjskim, ormiańskim, niemieckim;

…pozostała moja mała ojczyzna na prowincji cywilizacji, i gdyby nie słowa pisane, nikt by o niej nie wiedział;

…i geografia tu bywa bezradna, bo Waliły są często bliżej Warszawy niż Białystok;

…a wszystko przez ten cudowny wynalazek fenicki, pieniądz, który wyparł handel wymienny oraz sól;

…jak dotąd nikt nic innego, bardziej uniwersalnego nie wymyślił;

…i tak po dzień dzisiejszy pieniądze są jedynym miernikiem wartości materialnej, ale na szczęście nie sztuki;

…bo sztuka jest cenniejsza niż złoto;

…dlatego podoba mi się taki zapis intelektu, jakim jest obraz, którego bez posiadania odpowiedniej wiedzy nie sposób odczytać;

…wtedy widzimy w nim wyłącznie pieniądze, jakie za niego zapłaciliśmy;

…jest to ta cudowna granica, która chroni ludzki intelekt przed barbarzyńcami i jest dostępna przyszłym pokoleniom, które będą mogły to wziąć w swoje ręce;

…dlatego niektóre książki czytają tylko ci, którzy mogą je zrozumieć;

…szczęśliwie nieszczęśliwi pozostają ci, którzy już nie czytają żadnych książek;

…nieszczęśliwie szczęśliwi są ci, którzy czytają;

…to nie pieniądze stworzyły sztukę, ale sztuka umożliwiła posiadanie pieniędzy;

…bo to sztuka łamała kulturowe schematy, otwierając nieznane granice ludzkiej aktywności;

…najgorsza zawsze była ta pewność, że ma się jedyną „słuszną rację", tak jak w latach dwudziestych Stalin lub Hitler w latach trzydziestych;

…cywilizacja wtedy się zatrzymała i z tej okazji skorzystali inni;

…za wielką wodą, w kraju złodziei i prostytutek znalazł schronienie intelekt europejski;

…dzięki temu możemy dziś korzystać z wielkości sztuki Chagalla, Rothko, Naumana;

…dzięki tej przewrotności historii, ziemia, która wydała tak wielkich ludzi, może dziś z nich korzystać;

…bez amerykańskiej ekonomii, nigdy nie byłoby to możliwe;

…tak naprawdę cieszmy się, że tak się stało;

…ponownie intelekt spotkał się z wielką ekonomią i wydał cudowne owoce sztuki;

…i dzisiejsze obrazy malowane w Waliłach nigdy by nie powstały bez Nowego Jorku i Warszawy;

…bo nic nigdy nie powstaje w pustce;

…a pieniądze są tego tylko niemymi świadkami;

…pozostaje tylko ich słony smak, ten słony smak pieniędzy;

…to jest nasza sól współczesności.

23 XII 2007

KULTURA

I

PRZEDSIĘBIORCZOŚĆ

MAGDALENA KOPCZYŃSKA-ZYCH

Sponsorowanie – partnerstwo strategiczne dla kultury

Znaczenie sponsorowania dla rozwoju sektora kultury nie jest obecnie kwestionowane. W sytuacji, gdy niemożliwe jest sfinansowanie wszystkich wartościowych projektów z budżetu państwa lub budżetów samorządów, sponsorowanie jest uważany za jedno z istotniejszych narzędzi wspierania działań artystycznych. W ten sposób sponsorowanie wpływa na realizację priorytetów polityki państw, a jednocześnie służy osiąganiu celów marketingowych przedsiębiorstw. Jego istotą jest zaangażowanie co najmniej dwóch podmiotów w relację polegającą na świadczeniu wzajemnych zobowiązań. Zobowiązania podmiotu sponsorującego (sponsora) polegają na przekazaniu dotacji pieniężnej lub innych środków materialnych na rzecz podmiotu sponsorowanego, np. instytucji kultury, w zamian za określone usługi związane z promocją marki i wizerunku[1].

W poszczególnych krajach podejście do sponsorowania jest różne. Rozbieżności dotyczą m.in. zinstytucjonalizowanych form

[1] Warto zwrócić uwagę, że do działań sponsoringowych nie zalicza się dotacji, subwencji i subsydiów przekazywanych przez państwo (administrację rządową lub jednostki samorządu terytorialnego) w celu realizacji określonej strategii lub statutowych zadań własnych. Por. L. Stecki, *Sponsoring*, Poznań 2000, s. 49.

wspierania sponsorowania lub ich braku, skali całkowitych nakładów firm i osób prywatnych na kulturę w stosunku do wydatków z budżetu państwa oraz preferencji samych sponsorów w zakresie współfinansowania wybranych dziedzin artystycznych.

Próbę analizy tego zagadnienia można podjąć na podstawie opracowania *Private Sector Sponsorship. Laws. Public Schemes. Target Sectors*[2], w którym przedstawiono kompleksowe dane na temat uwarunkowań prawnych, skali i mechanizmów wdrażania sponsorowania kultury w 30 państwach. Ważnym uzupełnieniem tych danych są informacje prezentowane w kompendiach Rady Europy i Europejskiego Instytutu ds. Badań Porównawczych Kultury (ERICarts)[3], przedstawiających modele polityki kulturalnej oraz wielkość i strukturę nakładów publicznych na kulturę w 36 krajach[4]. Informacje prezentowane w opracowaniu odnoszą się do czterech zagadnień: dziedzin artystycznych preferowanych przez sponsorów prywatnych, regulacji prawnych określających możliwości zmniejszenia opodatkowania podmiotów prywatnych przekazujących środki finansowe na realizację przedsięwzięć kulturalnych, programów rządowych mających na celu promocję sponsorowania prywatnego na rzecz sztuk pięknych i kultury, szacowanej wielkości sponsorowania prywatnego.

Porównanie danych (przy uwzględnieniu ich szacunkowości)[5] umożliwia wskazanie różnic w podejściu i rozumieniu sponsorowania. Pozwala również odpowiedzieć na pytanie, czy istnieją uwarunkowania kulturowe dla tego zjawiska.

---

[2] *Private Sector Sponsorship. Laws. Public Schemes. Target Sectors*, źródło: www.culturalpolicies.net (aktualizacja z dn. 18.10.2006 r.).

[3] European Institute for Comparative Cultural Research (ERICarts).

[4] *Compendium of Cultural Policies and Trends in Europe*, źródło: www.culturalpolicies.net (aktualizacja z dn. 18.10.2006 r.).

[5] Na wstępie analizy tych dokumentów należy wskazać istniejące ograniczenia wpływające na zakres i formułę prezentowanych wniosków. W odniesieniu do 16 z 30 państw prezentowanych w raporcie *Private Sector Sponsorship...* nie przedstawiono informacji na temat wysokości współfinansowania sektora

Dziedziny artystyczne preferowane przez sponsorów prywatnych

Trudno wskazać jedną dziedzinę, którą sponsorzy interesują się szczególnie we wszystkich krajach. Wydaje się jednak, że sponsorzy komercyjni zwracają większą uwagę na tradycyjne, prestiżowe i niekontrowersyjne dziedziny sztuki, cieszące się dużym zainteresowaniem odbiorców. Wśród nich można przede wszystkim wymienić muzykę, sztuki piękne (a więc malarstwo, rzeźbę), a także sztuki performatywne (np. teatr). Słuszność tego stwierdzenia w odniesieniu do sytuacji w Polsce pokazuje analiza raportu *Sponsoring Monitor,* cyklicznie przez firmę ARC Rynek i Opinia[6]. Dlatego ciekawym wyjątkiem od opisanej reguły są preferencje sponsorów we Włoszech, którzy wspierają przede wszystkim projekty z zakresu dziedzictwa kulturowego, związane z konserwacją i rewitalizacją zabytkowych obiektów. Wydaje się, że ta skłonność jest w tym samym stopniu przejawem troski o niezwykle bogate dziedzictwo narodowe, jak i świadomą kalkulacją korzyści wynikających z promocji turystycznej miast i zabytków Półwyspu Apenińskiego.

---

kultury przez podmioty prywatne (sytuacja ta dotyczy następujących państw: Azerbejdżanu, Belgii (część francuskojęzyczna), Bułgarii, Chorwacji, Estonii, Węgier, Irlandii, Macedonii, Malty, Mołdawii, Polski, Portugalii, Rumunii, Rosji, Serbii i Czarnogóry, Ukrainy). W odniesieniu do trzech innych nie są dostępne dane porównawcze, dotyczące nakładów publicznych na kulturę (brak informacji na temat nakładów publicznych na kulturę w przypadku Hiszpanii, San Marino i Belgii, gdzie nie można wyodrębnić danych dotyczących wydatków z budżetu państwa tylko w odniesieniu do części niderlandzkojęzycznej [nie można o języku Flamandów mieszkających w Belgii mówić flamandzki]). Z powyższych względów prezentowana analiza w wielu aspektach odnosi się jedynie do 11 wybranych państw. Dodatkowa trudność wynika z niejednorodności prezentowanych wskaźników finansowych. Przedstawione wartości liczbowe odnoszą się przeważnie do 2005 r., jednak w odniesieniu do niektórych państw przedstawiono dane za 2004, 2003 lub nawet 1999 r. Co więcej, prezentowane dane mają jedynie szacunkową wartość.

[6] K. Flera, M. Kopczyńska, *Oblicza sponsoringu*, „Polskie regiony w europejskiej przestrzeni kulturowej", nr 1/9, 2006.

Regulacje prawne i programy rządowe w zakresie sponsorowania prywatnego

Bazując na dokumencie *Private Sector Sponsorship...*, można wskazać dwa typy przyjętych w tym zakresie rozwiązań. Pierwszy przypadek to grupa 15 z 30 państw, gdzie nie wprowadzono odrębnych regulacji prawnych, określających zasady udzielania wsparcia na rzecz instytucji kultury. Tu wymienić można m.in. Belgię, Kanadę, Finlandię, Niemcy, Irlandię, Holandię, Szwecję, Szwajcarię i Wielką Brytanię. Drugi model tworzą kraje, w których przyjęto akty prawne regulujące kwestie sponsorowania (12 z 30 badanych podmiotów). Wśród nich są: Austria, Francja, Grecja, Włochy, Portugalia, Rosja, Chorwacja, Estonia i Ukraina. W pozostałych trzech krajach dane na temat istniejących rozwiązań prawnych nie zostały określone.

W 11 z 30 państw (ponad 36%) wprowadzono odrębne programy rządowe mające na celu zachęcanie sponsorów do przekazywania środków finansowych na kulturę. Przyjęte rozwiązania mają zróżnicowany charakter. Pierwszą podgrupę stanowią Irlandia, Wielka Brytania, Szwecja i Holandia, w których ustanowiono współpracujące z rządem i działające przy jego poparciu agencje sponsorujące, aktywne w zakresie rozwoju sponsorowania (poprzez doradztwo, wspieranie instytucji kultury w kontaktach ze sponsorami, określanie standardów współpracy itp.) Drugą podgrupę tworzą kraje, w których przyjęto rozwiązania bezpośrednio inicjowane przez administrację państwową, jak np. ustanowienie nagrody dla mecenasów sztuk pięknych (Polska), tworzenie programów rządowych skierowanych do sponsorów prywatnych (Francja i Rosja), proponowanie rozwiązań na poziomie władz lokalnych (Austria, Niemcy, Szwajcaria). W niektórych krajach popiera się rozwiązania pośrednie, jak na przykład zachęcanie do zawierania partnerstw publiczno-prywatnych (część niderlandzkojęzyczna

w Belgii). W 12 z 30 krajów[7] (40%) nie występują programy rządowe mające na celu wspieranie sponsorowania. W odniesieniu do siedmiu państw oraz francuskojęzycznej części Belgii wskazanie tego typu danych nie było możliwe[8].

W sposobie rozumienia i podejścia do sponsorowania można wyróżnić cztery zasadnicze schematy działania:

Schemat 1 – pojawia się w państwach, w których nie występują odrębne regulacje prawne dotyczące sponsorowania prywatnego na rzecz kultury, natomiast rządy decydują się na wprowadzenie odrębnych programów propagujących idee sponsorowania (przykłady wyróżnione kolorem fioletowym w kolumnach B i C w tabeli 1).

Schemat 2 – jest zdecydowanie rzadszy, wiąże się z przyjęciem rozwiązań prawnych określających zasady świadczenia sponsorowania oraz z wdrożeniem odrębnych programów zachęcających do wspierania finansowego przedsięwzięć kulturalnych (przykłady wyróżnione kolorem niebieskim w kolumnach A i C w tabeli 1).

Schemat 3 – odnosi się do sytuacji, gdy rządy państw lub władze samorządowe określają w stosownym ustawodawstwie zasady realizacji sponsorowania, natomiast nie wdrażają odrębnych programów zachęcających do współfinansowania przedsięwzięć kulturalnych (przykłady wyróżnione kolorem czerwonym w kolumnach A i D w tabeli 1).

Schemat 4 – cechuje go brak regulacji prawnych, jak również programów rządowych propagujących idee sponsorowania prywatnego.

---

[7] Brak programów rządowych wspierających rozwój sponsorowania wyróżniono w krajach takich jak: Azerbejdżan, Bułgaria, Chorwacja, Estonia, Finlandia, Węgry, Macedonia, Portugalia, San Marino, Serbia i Czarnogóra, Słowenia oraz Ukraina.

[8] Informacja o działaniach administracji państwowej na rzecz wspierania sponsorowania nie jest dostępna w odniesieniu do: Belgii (część francuskojęzyczna), Kanady, Grecji, Włoch, Malty, Mołdawii, Rumunii i Hiszpanii.

Tabela 1

A	B	C	D
Istnieje prawodawstwo dotyczące sponsorowania	Brak prawodawstwa regulującego kwestie sponsorowania	Istnieją odrębne programy rządowe zachęcające do sponsorowania	Nie istnieją odrębne programy rządowe zachęcające do sponsorowania
Austria	Belgia (cz. flamandzkojęzyczna i francuskojęzyczna)	Irlandia	Chorwacja
Francja	Kanada	Wielka Brytania	Estonia
Grecja	Finlandia	Szwecja	Portugalia
Włochy	Niemcy	Holandia	Ukraina
Portugalia	Irlandia	Rosja	Finlandia
Rosja	Holandia	Francja	Bułgaria
Ukraina	Szwecja	Austria	Azerbejdżan
Chorwacja	Szwajcaria	Niemcy	Macedonia
Estonia	Wielka Brytania	Belgia (cz. niderlandzkojęzyczna i francuskojęzyczna)	Słowenia
	Bułgaria	Szwajcaria	
	Azerbejdżan		
	Macedonia		
	Słowenia		

Uwaga: W odniesieniu do m.in. Grecji, Włoch i Kanady w opracowaniu *Private Sector Sponsorship...* nie przedstawiono informacji na temat programów rządowych[9].

[9] Źródło: Opracowanie własne na podstawie *Private Sector Sponsorship...*

Szacowana skala prywatnego sponsorowania kultury

Biorąc pod uwagę wielkość nakładów łożonych na kulturę przez sponsorów prywatnych, można stwierdzić, że na czele stoją: Szwecja, Wielka Brytania, Niemcu, Szwajcaria i Włochy. W dalszej kolejności można wskazać Francję, Austrię, Holandię i Kanadę. Bezpośrednie porównanie nakładów firm prywatnych na kulturę nie obrazuje jednak w pełni wielkości tego zjawiska, ponieważ nie uwzględnia danych takich jak wielkość kraju, liczba mieszkańców, wysokość nakładów publicznych na kulturę, współczynnik proporcji, jaki ma miejsce przy porównaniu państw. Relatywizacja danych dotyczących sponsorowania (w odniesieniu do całkowitych nakładów publicznych na kulturę) pozwala zauważyć, że np. środki przeznaczane na kulturę przez sponsorów w Szwajcarii przekraczają sumę wynikającą z zaangażowania sponsorów z Włoch, Wielkiej Brytanii[10] czy Niemiec. Sytuację tę przedstawia szczegółowo **tabela 2.**

[10] Należy zaznaczyć, że na proporcję zaangażowania środków publicznych i prywatnych w odniesieniu do finansowania sektora kultury w Wielkiej Brytanii znaczący wpływ ma reforma, jaka nastąpiła po reelekcji rządu konserwatystów w 1990 r. Wówczas nastąpiła zmiana w sposobie realizacji polityki kulturalnej w państwie, m.in. powstało odrębne ministerstwo odpowiedzialne za sferę sztuki i kultury, wówczas także znacznie zwiększono wysokość nakładów publicznych na kulturę. Por. B. Gierat-Bieroń, M. Galent, *Wielka Brytania* [w:] *Europejskie modele polityki kulturalnej,* pod red. B. Gierat-Bieroń i K. Kowalskiego, Kraków 2005, s. 7–60.

Tabela 2

	A	B	C	D
Kraj	Szacunkowa wielkość sponsorowania prywatnego w sektorze kultury liczona w euro (dane w ujęciu rocznym)	Całkowite nakłady z budżetu państwa na kulturę liczone w euro (dane w ujęciu rocznym)	Łączne wydatki na kulturę*	% jaki stanowi sponsorowanie
Szwecja	1 011 840 000 €	1 044 480 000,00 €	2 056 320 000 €	49,21%
Wielka Brytania	666 937 920 € 3	9 939 800 236,80 €	10 606 738 157 €	6,29%
Włochy	543 800 000 € 4	6 754 200 000,00 €	7 298 000 000 €	7,45%
Niemcy	500 000 000 € 2	8 000 000 000,00 €	8 500 000 000 €	5,88%
Szwajcaria	320 000 000 € 2	1 436 407 500,00 €	1 756 407 500 €	18,22%
Francja	183 000 000 € 1	11 500 000 000,00 €	11 683 000 000 €	1,57%
Austria	60 000 000 € 2	1 888 820 000,00 €	1 948 820 000 €	3,08%
Holandia	50 000 000 €	2 603 000 000,00 €	2 653 000 000 €	1,88%
Kanada	33 865 300 €	5 447 435 000,00 €	5 481 300 300 €	0,62%
Grecja	22 400 000 € 1	411 857 000,00 €	434 257 000 €	5,16%
Finlandia	10 000 000 €	745 000 000,00 €	755 000 000 €	1,32%

Uwaga: „Łączne wydatki na kulturę" w prezentowanym ujęciu przedstawiają wydatki sponsorów prywatnych oraz te z budżetu państwa; wykres nie obejmuje wydatków gospodarstw domowych na kulturę[11].

Czynniki społeczne wpływające na sponsorowanie prywatne

Analiza przedstawionych danych pozwala zauważyć, że największa aktywność i zaangażowanie finansowe sponsorów prywatnych występuje tam, gdzie nie wprowadzono odrębnych regulacji prawnych w odniesieniu do współfinansowania przedsięwzięć kulturalnych, ale gdzie rządy wprowadziły programy promujące sponsorowanie. Taka sytuacja istnieje w czterech spośród pięciu wymienionych krajów, dla których odnotowano najwyższe pozabudżetowe nakłady finansowe na sferę kultury (tzn. w Szwecji, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Szwajcarii).

Tę prawidłowość można wytłumaczyć zarówno przesłankami marketingowymi, jak również społeczno-kulturowymi. Te ostatnie wiążą się z prestiżem, jaki uzyskuje sponsor na skutek współfinansowania przedsięwzięć kulturalnych. Kiedy sponsorowanie kultury staje się elementem szerszej kampanii obywatelskiej

[11] Źródło: kolumna A: dane zaczerpnięte z *Private Sector Sponsorship...*, opracowanie własne, przeliczenie dokonane według średniego kursu NBP, stan na dzień 24 sierpnia 2006 r.; kolumna B: opracowanie własne, na podstawie *Compendium of Cultural Policies...;* kolumny C i D: opracowanie własne. Wyjaśnienia dla symboli w kolumnie A: Dane oznaczone symbolem: 1 pochodzą od członków sieci CEREC oraz z raportu Natalie Sauvanet (raport opublikowany w 1999 r.). Dane oznaczone symbolem: 2 pochodzą z raportu N. Sievers / B. Wagner i A.J. Wiesand, przygotowanego dla Parlamentu Niemieckiego w 2004 r. (dane zawierają środki przekazane przez fundacje i osoby prywatne). Dane oznaczone symbolem: 3 to dane zaczerpnięte z opracowania *Arts & Business Private Investment Benchmarking Survey* 2004/05 (dane zawierają środki przekazane przez firmy, osoby prywatne oraz fundusze i stowarzyszenia). Dane oznaczone symbolem: 4 – dane zaczerpnięte z opracowania *Compendium of Cultural Policies...*, w odniesieniu do Włoch pochodzą z 2000 r.

i świadectwem społecznej odpowiedzialności środowisk biznesu, gotowość tych ostatnich do współfinansowania przedsięwzięć artystycznych znacząco rośnie. Jednocześnie dojrzała społeczna akceptacja sponsorowania przekłada się na wysokość sprzedaży dóbr i usług danej korporacji. Odbiorcy działań artystycznych, wybierając produkty i usługi sponsorów, wpływają na wyniki finansowe przedsiębiorstw i utwierdzają zarządy w przekonaniu o zasadności podejmowania działań na rzecz sektora kultury.

Takie współdziałanie nie jest jednak procesem samoistnym. Wystąpienie pożądanych zjawisk jest uwarunkowane świadomym współdziałaniem administracji państwa, sektora kultury i środowisk biznesu. Klasycznym przykładem opisywanego zjawiska jest sytuacja w Wielkiej Brytanii, gdzie w 1976 r. została utworzona agencja sponsorująca – Arts & Business (wspólny projekt administracji publicznej i sektora prywatnego). Powołanie agencji wiązało się z realizowaną reformą państwa Margaret Thatcher, zmierzającą do zmniejszenia nakładów publicznych na kulturę[12]. Działania agencji, obejmujące badania, publikacje, szkolenia, konferencje, a także nagrody przyznawane co roku dla najlepszych sponsorów, miały przyczynić się do popularyzacji idei sponsorowania i realnego zwiększenia nakładów prywatnych na kulturę. Aby określić poziom skuteczności tych działań wystarczy wspomnieć, że w połowie lat 70. XX w. nakłady sponsorów prywatnych na kulturę wynosiły jedynie 600 000 £ rocznie, a trzydzieści lat później oszacowano je na poziomie 452 100 000 £[13].

---

[12] Por. R. Blandina, M. Quinn, *Distance or Intimacy? – The Arm's Length Principle, the British Government and The Arts Council of Great Britain*, „International Journal of Cultural Policy", vol. 3, nr 2, 1997, s. 127–159.

[13] Por. http://www.aandb.org.uk/render.aspx?siteID=1&navIDs=1,536,918,920 (aktualizacja z dn. 18.02.2007 r.).

Mówiąc o agencjach sponsorujących nie można nie wspomnieć o szwedzkim forum Arts & Business[14], działającym od 1988 r., zrzeszającym obecnie ponad 250 członków z sektora prywatnego i sfery kultury. Za najważniejszą inicjatywę forum uznaje się *Arts and Business Day* – wydarzenie, podczas którego organizowane są seminaria promujące idee sponsorowania oraz przyznawana jest nagroda sponsora roku. Działania Arts & Business w Szwecji odnoszą się przede wszystkim jednak do bieżącego doradztwa w zakresie tworzenia strategii sponsorowania i ofert, prowadzenia rozmów ze sponsorami, czym przyczyniają się do tak widocznych nakładów korporacyjnych na kulturę.

Agencje sponsorujące, licencjonowane przez brytyjską Arts & Business lub nawiązujące stylem działania do opisanych, są coraz powszechniejsze na całym świecie[15]. Przykładem pierwszego rozwiązania jest działająca w Polsce od 2003 r. fundacja Commitment to Europe Arts & Business[16], przykładem drugiego, rządowa agencja Australian Business for the Arts Foundation[17], działająca od 2002 r.

Skala i efekty działania takich podmiotów są jednak różne. Pośród nich można wskazać organizacje rozwijające się niezwykle dynamicznie oraz takie, których działania ulegają stałej marginalizacji. Ten fakt i znaczące różnice w wysokości nakładów prywatnych na kulturę (w poszczególnych krajach) pozwalają stwierdzić, że podejście do sponsorowania w znacznym stopniu determinują modele polityki kulturalnej państw, które określają stopień zaangażowania partnerów prywatnych w działalność sfery publicznej.

---

[14] Por. http://kultur-naringsliv.se/Default.aspx (aktualizacja z dn. 25.02.2007 r.).
[15] Por. wykaz zamieszczony w portalu Lab for Culture, działającym przy Europejskiej Fundacji Kultury: http://www.labforculture.org/pl/funding/sponsorship (aktualizacja z dn. 25.02.2007 r.).
[16] Por. http://www.cte.org.pl/index.php (aktualizacja z dn. 25.02.2007 r.).
[17] Por. http://www.abaf.org.au/ (aktualizacja z dn. 25.02.2007 r.).

Modele polityki kulturalnej państw a sponsorowanie kultury

Wśród istniejących modeli polityki kulturalnej można wskazać trzy podstawowe systemy[18]. Pierwszy charakteryzuje się silną centralizacją, drugi – silną decentralizacją, a trzeci – względną równowagą. W modelu silnej centralizacji większość działań i rozwiązań w sektorze kultury jest inicjowanych i koordynowanych przez administrację państwową lub przez specjalnie wskazane podmioty publiczne. Odwrotność takiego rozwiązania stanowi model silnej decentralizacji, w którym zdecydowana większość rozwiązań jest proponowana i wdrażana na szczeblu władz regionalnych oraz lokalnych, przy aktywnym zaangażowaniu podmiotów II i III sektora (firm prywatnych i organizacji pozarządowych). W modelu względnej równowagi istnieją różne rodzaje rozwiązań pośrednich, czerpiących z obydwu modeli skrajnych.

Powiązanie opisanych modeli z danymi o skali sponsorowania pokazuje, że efektywne relacje ze sponsorami (w tym także w kontekście finansowym) występują w krajach, gdzie istnieje zdecentralizowany model polityki kulturalnej (Wielka Brytania, Irlandia, Niemcy, Holandia i Szwajcaria). Korzystne rozwiązania występują także w części krajów z modelem względnej równowagi. Do tej grupy należą m.in.: Szwecja, Belgia i Włochy. Wydaje się, że jedynie model silnej centralizacji nie tworzy rozwiązań trwale zachęcających sponsorów do angażowania się w przedsięwzięcia artystyczne, co potwierdza m.in. skala zaangażowania sponsorów we Francji i Grecji.

---

[18] Por. M. Chełmińska, *Warunki rozwoju kultury na szczeblu lokalnym. Europejskie modele rozwiązań systemowych a sytuacja w Polsce*, Warszawa 1993 oraz M. Chełmińska, *Rada Europy wobec kultury*, [w:] *Międzynarodowe stosunki kulturalne: wybór dokumentów i literatury*, Wrocław 2001, s. 156–170.

Opisane zależności są przedstawione w **diagramie 1**, w którym oś pionową tworzy preferowany w danym państwie model realizacji polityki kulturalnej (ekstrema tworzą całkowita centralizacja i pełna decentralizacja), natomiast oś poziomą kształtuje udział sponsorowania prywatnego w finansowaniu przedsięwzięć kulturalnych, w stosunku do całkowitych nakładów państwa na kulturę. Strukturę diagramu opracowano zgodnie z danymi liczbowymi przedstawionymi w tabeli nr 2. Dodatkową płaszczyznę analizy tworzą czynniki kulturowe. Ich uwzględnienie – jako zmiennych pozwalających na wyjaśnienie widocznych różnic w sposobach realizacji sponsorowania – potwierdzają słowa R. Ingleharta: *Kultura zależy od uwarunkowań historycznych. Fakt, że poszczególne społeczeństwa wyrosły z tradycji protestanckiej, prawosławnej, islamskiej bądź konfucjańskiej stwarza podstawy do powstania obszarów kulturowych o bardzo odmiennych systemach wartości, które nie ulegają zanikowi na skutek rozwoju gospodarczego. (...) polityczne i społeczne konsekwencje tego faktu są bardzo doniosłe, wpływające na kształt takich istotnych zjawisk jak stopa przyrostu naturalnego, zachowania ekonomiczne oraz (...) instytucje demokratyczne*[19].

Uwaga: Koncepcję obszarów kulturowych zaproponowaną m.in. przez Samuela Huntingtona zaczerpnięto z artykułu R. Ingleharta *Kultura a demokracja...*20. Przyjęta skala nie znajduje bezpośredniego odniesienia dla wartości liczbowych i ma jedynie służyć określeniu relacji pomiędzy podmiotami ujętymi w diagramie[21].

---

[19] R. Inglehart, *Kultura a demokracja* [w:] *Kultura ma znaczenie*, pod red. L.E. Harrison i S.P. Huntington. Harvard University's Academy for International Area Studies, Poznań 2003, s. 146.

[20] R. Inglehart, *Kultura a demokracja...*

[21] Źródło: Opracowanie własne, na podstawie: R. Inglehart, *Kultura a demokracja...*, s. 146–168; M. Chełmińska, *Warunki rozwoju kultury na szczeblu lokalnym. Europejskie modele rozwiązań systemowych a sytuacja w Polsce*, Warszawa 1993; *Europejskie modele polityki kulturalnej...; Compendium of Cultural Policies...* oraz *Private Sector Sponsorship...*

Diagram 1

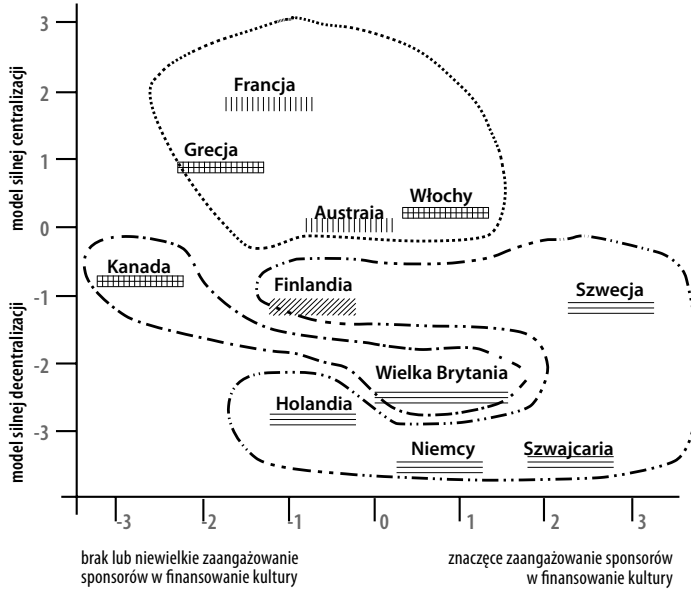

Legenda

- kraje anglojęzyczne
- kraje o tradycji protestanckiej
- kraje o tradycji katolickiej i prawosławnej

Znaczenie poszczególnych wypełnień:

- państwa w których relacja sponsoringu i sektora publicznego opierają się na modelu określonym w **schemacie 1**
- państwa w których relacja sponsoringu i sektora publicznego opierają się na modelu określonym w **schemacie 2**
- państwa w których relacja sponsoringu i sektora publicznego opierają się na modelu określonym w **schemacie 4**
- państwa, w odniesieniu do których nie można określić formuły prawnej relacji łączącej sektor publiczny i sponsorów prywatnych

Diagram pokazuje, że model zdecentralizowany odnosi się do państw należących do obszaru kulturowego ukształtowanego w dużym stopniu (choć oczywiście nie jedynie) przez doktrynę protestantyzmu. Wszystkie kraje należące do tego obszaru kulturowego (poza Finlandią), a także Wielka Brytania budują relacje ze sponsorami zgodnie z zasadami właściwymi dla schematu 1. Przeciwwagą są kraje pozostające w sferze oddziaływania katolicyzmu i prawosławia, w których zdecydowanie preferuje się mecenat państwa w sferze kultury, minimalizujący znaczenie sponsorowania prywatnego. Należące do tego obszaru państwa (Francja, Austria) określają zasady współpracy ze sponsorami zgodnie z wytycznymi schematu 2[22].

Mimo ograniczonej liczby państw, dla których możliwe było przeprowadzenie porównania (co nie pozwala na formułowanie sądów o charakterze wiążącym), można przyjąć, że tradycja kulturowa występująca na danym obszarze znacząco wpływa na zasady współpracy, zakres i wielkość sponsorowania prywatnego[23]. W tej sytuacji zasadne staje się pytanie, jakie wnioski wypływają z tego porównania dla sponsorowania w Polsce?

Odpowiedź nie może być jednoznaczna, niemniej należy zwrócić uwagę, że w modelu względnej równowagi (który występuje w Polsce) możliwe jest wypracowanie mechanizmów skutecznie stymulujących rozwój sponsorowania prywatnego na rzecz kultury. Wspomniane mechanizmy mogą być budowane na poziomie regionalnym, gdy długofalową strategię współpracy ze sponsorami określają samorządy lub na poziomie krajowym, gdy za przygotowanie takiej strategii odpowiada administracja centralna. Kluczem do skutecznego działania wydaje się jednak profesjonalizacja. Sprzyjać jej może ustano-

---

[22] W wypadku Grecji i Włoch w dokumentach źródłowych nie występują informacje na temat istnienia lub braku regulacji prawnych i programów rządowych.
[23] Por. *Kultura ma znaczenie*, pod red. L.E. Harrison i S.P. Huntington, Poznań 2003.

wienie jednego podmiotu (współdziałającego z JST i administracją centralną), o czytelnie określonych kompetencjach w zakresie popularyzacji idei sponsorowania prywatnego i wspierania rozwoju sponsorowania na rzecz kultury. Te założenia mogą być osiągnięte poprzez doradztwo, konferencje, seminaria i szkolenia angażujące środowiska biznesu, podmioty sektora kultury oraz mieszkańców danego regionu. Efekty tych działań będą najprawdopodobniej odsunięte w czasie. Ich skuteczność zależy nie tylko od pozyskania sponsorów prywatnych, ale także od zmiany nastawienia Polaków. Wspomniana zmiana powinna zmieniać – od obecnej obojętności wobec sponsorów, w kierunku sympatii i popierania ich zaangażowania w finansowanie przedsięwzięć kulturalnych[24].

Powyższy tekst był drukowany w publikacji Narodowego Centrum Kultury *Polskie regiony w europejskiej przestrzeni kulturowej*.

[24] Por. przypis nr 6.

BERND KAUFFMANN

Pozarządowe finansowanie kultury
Przykład Niemiec

Rozważania o pozarządowym finansowaniu kultury w Niemczech powinniśmy rozpocząć od postawienia sobie pytania, jak wygląda sytuacja kultury w Niemczech na początku nowego tysiąclecia. Dlatego pozwalam sobie podzielić mój tekst na dwie części, by najpierw zająć się kwestią znaczenia kultury w chwili obecnej i na przyszłość, roli jaką sztuka może odegrać na początku nowej ery. Gdybym miał opisać nasze czasy, wyróżniłbym przede wszystkim następujące cechy dla nich charakterystyczne:

– utrata roli pamięci,
– coraz większym pośpiech w życiu codziennym,
– rosnące znaczenie akcjonariatu,
– globalna mobilizacja ekonomiczna,
– coraz bardziej nierzeczywista wirtualna rzeczywistość.

Jak odnajduje się w tej sytuacji twórczość artystyczna i działalność kulturalna? Jak sztuka i kultura mogą przetrwać na rynku, w mediach, w rozprzestrzeniającej się na naszych oczach globalnej wiosce? Na te pytania odpowiem słowami Hansa Magnusa Enzensbergera, którego zacytuję w formie skróconej i nieco zmodyfikowanej: „Nasza kultura nie mieści się

na żadnej skórze wołowej". Kto w to wątpi, powinien spojrzeć na kalendarz imprez publikowany co tydzień w prasie, przestudiować zapowiedzi co miesiąc zapełniające skrzynki pocztowe i zagłębić się w programy, które co kwartał oferują organizatorzy imprez kulturalnych i niezliczone instytucje wraz ze swoimi sponsorami. Od Konstancy do Flensburga, od Frankfurtu nad Odrą do Aachen odbywa się mnóstwo sympozjów, prezentacji, prelekcji, zjazdów, odczytów, okrągłych stołów, rozmów z pisarzami, dialogów, konferencji, rozmów, kongresów, mega– i giga-shows, dyskusji na podium, programów ramowych, talk-shows, występów *cross-over*, performance'ów, wernisaży, koncertów, a przede wszystkim imprez określanych jako *highlight* lub *event*. I zapewniam, że lista ta bynajmniej nie została przeze mnie wyczerpana. Tylko sile przyzwyczajenia należy przypisać fakt, że to wszystko uchodzi w naszym społeczeństwie za sytuację normalną. Nie trudno jest spostrzec, że nie ma takiego tematu – poczynając od holocaustu, przez ochronę gatunkową przyrody, postmodernizm aż po niemieckie zjednoczenie – którego szybko i sprawnie nie dałoby się przerobić na cykl imprez lub przekształcić w *event*.

Jakże byłoby pięknie z naszą kulturą, gdyby tylko w tle takiej mnogości imprez nie było słychać ciągłego pomrukiwania i biadolenia, walk o budżet i fundusze. Dzień w dzień docierają do nas wiadomości o podejmowanych krokach oszczędnościowych i zapowiedzi cięć. Bardzo dobrze pokazują to dyskusje toczące się w ostatnich latach w Berlinie. W jednym miejscu następuje łączenie zespołów orkiestrowych, tam ma zniknąć biblioteka, tu zamyka się teatr… Jakby wybór był tylko między dżumą a cholerą, czyli przymus oszczędzania albo fuzja różnych instytucji. Nie wspominając o narzekaniach szkół wyższych czy lamentach samych twórców kultury.

Z drugiej zaś strony okazuje się, że wspomniane przeze mnie wyżej zjawiska nie mają żadnego wpływu na ów nieustający jarmark imprez, który zdaje się być całkowicie odporny na wszelkie dokuczliwości ekonomii. Istnieje proste wytłumaczenie tego faktu – solidny projekt *cross-over* albo z dużym rozmachem zrobiony festiwal przynoszą rozgłos, dają czas antenowy na wizji i fonii, otwierają nieograniczone możliwości podziękowań, powitań, konferencji prasowych i *product placement*. Jest to przypuszczalnie także pociecha dla wszystkich polityków od kultury, którzy i tak już cierpią z tego powodu, że ich koledzy z komisji spraw wewnętrznych czy służby zdrowia częściej są widoczni w mediach.

Bez wątpienia kultura w dzisiejszych czasach znalazła się w trudnej sytuacji. Jednak z drugiej strony, zupełnie się tym nie przejmując, postrzega siebie jako dobrze prosperujący czynnik rozwoju. Skreśla się fundusze, a równocześnie odnotowuje boom.

Kultura sama w sobie – zakładając, że wiemy, czym ona jest – podlega zmianom. Próby patetycznego i bezmyślnego przywoływania duchów, jak to się dzieje w przypadku głoszonej przez Friedricha Merza „kultury przewodniej" (*Leitkultur*) – o ile wskutek reformy pisowni nie pomylono tu liter „d" i „t", tworząc kulturę przewodnią (*Leitkultur*) zamiast „kultury cierpienia" (*Leidkultur*) – próby, które usiłują w pojęciu kultury doszukać się nowego wymiaru, nie są w stanie w żaden sposób wpłynąć na „normatywną siłę faktów", czyli rynek rozrywki.

Tym samym, czym w minionych stuleciach były jarmarki i wesołe miasteczka, dziś są widowiska masowe i „topowe" imprezy, spektakularne wydarzenia w dziedzinie kultury i rozrywki. Mieszanka głodu przeżyć, pragnienia ruchu, sensacji i happeningu. Trzydzieści milionów obywateli Niemiec powyżej

czternastego roku życia co najmniej raz w 1999 roku wybrało się na taki masowy spektakl, obiecujący niezwykłe przeżycia, tworzący poczucie wspólnoty, będący całkowitą konsumpcją wrażeń. Opieram się tu na obserwacjach badacza czasu wolnego Horsta Opaschowsky'ego dotyczących sytuacji kultury, które będę także cytował w dalszej części tekstu.

Kultura inscenizuje swoje festiwale. Ze zwykłej muzyki operowej szybko można zrobić *classic-entertainment-show* z supergwiazdami, przekraczając dotychczasowe rekordy widowni. Impreza kulturalna tylko wtedy staje się *eventem*, kiedy media obszernie o niej informują, jeszcze zanim w ogóle się odbyła. Najgorszą rzeczą, jaka może się tu zdarzyć, nie jest zjechanie jej przez krytykę, ale całkowite pominięcie milczeniem. W takiej sytuacji dzieje się niemal tak, jakby impreza ta w ogóle nie zaistniała. Kiedyś mówiono *cogito ergo sum*. Dzisiaj powiedziałbym, że hasłem bardziej pasującym do naszej rzeczywistości byłoby raczej *nuntiatur ergo sum* (piszą o mnie, więc jestem), gdyż to media dzisiaj nadają tożsamość i ją ugruntowują.

Pesymistycznie nastawieni krytycy kultury mogą ubolewać z powodu takiego masowego wykorzystywania kultury lub odbierania jej wartości, piętnując te zjawiska jako uprawianie rozrywkowej cyganerii. Równocześnie jednak ich uwadze umyka fakt, że placówki kulturalne zawsze były miejscami spędzania wolnego czasu. Z jedną zasadniczą różnicą: przedtem dostęp do nich miała tylko uprzywilejowana warstwa wyższa, posiadająca obie rzeczy niezbędne wówczas do udziału w kulturze: pieniądze potrzebne do pełnienia roli mecenasa sztuki i wolny czas, wówczas nazywany próżniactwem. Większość tradycyjnych placówek kulturalnych mieści się w tych samych budowlach, wzniesionych niegdyś przez arystokrację i bogate mieszczaństwo, choćby Balet Rosyjski czy Comédie Française; także miasta, choćby Monachium, Wiedeń, Florencja czy też

Weimar, swoje powstanie i rozwój zawdzięczają ambitnym rodom książęcym.

Oczywiste jest, że obecnie odbywa się coraz więcej, często cyklicznych, imprez kulturalnych, które kierują się do jak najszerszego grona odbiorców, a ich celem jest wywołanie tyleż silnych, co prostych emocji. Można wyróżnić cztery czynniki, które składają się na sukces takiego wydarzenia: DZIAŁANIE NA WYOBRAŹNIĘ, czyli widowisko „czarujące grą świateł i dekoracji"; ATRAKCYJNOŚĆ, czyli „urok rzekomej wyjątkowości i niepowtarzalności"; PERFEKCJA, czyli brak błędów w wykonaniu oraz POŚREDNICTWO, czyli przeniesienie wydarzenia kulturalnego ze sfery przeżycia bezpośredniego do telewizji.

Dlatego nie powinno nas dziwić, że już w roku 1985 głośny kulturoznawca Neil Postman ostrzegał ludzi przed epoką tak zwanego „kulturalnego spustoszenia", kiedy to życie kulturalne zostanie zredukowane do niekończącego się cyklu imprez rozrywkowych. Według Postmana są dwa sposoby na zniszczenie ducha kultury: w pierwszym przypadku, który opisał George Orwell, kultura staje się więzieniem, poddanym quasi-obserwacji przez „Wielkiego Brata", w drugim przypadku, opisanym przez Aldousa Huxleya, staje się ona czymś w rodzaju teatrzyku variétés.

W momencie, gdy kultura staje się gigantyczną, trwającą przez okrągły rok *software*, w której magia wielkich liczb dominuje nad treścią i czyni ją tylko towarem lub czynnikiem wzrostu gospodarczego – co jako żywo jeszcze nie nastąpiło – wtedy przeradza się ona w zwykłą konsumpcję. To zaś oznacza, że to nie skostnienie i konserwatyzm kultury może w przyszłości być problemem, lecz raczej ich przeciwieństwo, przymus demonstrowania udanego zaspokojenia potrzeby rozrywki w połączeniu z rosnącą komercjalizacją.

Fakt, że zjawiska te nasilają się, jest kwestią bezdyskusyjną: kultura oscylująca między boomem i biznesem może doprowadzić do zniesienia granic między sztuką, kiczem i komercją, i coraz bardziej zacierać granice między przybytkiem kultury i świątynią zabawy, teatrem muzycznym i parkiem rozrywki, sceną duchowych przeżyć i rajem dla smakoszy.

Oczywiste jest, że utracie pewnych wartości kultury wysokiej towarzyszy zwielokrotnianie się jej cech rozrywkowych. Można porzucić tradycyjne obawy przed przekraczaniem progów i zapomnieć o barierach komunikacyjnych. W ten sposób dociera się do szerokiej, częściowo całkowicie nowej publiczności.

W swej najskuteczniejszej formie owa kultura rozrywki to fascynacja, wspólna zabawa, a także przygotowanie do nowego rozumienia kultury w sensie postulowanej przez UNESCO i Radę Europy *„popular culture"*. Ta szeroko pojmowana kultura nie zabiera ludziom jeszcze więcej wolnego czasu, by na siłę uczynić z niego dydaktycznie ukierunkowaną porcję edukacji. Pojmuje się ją raczej jako niewymuszoną kulturę czasu wolnego, oferującą szansę „radosnego przeżywania".

W sposób naturalny sytuacja ta znajduje także odbicie w mediach. Jakkolwiek na to spojrzeć, nie ulega wątpliwości, że „nieefemeryczne" tematy kulturalne w mediach stają się coraz bardziej mniejszością zagrożoną wymarciem. W publicznych stacjach telewizyjnych czasami można się natknąć na jakieś pojedyncze znaki i sygnały świadczące o tym, że kultura jeszcze żyje. Ale także i one, w walce o oglądalność dawno już pogubiły wszystkie kulturalne listki figowe. Gdyby nie było kanałów 3Sat i Arte, mielibyśmy do czynienia z ziemią całkowicie jałową.

Prognozy rozwojowe rynku medialnego w nadchodzących lat nie wykazują tendencji przyjaznych dla kultury. Jak pamiętamy, powieściowa utopia George'a Orwella pt. *1984* zaczyna

się w kwietniu 1984 roku od pojawienia się w salonie potężnego ekranu, który jest zarazem nadajnikiem i odbiornikiem. Początki prywatnej telewizji w Niemczech datują się również na kwiecień 1984 roku. I od tego czasu jej konsument zalewany jest powodzią programów, która w nadchodzących latach ma się jeszcze bardziej nasilić. Grozi nam, jak to określił kiedyś Helmut Thoma, medialna i „digitalna choroba szalonych krów" w nowej epoce telekomunikacji i digitalizacji. „Żaden Hun Attyli nie zajeździł nigdy swojego mięsa na kolację tak doszczętnie, jak to czyni z nami niemal nieograniczona osiągalność wszystkiego za sprawą mobilnej komunikacji" (Erwin Chargaff).

W każdym razie jedno jest pewne: w wyścigu między jakością a ilością, między sztuką i wskaźnikami oglądalności, kultura wysoka będzie wiodła w mediach cichy żywot na łaskawym chlebie *status quo*. Społeczeństwo bowiem – i nie chodzi tu tylko o społeczeństwo niemieckie, które musi zmagać się z problemem zalewu wiadomości przy równoczesnym niedoinformowaniu, czyli jest *overnewst* i *underinformed* – nie będzie w stanie sformułować innych potrzeb niż te, które realizuje także w rzeczywistości: konsumpcja rozrywki i przeżyć, *live*, wirtualnie, faktycznie lub fikcyjnie.

Będąc świadomym tego wszystkiego, trudno zaprzeczyć, że – jak określił to Hans Wollschläger – nasza wrażliwość staje się coraz bardziej przytępiona, a ów opiewany przez „prostacki świat mediów" moment dziejów tworzy jedynie niewypowiedzianą pustkę. Bo jak inaczej nazwać sytuację, w której nawet największe zbrodnie i okrucieństwa poruszają nas tak samo przelotnie jak błazeństwa i w której czołowi politycy w domu Wielkiego Brata popisują się liberalno-werbalną niedojrzałością.

„Normatywna siła faktów" jest niewątpliwa: bezpowrotnie odeszło w przeszłość życie w sytuacji trwałych struktur wartości i porządku. Nie ma już żadnych agencji interpretujących,

które miałyby siłę zdolną narzucić określoną rzeczywistość czy prawdę (pomińmy tu „głosicieli kultury przewodniej"). Bogowie monopolu interpretacyjnego są martwi – jak sformułował to niedawno Gianni Vattimo. Relatywizm interpretowania świata jest nieodwracalny. To zaś tworzy przymus przystąpienia do permanentnej walki politycznej i kulturalnej, w której żadna strona nie może sobie rościć praw do obiektywizmu. Przed dzisiejszą filozofią stoi zadanie, by poza absolutnymi wartościami obiektywnymi wypracować maksymy działania w zglobalizowanym świecie. Będzie także musiała zająć stanowisko wobec szans i zagrożeń „nowego, wspaniałego świata", które na dobre, czy na złe, zaczynają upatrywać w narodzinach człowieka opatentowany, biotechnologiczny proces produkcji, zamiast traktować je jako niezależny, naturalny akt.

Doszło więc do sytuacji: będziecie na podobieństwo Boga. Wiemy, że eksperyment, czy też, jak mówi Erwin Chargaff, pierwsza próba eksperymentatora zaczęła się od kłamstwa – i nawet Bóg był w stanie poradzić sobie tylko w ten sposób, że przerwał eksperyment i wszystkich wypędził, naznaczając ich piętnem grzechu pierworodnego.

Overnewst i *underinformed*: w drzewie genealogicznym swych *Monologów pustynnych* Botho Strauss mówi, że święty Antoni miał swoją księgę: wiedzę; Krapp Samuela Becketta miał swoją taśmę, pamięć; a Walter z filmu Stevena Spielberga ma swój terminal: informację. Natomiast w powieści *Das Partikular* Straussa czytamy o tym, że nadmiar, przesyt jest jedyną treścią świata, której umysł ludzki powinien się obawiać; rzeczy rozproszone, pozbawione kontekstu, nieogarnione rojowisko jednokomórkowców, epizodów, zbliżeń, powiększeń, istotnych, a jednak trywialnych błahostek. Już zaraz po naszych narodzinach zaczynają się epizody. A to – chciałoby się dodać – co w codziennym upływie czasu wygląda na epizod i tak nic specjalnego nie

znaczy, zaś uzyskana dzięki temu rozrywka przyśpiesza tylko rozpad obiektywizmu w podmiocie.

Jeśli przyjąć, że sztuka jest nieustannie wystawianym na próbę wytworem, jaki ludzkość stworzyła w opozycji do rzeczywistości, wtedy musimy bardzo ostrożnie obchodzić się z jej, dziedziczonym przez nas dobrem, by nie stracić jedynego narzędzia pozwalającego nam mierzyć się z rzeczywistością. Dlatego dobrze byłoby – jak radzi Hans Wollschläger – ponownie więcej uwagi poświęcić historii kultury. Nie tylko dlatego, że zawiera w sobie najwięcej ludzkiej tragedii, istoty owego budzącego lęk i współczucie „losu", lecz także dlatego, że jej siła oddziaływania jest w rzeczy samej najtrwalszą wartością, jaka dotychczas została stworzona na naszej planecie. Nawet duchowe zdobycze nauki, jak na przykład prawa fizyczne, mają krótszy od niej żywot.

Opisywaną przeze mnie sytuację najlepiej chyba zilustruje następujący cytat. W 1892 roku Goethe pisze do Carla Friedricha Zeltera: „Nie mogę zakończyć, nie wspominając jeszcze raz tamtej przeładowanej muzyki; wszystko, Mój Drogi, jest teraz ultra, wszystko niepowstrzymanie wykracza poza swoje granice, zarówno myśli, jak i czyny. Nikt się już nie orientuje, nikt nie ogarnia żywiołu, w jakim się utrzymuje i działa, nikt nie ogarnia materii, którą opracowuje. Nie można tu mówić o zwykłej głupocie; wiele jest rzeczy głupich. Młodzi ludzie są o wiele za wcześnie rozbudzani, zaś potem porywa ich prąd czasu; bogactwo i szybkość to rzeczy, które podziwia świat, do których każdy dąży; koleje żelazne, wozy pocztowe, statki parowe i wszelkie możliwe udogodnienia komunikacyjne to dziedziny, w których cywilizowany świat prześciga się i konkuruje, co pcha go ku przeciętności. I taki właśnie jest wynik uogólnienia: średnia kultura staje się prostacka.

Właściwie jest to wiek dla mądrych głów, bystrych, praktycznych ludzi, którzy, wyposażeni w pewną zręczność, odczuwają swoją przewagę nad tłumem, nawet jeśli sami nie posiadają uzdolnień do rzeczy najwyższych. My powinniśmy zachować tyle, ile się da z postawy, która nas ukształtowała; będziemy, może jeszcze wraz z nielicznymi osobami, ostatnimi przedstawicielami epoki, która tak szybko nie powróci."

Natomiast Michel de Cereteau pisał o dzisiejszej sytuacji kultury następująco: „Kultura to cała reszta. Wszędzie na świecie banki działają jak banki, ubezpieczenia jak ubezpieczenia, biblioteki jak biblioteki i lotniska jak lotniska. Ale jest jeszcze niewielka reszta życia codziennego, która sprawia, że to wszystko wydaje się obserwatorowi w pewien sposób obce, niezrozumiałe i zadziwiające. I to właśnie jest kultura. Kultura to ta cała reszta."

Tyle moich uwag na temat sytuacji kultury, i proszę nie myśleć, że wynikają one z wrodzonego pesymizmu. Należy z jak największą ostrożnością podchodzić do prób, by z przedstawionych okoliczności wyciągać wnioski mówiące o upadku kultury, upadku wartości lub rozkładzie moralności. Wszak historia uczy nas, że każda kultura jest żywym organizmem i podlega całkowicie naturalnym procesom starzenia się. Dlatego każdy upadek to również przejście, nic nie jest lepsze czy gorsze niż przedtem, tylko po prostu inne.

Chciałbym teraz nawiązać do niedawnych targów książki: proszę spojrzeć na niemiecką literaturę współczesną. Przez lata wydawało się, że obumiera, schodzi ze sceny, upada. Nie dlatego, że Niemcy przestali czytać. Nie, raczej dlatego, że chętniej czytali autorów zagranicznych, angielskich, amerykańskich i francuskich. Niemieccy „terapeuci słowa" gdzieś zniknęli, „przeminęli z wiatrem", znudzeni opowiadaniem historii lub

do niego niezdolni. I nagle wszystko się zmienia. Przychodzi nowa generacja pisarzy, która umie opowiadać – i to bez wpływającej na świadomość dydaktyki sześćdziesiątego ósmego roku, bez poetyckiego teoretyzowania – nasza dzisiejsza rzeczywistość jest odkrywana literacko w INNY sposób, wprawdzie apolitycznie, ale za to dzięki sztuce opowiadania, którą już pożegnaliśmy, zdawałoby się bezpowrotnie.

Być może zmiany w kulturze odbierane są jako objaw kryzysu tylko dlatego, że dawne ideały wykształconego mieszczaństwa i przywileje kultury wysokiej tracą swoją siłę przekonywania. Ale kto daje wolny czas masom, musi także zaakceptować kulturę masową, nie mówiąc już o technologicznych nowinkach digitalizacji. Błogosławieństwa zachodnich społeczeństw dobrobytu nie mogą być przecież zarezerwowane wyłącznie dla krytyków kultury.

Dochodzi do tego jeszcze jedna rzecz: na progu nowego tysiąclecia przeżywamy właśnie – jak sformułował to Klaus-Dieter Lehmann – szczególną sprzeczność: z jednej strony mamy powszechny na całym świecie ruch na rzecz pamięci o przeszłości, o miejscach historycznych i pomnikach; z drugiej zaś strony zanik pamięci sięgającej dalej niż jedno pokolenie. Wzrasta liczba odwiedzających muzea, w zeszłym roku wyniosła ponad sto milionów osób. Natomiast dorastające pokolenia przypominają cierpiących na chorobę Alzheimera i pielęgnują krótką pamięć.

Globalizacja wstrząsa podstawami życia nas wszystkich. Połowa ludzkości surfuje w internecie, podczas gdy druga połowa nigdy jeszcze nie posługiwała się telefonem, co zapowiada inny jeszcze rodzaj *clash of civilisations*. Lecz globalizacja nie prowadzi bynajmniej do kulturowego zjednoczenia, a w najlepszym razie do technicznego ujednolicenia bez prawdziwej jedności, jak określa to Constantin von Barloewen.

To, co się z tego wyłania, to zbiór możliwości, które dopuszczają istnienie najrozmaitszych tożsamości.

Dzisiejsza kultura dawno już nie jest kulturą miejsca, lecz kulturą czasu.

Ponad tymi wszystkimi zmianami swoją wirtualną sieć rozpinają rynki finansowe. Żadne państwo nie może się odizolować od reszty świata. Przepływ pieniędzy posłuszny jest jedynie imperatywowi ekonomicznej racjonalności, organizmowi bez serca i ciała. Na podstawie stworzonego przez Alexisa de Tocquevill'a pojęcia tyranii większości, można dzisiaj mówić o tyranii rynku. A ona z kolei powoduje konieczność otwarcia oczu na duchowe i antropologiczne wymiary kultur, gdyż tylko istnienie różnych środowisk kulturowych człowieka zapewnia trwałość polityki rozwoju gospodarczego. Każda bowiem gospodarka narodowa posiada swój własny kapitał kulturowy, a rozwój gospodarczy jest możliwy tylko w ramach całościowego procesu odnowy kultury. Tylko wtedy jest trwały. W przeciwnym razie pozostawałby w oderwaniu od decydujących torów życiowych człowieka, niezintegrowany z podstawowymi potrzebami jednostki i społeczności, co z całą pewnością mogłoby wywołać tendencje fundamentalistyczne i antymodernistyczne, jakie zresztą od kilku lat można zaobserwować w niektórych krajach.

Wnioski z przedstawionej wyżej diagnozy rzeczywistości brzmią następująco: warunkiem powstawania sojuszy politycznych i współpracy gospodarczej powinien być dialog kultur; zaś w przypadkach, gdy nie poprzedzał on kooperacji, musi następować tuż za nią. Fakt ten, jako warunek sprzyjający utrzymaniu pokoju, już od dość dawna i dość dobitnie głoszą dalekowzroczni analitycy, tacy jak antropolog Levì-Strauss czy ekonomista Amartya Sen.

Interkulturowy, czy raczej intrakulturowy dialog staje się więc egzystencjalną metaforą polityki gospodarczej i społecznej. Dlatego nieodzowna jest nowa refleksja nad wzajemnymi relacjami kultur. Tutaj właśnie moglibyśmy odnaleźć – i po części już się to dzieje – wielki obszar dla alternatywnego finansowania kultury. Myślę, że powstanie w tej dziedzinie wielka różnorodność zadań dla działających globalnie przedsiębiorstw i ich fundacji, które będą je realizować we współpracy z instytucjami kulturalnymi, przy wspólnym zaangażowaniu swoich kompetencji, siły oddziaływania i wspólnej odpowiedzialności. Nie mówię tu – jeśli wolno mi to tak określić – o zwykłej, najprostszej formie sponsoringu, który polega wyłącznie na wzajemnym świadczeniu usług pomiędzy dwoma partnerami. Myślę raczej o sponsoringu połączonym z mecenatem, o współdziałaniu przedsiębiorstw, fundacji i instytucji kulturalnych, w którym przedsiębiorstwo wprawdzie celowo i świadomie prowadzi własną promocję, lecz realizowanie wspólnego celu nadal pozostaje sprawą nadrzędną.

Wracając do cywilizacji pamięci, chciałbym dodać, że to właśnie przedsiębiorstwa obejmujące swą działalnością cały świat, powinny coraz bardziej uświadamiać sobie wagę tego zadania. Z jednej strony odnosi się to do komunikacji interkulturowej, która w sposób celowy może być na przykład prowadzona w zagranicznych filiach, z drugiej zaś strony dotyczy to także komunikacji kulturowej jako takiej, której zadaniem byłoby przekazywanie zarówno na użytek wewnętrzny, jak i na zewnątrz, wielkiego repertuaru odpowiednich środków wyrazu, przekazu i porozumienia. Tu jednak, w analogii do zmienionej struktury organizacyjnej koncernu światowego, w porównaniu z zarządzanym „pańską ręką" przedsiębiorstwem rodzinnym z minionego stulecia, niezbędna byłaby

pewna instytucjonalizacja, która ujęłaby współpracę z twórcami kultury w pewne struktury, odpowiadające ponadindywidualnemu wymiarowi tego zadania. Jest to niezbędne zarówno dla połączenia zaangażowania kulturalnego z politycznym, jak również ze względu na niezawodność społecznego podziału zadań.

Jeśli natomiast chodzi o państwowe finansowanie kultury, z pewnością nastąpią na tym polu niemałe zmiany. Jest wielce prawdopodobne, że żyjemy obecnie w okresie ostatniego zrywu, lub lepiej może byłoby powiedzieć – ostatniej arii na końcu długiej drogi państwowego subwencjonowania kultury, która w przyszłości nie będzie już miała tak istotnego znaczenia jak dotychczas. Dzisiaj mówi się o przyroście zerowym lub ujemnym państwowego finansowania kultury, z jakim powinniśmy się liczyć w przyszłości. I nic tu nie zmienią okazałe budowle muzealne w Bawarii, budowa nowego gmachu teatru w Erfurcie, park tematyczny EXPO albo zorganizowana za dwadzieścia milionów euro berlińska wystawa „Siedem wzgórz", tak samo jak samochwalstwo polityków miejskich czy regionalnych, których czasem chciałoby się wręcz nazwać „dinozaurami publicznego alimentowania kultury" z okresu „tłustych lat". Powinniśmy raczej przyjąć do wiadomości fakt, że dorastające pokolenia i nie tylko one, mają przeważnie inne wartości i formułują inne potrzeby niż ich rodzice, którzy w celu rozwijania swoich horyzontów oraz realizując założenia będącego już właściwie przeżytkiem „wykształcenia ogólnego", za niezbędne uznają zachowanie niemieckiego „systemu subwencjonowania kultury" przez państwo, tego kuriozum na skalę światową.

Obecnie federacja, landy i gminy wydają na ten cel około ośmiu milionów euro rocznie.

Wskutek przesunięcia perspektyw ekonomicznych i kulturalnych państwo nie będzie mogło pozwolić sobie na utrzymywanie kultury na dotychczasowym poziomie, nie będzie także chciało tego robić. Koszty rosną bez zauważalnego wzrostu efektywności, swoje robi także mobilizacja ekonomiczna wraz z wymogami *shareholder value* w digitalnie zglobalizowanym świecie. Dlatego czekająca nas walka o kulturę i przydział środków na nią, powinna wywołać debatę na temat rodzaju, zawartości i zasięgu treści kulturalnych i form wyrazu, które w przyszłości państwo będzie musiało lub chciało wspierać. Wiele z dotychczasowych elementów polityki kulturalnej – co częściowo widać już dzisiaj – nie będzie mogło pozostać w niezmienionej formie i liczbie. W niektórych przypadkach zmiany będą dotkliwe, nadejdą cięcia, także i w naszym kraju.

Jednak w tym samym stopniu, w jakim państwo wyciąga konsekwencje ze zmienionej sytuacji pod względem treści, zapotrzebowania i możliwości finansowania kultury, powinno ono także być zobligowane do bardziej wyrazistego zajęcia postawy wobec największych problemów, jakie z tych zmian wynikają. Tymczasem reakcja ze strony państwa w tym względzie jest wielce niewystarczająca. Nowelizacja ustawy o fundacjach i darowiznach istnieje tylko w formie kadłubowej, tak samo jak uwolnienie scen teatralnych i podobnych instytucji od ograniczeń umów taryfowych.

Gwoli wyjaśnienia muszę dodać, że wcale nie widzę się w roli „wędrowca w dolinie płaczu zorganizowanego życia kulturalnego". Nie mam zamiaru obwiniać o wszystko owego tak bardzo nielubianego „kapitalizmu kasynowego", gdyż w Niemczech kultura nadal rocznie dostaje więcej subwencji niż na przykład przedszkola. Wiem także, że subwencjonowanie sztuki, a także nauki, doprowadziło do powstania mechanizmów planowania, zarządzania, zabezpieczania i kontroli

oraz rozrostu służb publicznych i regulacji budżetowych, które wiele osób działających w kulturze i wielu naukowców doprowadzają do apopleksji lub myśli samobójczych. Zdaję sobie także sprawę, że często zgłaszane żądania, by wyżej podnieść poprzeczkę statusu ekonomicznego w placówkach kulturalnych, nie muszą koniecznie prowadzić do zubożenia krajobrazu kulturalnego. Wiem, że bieda zmusza do kreatywnych rozwiązań, a niemieckiej kulturze przeważnie nadal powodzi się znakomicie.

Wiem również, że twórcza siła sztuki i jej poziom – tego uczy nas spojrzenie nie tylko na kraje europejskie – w żadnym wypadku nie wiąże się w głównej mierze z ilością środków finansowych przeznaczanych na sztukę.

Niezależnie od racji przywołanych w dotychczasowych moich rozważaniach, należy stwierdzić, że podporządkowanie sztuki wyłącznie dyktatowi efektywności i opłacalności, mierzenie jej jedynie w kategoriach zasięgu, upodobań grup interesu i stopnia osiągnięcia celu, ograniczałoby zawartość przekazu do roli opakowania, z kreatywnej zabawy czyniłoby wyłącznie wykalkulowany instrument gospodarczy. Redukowanie potencjału twórczego i artystycznej siły wielu osób tylko do *return of invest*, oznaczałoby całkowite wyjałowienie kultury i utratę orientacji, postępującą wraz z liczbą zer przed przecinkiem. I choć kultura naszego kraju tak bardzo potrzebuje nowych warunków finansowania, które silniej uwzględniały będą wymogi ekonomiczne, to nie wolno dopuścić do tego, by została sprowadzona tylko do roli łatwego, estetycznego *product placement* z wkalkulowanym zyskiem korzystnej lokalizacji. W ten sposób dokonałaby się „utrata znaczenia estetyki" (Gustav Seibt).

Kultura podlega zmianom. Zmienia się jej finansowanie, zmienia się także moralne nastawienie ludzi do niej – tak wielu

zmian jeszcze nigdy nie było. To wszystko będzie miało wpływ na pozarządowe finansowanie kultury. Nie tylko dlatego, że przedsiębiorstwa w dobie globalizacji o wiele mocniej współkształtują dobrobyt ludzi i regionów, nie tylko dlatego, że finansowanie przez państwo coraz bardziej słabnie, ale przede wszystkim dlatego, że przedsiębiorstwa – kierując się naturalnym i pragmatycznym instynktem przetrwania i rozwoju – muszą być zainteresowane żywym kulturowym fundamentem społeczeństwa. W konsekwencji znaczenie pozarządowego wspierania kultury ulegnie decydującym zmianom.

I będzie rosło.

Przez finansowanie kultury rozumiem tu sponsorowanie przedsiębiorstw czy fundacji (powiązanych z przedsiębiorstwami lub niezależnych), które – nie tylko jako napędzający sprzedaż i inwestycje w różnorodnych dziedzinach – charakteryzuje się wyraźnym zainteresowaniem stroną merytoryczną. Chodzi mi o finansowanie połączone z mecenatem, które jednak nigdy nie traci z pola widzenia własnego profilu przedsiębiorstwa, zwiększania sympatii do marki i jej rozpoznawalności. To jest zjawisko świadczące o doskonałym funkcjonowaniu społeczeństwa obywatelskiego, które prowadzi do powstania wzajemnego szacunku i zaufania. Równocześnie zakłada ono istnienie stałej gotowości do dialogu oraz krytycznej ewaluacji rzeczy sfinansowanych i stworzonych. Jest to przeniesiona w sferę obecnych procesów globalizacyjnych „stara, dobra", choć całkowicie nowa odpowiedzialność przedsiębiorstwa oraz jego akcjonariuszy i interesantów wobec społeczeństwa, w którym firma funkcjonuje.

Jak pisał „Die Welt", czasy, kiedy ludzie kultury postrzegali przedsiębiorstwa i ich fundacje (które zwykle także są wyraźnym znakiem przedsiębiorczości i zaangażowania czy też poczucia odpowiedzialności) wyłącznie jako niezbyt

znające się na rzeczy dojne krowy i na odwrót: czasy, kiedy przedsiębiorstwa widziały w ludziach „od kultury" tylko coś w rodzaju kulturalno-oświatowych instruktorów lub błyskotliwych, acz jałowych i pozbawionych tylko błazeńskiej czapki prowokatorów intelektualnych, którzy czasem mogą nawet i mieć rację, ale nie rozumieją prawdziwego życia i nie mają pojęcia o konieczności zarabiania pieniędzy – otóż te czasy minęły bezpowrotnie, a tam, gdzie jeszcze takie myślenie pokutuje, dialog nie jest możliwy.

Powtórzmy jeszcze raz – tak samo, jak państwowe subwencjonowanie kultury musi jeszcze raz bliżej przyjrzeć się zasadniczym punktom swego zaangażowania i zdefiniować je na nowo, tak samo pożądane byłoby, żeby sfera kultury i jej prywatni sponsorzy ustalili między sobą strategiczne cele, które powinny zawierać kryteria podobnie dające się zobiektywizować, jak konkretny, ukierunkowany na cel własny interes. Nikt bowiem nie będzie chciał narazić swoich udziałowców na nieprzejrzystą sytuację w tej kwestii i niewiedzę o tym, co decyduje o finansowaniu przez nich jednej rzeczy, a innej nie.

W moim przekonaniu my, Niemcy, powinniśmy powoli zejść z naszej wypaczonej już własnej drogi i porzucić przekonanie, że sztuka jest „czysta", a pieniądze sponsorów „nieczyste i splamione". Niestety, często nadal jeszcze tak się uważa, choć następują w tym względzie wyraźne zmiany. Sytuacje, w których placówki kulturalne utrzymujące się ze stałego dopływu subwencji państwowych nie biorą pod uwagę oczekiwań innych, niejednokrotnie także prywatnych sponsorów, są coraz rzadsze.

Prywatni sponsorzy łożą i wspierają kulturę, gdyż chcą zyskać popularność, nadać sobie określony profil, nawiązać kontakty, wzbudzić sympatie, wzmocnić swoją tożsamość

wobec klientów lub współpracowników, a także poprawić swoją sytuację w miejscu działania. I to wszystko jest jak najbardziej słuszne. Dobrze zrobiłoby to także naszym placówkom kulturalnym finansowanym przez państwo, gdyby takie nastawienie się upowszechniło. We wspólnym interesie leży wzrost liczby przedsiębiorstw, którym nie chodzi wyłącznie o współpracę na zasadzie „przysługi za przysługę", lecz chcących także, z uwzględnieniem własnego rozwoju i przy wysokich kompetencjach merytorycznych, wspólnie stworzyć coś, co przyniesie korzyści obu stronom, kulturze i przedsiębiorstwu.

Firmy działające i zaangażowane we wspieranie kultury już dawno nie zadowalają się tylko rolą płatnika. Prowadzi to do sytuacji, kiedy silna identyfikacja przedsiębiorstwa lub fundacji ze wspieranym projektem wymaga, żeby kryteria selekcji finansowanych przedsięwzięć kulturalnych zostały na nowo zdefiniowane i doprecyzowane między darczyńcą i odbiorcą. Ponadto światy kultury i przedsiębiorstwa powinny być jak najbardziej zainteresowane tym, żeby szczególnie mocno wyostrzyć i rozwinąć spojrzenie na kulturę innych krajów naszej *global village*, starając się przede wszystkim dostrzec jej korzenie i potencjał rozwojowy.

W ten sposób zarysowuje się droga, na którą powinno wkroczyć pozarządowe finansowanie kultury wraz z instytucjami kulturalnymi i artystami. Zaś jej cel wygląda niemal jak utopia: kultura nie będzie już tylko prostym przekaźnikiem ideologii i marki przedsiębiorstwa, a przedsiębiorstwa nie będą tylko przekaźnikiem wartości kulturowych. Kultura i przedsiębiorstwa w wizji tutaj zarysowanej mogą wspólnie stać na straży i pośredniczyć między istotą człowieka, jego podstawową kondycją a ogółem ideowych, kulturowych i materialnych form egzystencji człowieka w społeczeństwie. Mogą więc wspólnie pośredniczyć między tożsamością historyczną i absolutną

współczesnością, która w przyszłości nie będzie się ograniczała do miejsca, ale w coraz większym stopniu będzie koncentrowała się na czasie.

Czasami odnoszę wrażenie, że krajobraz kulturalny Niemiec na naszych oczach opanowuje nuda. Niektórzy twierdzą, że zachowanie *status quo* to już będzie sukces. W tym samym tempie, w jakim zaczynają się cofać państwowe subwencje dla podstawowego funkcjonowania kultury, sztuka i jej finansowanie będą potrzebowały przestrzeni i możliwości rozwoju stworzonych przez odważne, gotowe podjąć ryzyko pozarządowe struktury zaangażowanych przedsiębiorstw i fundacji, by sztuka mogła jeszcze skuteczniej niż dotychczas odgrywać rolę duchowego systemu wczesnego ostrzegania, a rzeczywistości przedmiotów możliwych do wykonania przeciwstawiała możliwości, jakie otwiera przed człowiekiem wyobraźnia. I to jak najbardziej z korzyścią dla istniejących struktur i poszerzenia pola ich działalności, a więc sztuka nie będzie tu czynnikiem hamującym rozwój, lecz siłą umożliwiającą porozumienie na rzecz nowego ukierunkowania intelektualnego i duchowego.

Sztuka i kultura, tak jak jeszcze dzisiaj je pojmujemy, zmieniają swoją treść i formę wyrazu. I będziemy musieli się z tym uporać. Jak to wyraził Goethe? „Wszystko płynie, wszystko się zmienia!" Ja dodałbym, posiłkując się słowami Franza Kafki: „Wszyscy cierpią na lekką chorobę morską, ale na stałym lądzie".

Przełożyła Alicja Rosenau

AUDRONIS IMBRASAS

Wspieranie kultury przez biznes: forma promocji firmy czy odpowiedzialność społeczna?

Przykład Litwy

Rozmowę o wspieraniu kultury przez środowiska biznesowe można prowadzić w różnych kierunkach, wymieniać rozmaite sumy. Można zastanawiać się, czy ludzie kultury potrafią przedstawić przedsiębiorcom projekty atrakcyjne z punktu widzenia rozwoju firm. Można jednak mówić także i o tym, że wszyscy należymy do tego samego społeczeństwa i wszyscy chcemy, aby nasz kraj rozwijał się jak najlepiej, jak najdynamiczniej i aby był w stanie we współczesnym świecie konkurować z innymi, także z większymi, ekonomicznie i politycznie potężniejszymi krajami.

Kiedy jednak mowa o sprawach dotyczących relacji między kulturą a biznesem, pytań pojawi się więcej niż odpowiedzi. Co może Litwę wyróżnić, uczynić ją zauważalną na rynkach światowych? Jakiego typu działalność przynosi najlepsze efekty w dążeniu do zdobycia pozycji w przestrzeni międzynarodowej? Która gałąź gospodarki najmniej jest uzależniona od perypetii polityki globalnej, od wymagających wielkich inwestycji, ale jakże szybko zmieniających się technologii, od obrotu wielkimi środkami finansowymi – czyli od sfer, w których trudno nam konkurować z narodami od dawna cieszącymi się wolnością?

W których dziedzinach najmniej czasu zajmie nam doścignięcie – po półwieczu braku suwerenności – społeczeństw innych krajów, a w których może wcale nie pozostajemy w tyle? Czy tą dziedziną mogą być nowoczesne technologie? Transport? Przemysł tekstylny, przemysł meblowy? Telekomunikacja? Niezupełnie. Z pewnością szukać powinniśmy takiej dziedziny, w której decydującą rolę odgrywają talent i wrodzone zdolności człowieka. Do dziedzin takich należy niewątpliwie kultura.

Kto przetrwa w dzisiejszym świecie? Społeczeństwa, które mają najlepsze drogi? Najwięcej użytecznych kopalin? A może najwięcej produktów rolnych? Raczej nie. Przetrwają społeczeństwa najbardziej innowacyjne, najbardziej twórczo przystosowujące się do zmieniającego się świata. Dzisiaj nie wystarczy już mieć informacje – trzeba umieć kreatywnie ją wykorzystać w rzeczywistości.

Które dziedziny mogą mieć wpływ na rozwój talentów, wzrost innowacyjności narodu? Bankowość? Gorzelnictwo? Pozyskiwanie nafty? Sport? Możliwe. Niezależnie jednak od tego, o kreatywności społeczeństwa w największym stopniu decydują system oświatowy, nauka i środowiska kultury.

Są to kwestie dyskusyjne i można poświęcić im niejedną konferencję. Bezsporny pozostaje jednak fakt, że do sfer najwyrazistszych, w której już teraz Litwa z powodzeniem konkuruje z całym światem, należą sztuka i kultura. Eimuntas Nekrošius i Oskaras Koršunovas otwierają najsłynniejsze międzynarodowe festiwale teatralne. Arūnas Matelis otrzymuje najważniejsze międzynarodowe nagrody filmowe. Violeta Urmana śpiewa na premierach najlepszych zespołów operowych świata. Litewska Opera Narodowa realizuje spektakle we współpracy z najbardziej znanymi instytucjami teatralnymi na świecie. Litewskie festiwale tańca i teatru należą do najbardziej interesujących wydarzeń tego typu w Europie Północnej, przyciągając światowe

gwiazdy i wybitnych krytyków. O przedmioty osobiste należące do Jonasa Mekasa ubiegają się muzea całego świata.

A jednak w budżecie litewskim środki przeznaczane na sektor kultury należą do najmniejszych wśród wszystkich gałęzi gospodarki. Przeciętny obywatel Litwy finansuje kulturę swego kraju w stopniu mniejszym niż którykolwiek inny przeciętny obywatel Unii Europejskiej. Litewski PKB stanowi już połowę średniego PKB w Unii Europejskiej, ale środki przeznaczane na Litwie na kulturę i sztukę są kilkadziesiąt albo nawet kilkaset razy mniejsze niż w głównych państwach członkowskich Unii.

Naturalnie, podział budżetu kraju miedzy poszczególne sektory gospodarki leży w gestii polityków i rządu. Czy dysproporcję, o której tutaj mówimy, może zmienić środowisko prywatnego biznesu, angażując się w finansowe wspieranie kultury? Czy przedsiębiorcy chcą się tym zajmować? Czy możliwe są modele współpracy, które zadowalają wszystkie trzy strony – środowiska biznesowe, przedstawicieli władz oraz animatorów i twórców kultury?

Siły twórcze narodu, społeczeństwa – któż jest za nie odpowiedzialny? Politycy? Władza wykonawcza? Naukowcy? Działacze kultury? Czy nie jest jednak tak, że każdy z nas na miarę własnych możliwości przyczynia się do wzrostu konkurencyjności całego społeczeństwa? Czy do swojej części odpowiedzialności społecznej nie powinna poczuwać się każda z wyżej wymienionych grup, a zatem również przedsiębiorcy, którzy jako pierwsi zakosztowali owoców wolnego rynku, demokracji, ekspansji kapitału?

Z drugiej strony, czy w ogóle możliwe jest ustalenie, co właściwie należy wspierać? Czy da się zgodnie wskazać, które dziedziny są najbardziej perspektywiczne, i bez wsparcia nieźle funkcjonują, a które zaledwie wegetują, jak rośliny niemal pozbawione powietrza i słońca? Firmy dążą do wyrazistości

wizerunku, do rozpoznawalności marki, do tworzenia pozytywnych skojarzeń miedzy ofertą a wszelkimi wyobrażalnymi sferami życia. Najczęściej skłaniają się wobec tego ku przejrzystym, sprawdzonym za pomocą różnych metod projektom, które stanowią gwarancję, że nazwa firmy stanie się dobrze znana, a szeregi klientów czy użytkowników znacząco się powiększą.

Czy jednak możliwe są innowacje bez ryzyka, bez eksperymentów? Czy można stworzyć nowy lek tylko przez preparowanie starych leków? Czy można rozwijać kreatywność przez seryjne powielanie sprawdzonych i wszystkim znanych produktów?

Źródłem wszelkich przekonań jest jednostkowe doświadczenie. Moje doświadczenia związane są przede wszystkim z tańcem, zwłaszcza tańcem nowoczesnym. Rozwój tej dziedziny sztuki, trwający zaledwie stulecie, genetycznie jest związany z nowatorstwem, z ignorowaniem lub łamaniem zastanych reguł. Taniec dzieje się tu i teraz, nie może istnieć bez publiczności. Publiczność jednak długo go nie zna i nie uznaje. Podobnie jak instytucje rządzące. Mija jednak kolejne dziesięć lat i wszystko zmienia się niby pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki: innowacje w sztuce tańca stają się fundamentem innych reform w dziedzinie kultury. To jednak kwestia dziesięcioleci. Tymczasem ktoś gdzieś musi zacząć. Jakie jest prawdopodobieństwo tego, że przedstawiciele biznesu zainteresują się działalnością zupełnie nieznaną w społeczeństwie, skoro mają do dyspozycji tyle sprawdzonych, gwarantujących powodzenie projektów?

Zdarzenie takie było kilkadziesiąt lat temu w Stanach Zjednoczonych kiedy korporacja „Philip Morris" zainwestowała właśnie w dziedzinę tańca i w ten sposób, można by rzec, zmieniła kulturę wielu krajów, do których to właśnie Amerykanie

sprowadzili kiedyś taniec nowoczesny. Na Litwie dziesięć lat temu spółka „Philip Morris Lietuva" zaryzykowała i zaczęła wspierać imprezę nieinstytucjonalną, przygotowywaną przez niezbyt wówczas znanego organizatora, rozwinęła ją aż do rozmiarów festiwalu konkurencyjnego w całej Europie Środkowej i Wschodniej. Skutki tego są zauważalne już teraz: taniec nowoczesny w całej różnorodności doczekał się na Litwie własnego miejsca i własnej publiczności. A przecież zarówno „Philip Morris" w Ameryce, jak i litewska firma-córka mogły wybrać inny projekt, w pewien sposób bezpieczniejszy, bo gwarantujący rozpoznawalność i szybszy zwrot inwestycji.

Nasuwa się więc pytanie, czy naszych przedsiębiorców interesują tylko projekty o przewidywalnej sile oddziaływania i realizowane przez sprawdzone organizacje? Z jakiego typu ludźmi chcą oni nawiązywać współpracę? Z posłusznymi klientami, kupującymi seryjne produkty o niskiej jakości i krótkim terminie ważności, pracownikami zgadzającymi się pracować w każdych warunkach, czy jednak z ludźmi ciekawymi świata, zdolnymi samemu zaradzić sobie w życiu, czyli z ludźmi twórczymi i operatywnymi? Z wymagającymi i mądrymi użytkownikami? Z wykształconymi, mającymi międzynarodowe kompetencje pracownikami?

Zapytajmy wreszcie, co stanowi istotę relacji między biznesem a kulturą? Czy więź ta opiera się na sponsorowaniu czy też na partnerstwie i wspólnej odpowiedzialności za rozwój społeczeństwa? Czym są środki przeznaczane na kulturę i sztukę – kolorowymi balonikami wypuszczanymi do nieba czy inwestycją w przyszłość własną, własnych dzieci, społeczeństwa, do którego należymy?

Pomogłaby nam tutaj szczera rozmowa o tym, czym tak naprawdę jest „patronat", „dofinansowywanie", „wspieranie", a może raczej: jak określić większość wydarzeń na Litwie, w których opisie pojawiają się te magiczne pojęcia. Czy to inwestycja

biznesu w społeczeństwo i jego właściwy rozwój, czy też – najbanalniej – element autoreklamy najróżniejszych przedsiębiorstw? Czy wszyscy tak samo rozumieją termin „patronat"? Czy suma, przeznaczona w budżecie firmy na promocję, przekazana do budżetu projektu kulturalnego pod warunkiem, że wykonawca będzie nosił na plecach olbrzymie logo firmy – czy to wciąż patronat, czy już cyniczna autoreklama? Czy przypadki, kiedy firmy zajmują się nie swoją właściwą działalnością, lecz same zaczynają produkować dzieła artystyczne, należy nazywać patronowaniem kulturze, nowym rodzajem przedsiębiorczości czy też inną formą autoreklamy? Kiedy dofinansowywanie imprez organizowanych przez rodzinę i przyjaciół należy uznać za patronat kulturalny, a kiedy za pożyczkę na rzecz przedsięwzięcia bliskich im osób? Kiedy „patron" prosi o zwrot w gotówce określonej części dofinansowania – a nie jest tajemnicą, że bywa i tak – czy wciąż jest to patronat, czy już nie?

Zapytajmy także, czy wiele przedsiębiorstw stworzyło jasne i przejrzyste systemy przyznawania dofinansowań? Czy z punktu widzenia przedsiębiorcy działacz kultury proszący o „patronat" jest partnerem, zdolnym przyczynić się do pozyskania przez firmę więcej myślących nabywców lub użytkowników, czy też kolejnym „wyłudzaczem kasy", od którego trzeba odgrodzić się specjalnym działem firmy?

Z drugiej strony warto się zastanowić, ilu ludzi kultury rozumie motywy i punkt widzenia przedsiębiorców? Czy nie traktują oni czasem środowiska biznesowego jedynie jak kolejnego źródła finansowania projektów artystycznych? A przedsiębiorcę jedynie jak skąpego kapitalistę, ukrywającego przed nami wyciśnięte od nas pieniądze? Może odgrywa tu pewną rolę dziedzictwo czasów socjalistycznych, kiedy kapitalistę oficjalna propagandowa maszyna do prania mózgów przedstawiała wyłącznie negatywnie?

W tym miejscu nasuwa się refleksja o systemie jako takim. Zastanówmy się, czy ustawa o patronacie i dobroczynności to magiczne narzędzie do wspierania kultury czy dobry kamuflaż w sytuacji, kiedy ani politycy, ani przedsiębiorcy nie chcą wspierać kultury? Jakkolwiek jest w rzeczywistości, olbrzymia część tak zwanego „wsparcia" jest pozyskiwana i tak z budżetu promocyjnego prywatnych przedsiębiorstw.

Czy młodzież masowo emigruje z naszego kraju tylko ze względu na większe zarobki na obczyźnie, a może również dlatego, że życie w ojczystym kraju przestaje być interesujące? Intensywność życia kulturalnego w Londynie, Paryżu czy Lublanie dzielą od litewskiej rzeczywistości odległe lata świetlne. W ten sposób nasz kraj traci najbardziej kreatywne, najchłonniejsze umysły.

Dlaczego litewska telewizja publiczna w ogóle nie produkuje ambitnych programów kulturalnych, wizualnych prezentacji różnych dziedzin sztuki – takich, jakie oglądamy po przybyciu do któregokolwiek z państw Europy Zachodniej? Dlaczego tylko nieustannie powiela się – chętnie sponsorowaną przez biznes – telewizyjną „masówkę", koncerty, w których przewijają się wciąż ci sami wykonawcy, reality shows, rankingi przebojów muzycznych?

Tak, pytań na razie jest więcej niż odpowiedzi. Być może jednak stawianie tych pytań wywoła w końcu debaty, które pociągną za sobą decyzje korzystne dla nas wszystkich.

Konferencja usiłująca doprowadzić do porozumienia się środowisk twórczych i biznesowych, to bardzo potrzebna inicjatywa. Czy jednak zgodziliśmy się co do celu, jaki próbujemy osiągnąć dzięki tym dyskusjom? Dlaczego próbujemy się porozumieć? Czy chodzi o większe sumy? O lepsze reklamy dla ofiarujących te sumy? O wygodniejsze, przejrzystsze zasady

korzystania ze sponsorowania i prostszy sposób rozliczania się z dotacji dla działaczy kulturalnych? A może chodzi o wspólną odpowiedzialność za nasz kraj, za nasz naród, za jego siły twórcze? Odpowiedzialność za przyszłość naszych dzieci i kolejnych pokoleń? Za to, abyśmy mogli czuć się społeczeństwem kreatywnym, godnym partnerem całego świata.

Przełożyła Agnieszka Rembiałkowska

RAFAŁ KASPRZAK

Kierunki wpływu kultury i przemysłów kultury na rozwój społeczno-ekonomiczny regionów

Zmieniający się paradygmat postrzegania kultury oraz działalności gospodarczej związanej z produkcją, przetwarzaniem oraz dystrybucją dóbr i usług kultury (przemysłów kultury) tworzy nowe możliwości wykorzystania potencjału kryjącego się nie tylko w bogactwie flory i fauny naszych regionów, ale także w bogatej przeszłości historycznej ziem polskich.

W opracowaniu zarysowane zostaną wybrane kierunki wpływu kultury i przemysłów kultury na rozwój społeczno-ekonomiczny regionów, a także wpływu instytucji kultury na rozwój jednego z zapóźnionych regionów Unii Europejskiej.

Kultura i przemysły kultury a region

Przyjmując szeroki zakres oddziaływania kultury, do znaczących płaszczyzn wpływu kultury na rozwój społeczno-ekonomiczny można zaliczyć[1]:

[1] Za: M. Smoleń., *Przemysły kultury – wpływ na rozwój miast*, Kraków 2003, s. 71.

– bezpośredni wpływ na rynek pracy przez tworzenie miejsc pracy w publicznych instytucjach kultury, organizacjach non-profit oraz w gałęziach przemysłu kultury;

– tworzenie produktów dla innych gałęzi gospodarki, co przyczynia się pośrednio do zwiększenia liczby miejsc pracy w sektorach komplementarnych wobec sfery kultury – turystyka, rekreacja, edukacja;

– wzrost dochodów budżetu lokalnego bezpośrednio przez sprzedaż dóbr i usług kultury na rynku wewnętrznym i zewnętrznym oraz zysków pośrednich – podatki od nieruchomości, dochodowe od osób fizycznych i firm;

– wzrost dochodu budżetu lokalnego przez zyski generowane w branżach komplementarnych;

– zwiększenie atrakcyjności inwestycyjnej regionu/miasta;

– rewitalizacja przestrzeni miejskiej i wiejskiej oraz obiektów poprzemysłowych;

– pomoc w tworzeniu pozytywnego wizerunku miasta/regionu;

– podwyższenie poziomu i jakości życia[2], co przekłada się na atrakcyjność miejsca zamieszkania, przyczynia do przyciągania i zatrzymywania ludzi kreatywnych, posiadających wysokie kwalifikacje;

– sposób walki z tzw. chorobami miejskimi – osłabienie więzi społecznych, patologie czy bezrobocie.

Strategie rozwoju wielu miast w Europie zachodniej opierają się właśnie na wykorzystywaniu przedstawionych powyżej czynników, które trwale wpisują się w długoterminowe polityki rozwoju kapitału ludzkiego. Klasycznymi przykładami

[2] Poziom życia – zespół obiektywnych wskaźników charakteryzujących środowisko, otoczenie człowieka, jakość życia – zespół subiektywnych ocen i wskazań charakteryzujących otoczenie człowieka.

siły i znaczenia kultury i przemysłów kultury jest rozwój Rotterdamu – położono nacisk na promocję miasta, jako centrum festiwalowego Europy oraz Manchesteru, gdzie postawiono na rozwój przemysłu filmowego.

Sieć gałęzi przemysłu kultury najchętniej rozwija się w regionach charakteryzujących się silnymi funkcjami ekonomicznymi i administracyjnymi oraz w miastach o utrwalonych historycznych korzeniach kulturowych, funkcjach edukacyjnych i naukowych. Do cech charakteryzujących regiony o dużych możliwościach rozwoju branży usług kultury należą[3]:

– duża koncentracja ludzi (zarówno lokalnych mieszkańców, jak i ludności napływowej – turyści) i wynikające z niej zróżnicowanie społeczne, co objawia się w różnych stylach życia, wartościach, światopoglądzie;

– funkcjonowanie odpowiedniej infrastruktury, sprzyjającej edukacji i rozwojowi specjalistów niezbędnych do pracy w przemysłach kultury – sieć szkół artystycznych, bogata oferta kursów, szkoleń;

– wystarczający poziom popytu na usługi kultury, wynikający zarówno z uwarunkowań ekonomicznych (poziom dochodu), jak również pozaekonomicznych (czas wolny, poziom edukacji kulturalnej oznaczający odpowiedni poziom aspiracji i potrzeb kulturalnych);

– odpowiednie nasycenie terenu infrastrukturą kulturalną, pozwalającą na rozwój sfery kultury.

W dalszej analizie uwypuklone zostaną wybrane elementy wpływu kultury na rozwój regionu przez wzrost atrakcyjności turystycznej, rewitalizację oraz zwiększanie atrakcyjności inwestycyjnej.

---

[3] Patrz także: M. Smoleń, op. cit., s. 69–70.

Turystyka kulturalna

Wpływ sfery kultury na wzrost liczby turystów odwiedzających miasto/region jest jednym z najczęściej poruszanych argumentów przemawiających za pozytywnym wpływem kultury na rozwój społeczno-ekonomiczny. Za model turystyki kulturalnej uznać można tzw. Grand Tour[4]. Współcześnie, wraz ze wzrostem zamożności społeczeństwa oraz rozwojem środków komunikacji, obserwuje się dynamiczny wzrost ruchu turystów. Sprzyja temu jednoczesny wzrost podaży i bogatsza oferta miejsc dla turystów. Należy zauważyć, że wzrost konkurencji na rynku usług turystyki kulturalnej wymaga wypracowania efektywnych metod promocji regionu.

M. Smoleń podaje dwa charakterystyczne typy miast, w których kultura jest jednym z nadrzędnych elementów prowadzonej polityki rozwojowej[5]:

– miasta o przewadze tradycyjnego przemysłu, które w turystyce widzą możliwość przekształcenia miasta w przestrzeń zamieszkania ery postindustrialnej; nowe inwestycje w kulturę zmierzają do stymulowania rozwoju gałęzi przemysłu kultury, co ma przynieść wymierne efekty w rozwoju społeczno-ekonomicznym – Glasgow, Sheffield, Liverpool, Bilbao, Manchester, Hamburg;

– miasta postrzegane jako główne centra kultury, których kapitał kulturalny tworzył się w ciągu wieków – Londyn, Paryż, Rzym, Amsterdam.

---

[4] Grand Tour, wielki objazd po najciekawszych historycznie i artystycznie miastach południowej Europy (szczególnie Włoch), był – począwszy od XVII w. – powinnością młodych brytyjskich szlachciców, uzupełniającą ich całościowe wykształcenie. Za: L. Michałowski, *Turystyka i sposoby promocji miast,* „Studia Regionalne i Lokalne", nr 4/2003.

[5] M. Smoleń, op. cit., s. 74.

Rozwój turystyki niewątpliwie przyczynia się do wzrostu ekonomicznego miasta/regionu, a liczne miasta prześcigają się w wypracowaniu różnorodnych mechanizmów przyciągających turystów lub zwiększających atrakcyjność miasta, takich jak np. festiwale czy inicjowanie tworzenia miejsc o silnym oddziaływaniu kulturowym.

Rewitalizacja

Rewitalizacja[6] to proces przemian przestrzennych, społecznych i ekonomicznych w zdegradowanych dzielnicach miast, przyczyniający się do poprawy jakości życia mieszkańców, przywrócenia ładu przestrzennego, ożywienia gospodarczego i odbudowy więzi społecznych. Obejmuje ona kompleksowe działania techniczne, społeczne i ekonomiczne mające na celu przywrócenie dawnej świetności oraz zapewnienie rozwoju określonego obszaru: dawnych dzielnic miejskich, terenów poprzemysłowych, powojskowych oraz blokowisk.

Programy rewitalizacji obejmują najczęściej historyczne centra miast. Traktowane są także jako jeden ze sposobów rozwiązania problemu niskiego standardu mieszkaniowego w istniejących zasobach mieszkaniowych. Takie podejście jest zasadne, o ile nie wiążą się z nim oczekiwania, że przez programy rewitalizacji zlikwidowana zostanie w całości potężna luka remontowa w polskim mieszkalnictwie oraz o ile nie są pomniejszane społeczne i ekonomiczne cele rewitalizacji. Programy te stwarzają wówczas realne szanse rozładowania kryzysu danego obszaru i danej społeczności lokalnej.

---

[6] Za: http://www.zyrardow.pl/rewitalizacja.

Do istotnych, pozytywnych wyznaczników koncepcji rozwiązywania sytuacji kryzysowych poprzez rewitalizację należą[7]:

– zachowanie walorów historycznych danego obszaru;

– podkreślenie jego unikatowości i kolorytu lokalnego;

– działanie w zgodzie z potrzebami i wartościami danej społeczności, przy jej aktywnym udziale w przygotowaniu i realizacji programów rewitalizacji.

Wspólne inicjatywy i działania władz lokalnych, mieszkańców, instytucji zlokalizowanych na danym terenie oraz innych zainteresowanych partnerów, pozwalają na osiągnięcie większych efektów rzeczowych oraz większą akceptację ze strony społeczności lokalnej. Prowadzi to do rozkwitu społeczno-kuturalnego oraz gospodarczego rewitalizowanego obszaru i całego miasta. Interesującymi przykładami rewitalizacji są m.in. Żyrardów oraz dzielnica Praga Północ w Warszawie (obszar ulicy Ząbkowskiej).

Studium przypadku – „Efekt Bilbao"

Interesującym przykładem[8] wpływu instytucji kultury na rozwój gospodarczy miasta/regionu jest przypadek miasta Bilbao. Otwarte tam w 1997 roku Muzeum Guggenheima, dzięki nieszablonowej architekturze zaprojektowanej przez Franka O. Gehrego spowodowało, że prowincjonalne, baskijskie miasteczko zamieniło się z dnia na dzień w światową metropolię kulturalną.

---

[7] Ibidem.

[8] Na podstawie: *The Economy of Culture in Europe*, raport na zlecenie Komisji Europejskiej opracowany przez Global Alliance, Media Group, MKW GmbH. Bruksela 2006, s. 156–157.

Muzeum zostało wybudowane na placu o powierzchni 32 tys. metrów kwadratowych, w samym centrum miasta i zostało potraktowane jako kluczowy element strategicznego planu rewitalizacji tego centrum. Przyjęty w 1989 roku plan rewitalizacji został opracowany w wyniku pogłębiającego się kryzysu społeczno-ekonomicznego w regionie. Plan rewitalizacji zakładał stworzenie szeregu nowatorskich budowli zaprojektowanych przez światowej klasy architektów, i obejmował między innymi: przebudowę miejskiego portu, lotniska, budowę nowego centrum konferencyjno-szkoleniowego, budowę kolei miejskiej, pieszego mostu nad rzeką Uribitarte oraz budowę wspominanego muzeum.

Od czasu otwarcia w 1997 roku, muzeum przyczyniło się do zmiany statusu miasta z prowincjonalnego i nieco zapomnianego miasteczka na światowe centrum artystycznych pielgrzymek. Efekt społeczno-ekonomiczny wygenerowany przez instytucję kultury był tak piorunujący, że w literaturze przedmiotu powstał termin „Efekt Bilbao".

Kluczowymi elementami „Efektu Bilbao" były przede wszystkim:

– dynamiczny wzrost liczby turystów, zachęconych atrakcjami miasta i możliwością przeżyć estetycznych; szacunkowy wzrost liczby turystów od daty otwarcia obiektu to ponad 8 milionów turystów, spośród których 60% to obcokrajowcy (w 2005 r. liczba turystów wyniosła ponad 965 tys. osób, z czego 59% stanowili turyści zagraniczni);

– wysoka stopa zwrotu inwestycji – przychody muzeum przewyższają osiemnastokrotnie nakłady poniesione na budowę muzeum i zakup/wynajem kolekcji i eksponatów.

– dywersyfikacja źródeł przychodów muzeum – odejście od finansowania muzeum ze środków publicznych (w 2005 r. środki publiczne stanowiły tylko 22% przychodów,

pozostałą część instytucja kultury uzyskiwała przez: sprzedaż biletów, aktywną współpracę z operatorami turystycznymi w celu pozyskiwania dużej liczby grup turystycznych zwiedzających kolekcje muzeum, szeroką ofertę pamiątek i książek sprzedawanych w sklepach, sponsorowanie);

– stworzenie i utrzymanie miejsc pracy – średnia stopa bezrobocia w Bilbao spadła w okresie 1995–2005 z 14,5% do 9,5%; od czasu otwarcia instytucja kultury stworzyła 4361 miejsc pracy;

– odegranie roli ośrodka stymulującego rozwój przemysłów kultury – przyczyniając się do wzrostu zainteresowania sztuką mieszkańców regionu, muzeum zachęciło do przebudowy innych muzeów w regionie, przyczyniło się do otworzenia licznych galerii oraz sieci przedsiębiorstw o strukturze działalności uzupełniającej działalność kulturalną – hotele (20 hoteli w latach 1991–2004), przedsiębiorstwa o charakterze sportowo-kulturalno-rekreacyjnym (37 w powyższym okresie) oraz placówki związane z grafiką i projektowaniem artystycznym (20).

Podsumowanie

Wskazany powyżej pozytywny wpływ kultury na rozwój regionu pokazuje jeden z interesujących sposobów wytworzenia przewagi konkurencyjnej pomiędzy regionami dzięki wykorzystaniu sztucznie stworzonego ośrodka – instytucji kultury. Warto zwrócić uwagę na kompleksowy plan rewitalizacji, w którym stworzenie aktywnego ośrodka kultury było jednym z elementów łańcucha, który zgodnie z zamierzeniem władz lokalnych miał wyciągnąć miasto z marazmu i stagnacji gospodarczej.

Należy jednakże pamiętać, że osiągnięcie „Efektu Bilbao" wymagało stworzenia ram instytucjonalno-prawnych

sprzyjających rozwojowi instytucji kultury, ram, które przyczyniły się do wsparcia i skanalizowania zwiększonego ruchu turystycznego – aktywny rozwój sieci hotelarskich oraz miejsc pozwalających na wsiąknięcie i zatrzymanie turystów kończących zwiedzanie muzeum. Sama instytucja kultury nie ma bowiem potencjału pozwalającego na przyczynienie się do dynamicznego rozwoju regionu. Dopiero wkomponowana we właściwą tkankę miasta/regionu pozwoli efektywnie wykorzystać potencjał kultury, przyczyniając się do pożądanych zmian społeczno-ekonomicznych.

MAŁGORZATA OWCZARSKA

„Kulturowe intymności" organizowania turystyki

W 2000 roku angielska profesor antropologii Caroline Humphrey napisała w artykule dotyczącym barteru w Rosji czasów transformacji, że działania ekonomiczne i gospodarcze człowieka zawsze uwikłane są w „kulturową intymność". Nie było to żadne epokowe spostrzeżenie, bowiem etnografia zajmowała się sprawą ekonomii i ludzkiej pracy od czasów powstawania pierwszych monografii, a przed etnografią czyniła to socjologia i filozofia.

I tak antropolodzy Jonathan Parry i Maurice Bloch pisali, że pieniądz wcale nie ma, jak się potocznie o tym mówi, uniwersalnej wartości, ponieważ wkomponowano go w kulturę, zaczęto wyrażać go symbolicznie, a ów symbolizm wiąże się z kulturowo stworzonymi koncepcjami produkcji, konsumpcji, obiegu i wymiany. Igor Kopytoff analizował proces, w którym to przedmiot staje się towarem, a potem zmienia się w coś niepowtarzalnego i unikatowego lub zupełnie bezwartościowego, i przestaje podlegać wymianie tylko dlatego, że został naznaczony kulturowo przez człowieka lub odpowiednio przez niego sklasyfikowany.

Wszystkie te teksty, choć różnią się koncepcjami, zakładają jeden podstawowy fakt, o którym często zaabsorbowani ekonomicznym, kalkulacyjnym, zdroworozsądkowym myśleniem człowieka zachodu zapominamy, mianowicie o tym, że gospodarka i ekonomia, jako że powstały w kulturze, są nierozerwalnie z nią powiązane. Szczególnie, kiedy obserwuje się je w praktyce. Nie są osobnym systemem nałożonym na nasze życie w oderwaniu od naszego światopoglądu, sposobu w jaki działamy, myślimy, organizujemy i wartościujemy. Ekonomia się temu wszystkiemu podporządkowuje.

Moim zdaniem nikt jednak ujął tak trafnie tej oczywistej prawdy, jak zrobiła to Humphrey. Powiedziała też, że etnolog, który zajmuje się ekonomią i gospodarką nie ma innego wyjścia, jak tropić jej „kulturową intymność". Zatem zapraszam do odszyfrowywania tajemnic wpływu kultury na zachowania gospodarcze, na przykładzie rozwoju turystyki we wsi tatarskiej.

Bohoniki są stare. Istniały jeszcze zanim przybyli tu Tatarzy w 1679 roku, kiedy to Jan III Sobieski nadał te tereny rotmistrzom Olejowskiemu, Kieńskiemu, Sieleckiemu i ich żołnierzom. Ponoć Olejowski dostał tyle ziemi, ile zdążył konno objechać od wschodu do zachodu słońca. W tym samym czasie również w Kruszynianach zasiadł pułkownik Samuel Murza-Krzeczowski, przedstawiciel znamienitego, niestety dziś już wygasłego rodu tatarskiego. Miało to być rekompensatą za niewypłacony żołd. Obie wsie stały się w tamtych latach najpóźniejszym (Tatarzy napływali na tereny Litwy już od XIV w.) i najbardziej wysuniętym na zachód przyczółkiem osadnictwa tatarskiego w Rzeczypospolitej. Centrum osadnictwa koncentrowało się w okolicach Wilna, Grodna i Nowogrodu. Po II wojnie światowej i przesunięciu granic na zachód, Bohoniki i Kruszyniany pozostały jedynymi osadami, które Tatarzy w Polsce mogli traktować i traktują do dziś jako swoją kolebkę.

Początkowo Tatarzy byli osadzani na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego i służyli Koronie jako żołnierze, straż graniczna i posłańcy. Nadano im szlacheckie tytuły i nazwiska słowiańskich żon. Język tatarski z czasem zaginął, a codzienne zachowania i kultura zrosły się z miejscową. Ostały się fizjonomia i najważniejsze: islam, a co za tym idzie obrzędowość rodzinna i religijna. Wśród wielu rodzin bardzo silne jest też poczucie pewnej odrębności etnicznej oraz pielęgnowanie historii rodzinnej i ideologii tatarskiej (Warmińska 1999). O dziwo dziś w Polsce mało kto wie o istnieniu rodzimych muzułmanów i ich ponad trzystuletniej tradycji na Podlasiu. Niewielu, jedząc kaszę gryczaną, zdaje sobie sprawę, że zawdzięcza ją właśnie Tatarom, bo to oni ją do nas sprowadzili. W historycznych książkach, przy opisie lekkiej jazdy ułanów nie wspomina się, że ta formacja była wprowadzona do Europy przez Tatarów i została nazwana od tatarskiego tytułu arystokratycznego.

Tatarzy wyrośli na ziemi podlaskiej tak jak każdy inny jej mieszkaniec, są więc z nią tak samo powiązani. Skarbniczka wyznaniowej gminy muzułmańskiej w Bohonikach codziennie sprzedaje gazety i papierosy w sokólskim kiosku. Dwie siostry mieszkające kilka przecznic dalej wyjechały na jakiś czas do Anglii, bo praca w Białymstoku nie przynosiła zarobku. Chłopak jednej z nich studiuje w Gdańsku. Prawda, współlokatorzy na początku ze zdziwieniem patrzyli na jego modlitwy, ale szybko się przyzwyczaili. To i tak rzadkość, bo niewielu Tatarów odprawia codzienne modły, choć Koran nakazuje to pięciokrotnie podczas doby. Przewodnicząca gminy wyznaniowej w Białymstoku, dziś już na emeryturze, całe życie była nauczycielką. Normalni ludzie, dzielący polskie realia, przed wiekami zasymilowani. Stąd też rozpatrywanie Tatarów jako osobnej kultury nie jest całkowicie trafne.

Szczególnie, jeśli rozważa się kulturowe aspekty gospodarki i ekonomii, ponieważ nie różnią się oni ani strategiami działania, ani moralnością, ani doświadczeniem od innych mieszkańców regionu. Prawdopodobnie należy tu się skupić raczej na koncepcji społeczności lokalnej, która zawsze wyróżnia się odrębną charakterystyką. Niemniej jednak jako byt niewyizolowany od reszty społeczeństwa jest z nim nierozerwalnie sprzężona (Geertz 1961).

Jak to było z turystyką?

Islam wydaje się Polakom czymś niezwykle egzotycznym. Nie przez przypadek Szlak Tatarski nazywa się polskim lub podlaskim „orientem". Nie na darmo dwa zabytkowe meczety są uznane za jedne z największych atrakcji turystycznych regionu. Obie trasy turystyczne, Szlak Tatarski Duży i Mały, zostały oznaczone przez PTTK na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku. Istotną rolę w tworzeniu turystyki w tym rejonie odegrał sokólski dom kultury i Maciej Konopacki. Zaczęto organizować rajdy (do dziś istniejący „Orient–Rajd" uniwersyteckiego klubu turystycznego „Unikat" z Warszawy), większe imprezy tatarskie, jak na przykład „Orient sokólski – prawda i legenda", kolekcjonować zbiory do regionalnego muzeum tatarskiego w Sokółce. Należy jednak pamiętać, że w tamtych czasach podejmowano podobne przedsięwzięcia w myśl haseł rozwoju i szerzenia kultury, zdrowia i wiedzy pośród obywateli Polski Ludowej, wreszcie dla ocalenia zanikających śladów historii tatarskiej, nie zaś dla komercyjnych celów turystycznych.

Oczywiście również wcześniej pojawiały się wzmianki w pismach turystycznych i przewodnikach krajoznawczych

na temat osadnictwa tatarskiego, np. w *Wycieczkach po Litwie w promieniach od Wilna* Władysława Syrokomli z 1857 r., w „Przewodniku Ilustrowanym po Województwie Białostockim" z 1937 r. Mieczysława Orłowicza. Po wojnie Jan Reychman w „Turyście" z 1957 r. opisywał Bohoniki i Kruszyniany jako miejsca godne odwiedzenia (Miśkiewicz 2004). Trudno jednak mówić o rozwoju turystyki w wymienionym regionie w tamtych czasach. Najpewniej meczety były otwarte dla nielicznych zainteresowanych osób, najczęściej dzięki uprzejmości mieszkających przy nich imamów lub muezinów. Zapewne byli to przypadkowi gapie zainteresowani przebiegiem rytuałów świątecznych, może zaciekawieni członkowie rodzin sąsiadujących z Tatarami i rzecz jasna naukowcy, pewnie pierwsi zapaleni krajoznawcy amatorzy. Nie ma na ten temat danych. Z oprowadzania gości po meczecie słynął kruszynianin imam Aleksander Bajraszewski, a pierwsze wpisy turystów były już w II tomie *Kroniki kruszyniańskiej* założonej w 1957 r.

Obie wsie, a szczególnie Kruszyniany, powoli zaczęły pustoszeć. Proces przenoszenia się Tatarów do miast trwa zresztą już bardzo długo. J. Wiśniewski (1991) podaje, że w Bohonikach w 1848 r. było czterdziestu jeden Tatarów, w 1931 r. już dwudziestu sześciu, w 2005 r. natomiast jest już ich zaledwie trzynastu (nie liczę bowiem osób, które są zameldowane w Bohonikach, ale w rzeczywistości we wsi nie przebywają, oraz dwóch osób nieakceptujących swojego tatarskiego pochodzenia). Danych z okresu PRL-u nie ma. Największy jednak odpływ ludności nastąpił w latach 70. XX w. W Kruszynianach tymczasem pozostało tak mało Tatarów (dwie rodziny mieszkające na stałe), że gmina wyznaniowa została podporządkowana tej w Białymstoku.

W Bohonikach ostatni imam M. Olejkiewicz zmarł w 1968 r. i od tej pory meczetem zaczęła się opiekować rodzina

Bohdanowiczów. W Kruszynianach kilkanaście lat później powtórzyła się podobna sytuacja i klucze do meczetu powierzono rodzinie Popławskich. Wtedy też, jak wspomniałam, można mówić o rozpoczęciu się ruchu turystycznego w tych rejonach. Turyści przychodzili na piechotę z plecakami lub przybywali z wycieczkami zakładowymi. Niektórzy spali w stodołach lub w namiotach, prosząc jedynie o wodę, czasem może o chleb. Z rozrzewnieniem wspominają tych turystów przewodnicy PTTK, jako ludzi z sercem, odkrywców, którzy nie wymagali dużo, sami poszukiwali tak informacji, jak i miejsc, uwielbiali marsz. Opiekunowie meczetów nie mogli też nigdy poświęcać dużo czasu przybyszom. Piecza nad kluczami była i jest do dziś funkcją wykonywaną społecznie dla dobra wspólnoty. Oczywiste było, że zajmujący się rolnictwem mieszkańcy wsi nie mieli zbyt wielu chwil na oprowadzanie gości, opowiadanie o kilkusetletnim dziedzictwie. Z tego powodu czasem nie można było wejść do meczetu. W stałym programie wycieczek znajdowało się odwiedzanie świątyni i mizaru – cmentarza muzułmańskiego (w Polsce są trzy czynne mizary w Bohonikach, Kruszynianach i Warszawie). Nie przewidywano we wsiach żadnych dodatkowych atrakcji, a wiedza historyczna i religijna opiekunów meczetów opierała się głównie na wiedzy potocznej, wyniesionej z domów. Należy pamiętać, że w latach PRL-u nie było możliwości nauczania religii w szkołach, stąd jeśli dzieci nie uzyskały umiejętności modlenia się i czytania po arabsku w domu, nie miały szans się tego nauczyć gdzie indziej; podobnie było z wiedzą dotyczącą islamu.

W XXI w. obie wsie dokonały znaczących zmian w dziedzinie turystyki. Po pierwsze zmienił się zarząd gminy wyznaniowej w Bohonikach, została wybrana nowa opiekunka meczetu, Eugenia Radkiewicz. W Kruszynianach pojawili się Dżaneta

Bogdanowicz, Adam Iliasiewicz (w sezonie jako wolontariusz oprowadza gości po meczecie) oraz Stanisław Ziomkowski (nie posiada tatarskich korzeni, jest właścicielem „Dworku pod lipą" – hotelu w Kruszynianach). Po drugie transformacja Polski wymogła oczywiste zmiany gospodarcze, zmuszające do rezygnacji z rolnictwa na rzecz innego zajęcia. Turystyka w Podlaskiem nie jest najpopularniejszym sposobem zarobkowania, ale możliwości drzemiące w obu wsiach nie pozostały niezauważone. Tymczasem władze samorządowe, organizacje turystyczne i biura podróży zaczęły czynić kroki w kierunku tworzenia „produktu turystycznego", budowania zaplecza i atrakcji turystycznych oraz promocji regionu jako miejsca przeznaczonego dla podróżnych. Wreszcie powstały nowe media, które stały się skutecznym przekaźnikiem informacji oraz środkiem do budowania opinii i wizerunku wsi tatarskich, a także samej społeczności.

Co ważne, zmienili się również sami turyści, mają inne oczekiwania, inne wzorce podróży, inne wyobrażenia i doświadczenia jako turyści, jako użytkownicy nowoczesnych mediów i jako klienci. Różnią się bardzo od tych z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Mimo to należy pamiętać, że turyści pojawiali się w obu wsiach od czasów, kiedy mieszkańcy powojennego pokolenia sięgają pamięcią, wrysowali się w krajobraz wsi, zanim powstała jeszcze koncepcja tworzenia dla nich atrakcji, czy pomysł zachęcania ludzi do odwiedzenia tego miejsca.

Te wszystkie czynniki wpłynęły na bardzo ciekawe z punktu widzenia nauki o kulturze zjawiska związane z reorganizacją turystyki w obu wsiach. W tym tekście skupię się wyłącznie na Bohonikach. Turystyka jest tam organizowana przez miejscowych mieszkańców – osoby, które do tej pory nie miały do czynienia z tą branżą. Oprócz tego jest to prężna gmina wyznaniowa licząca około 600 wiernych, co w wyraźnym stopniu odbija się na charakterze turystyki.

Turysta u Tatarów – interakcje, negocjacje i konfrontacje

Pokrótce naszkicuję zdarzenia, które były w Bohonikach podczas wizyty turystów. Do wsi wjeżdża się wąską krętą drogą. Jest to zwykła podlaska ulicówka, niewyróżniająca się niczym poza meczetem. Stąd też goście bezbłędnie trafiają na miejsce. Zazwyczaj parkują wóz przed świątynią. Ludzie nieco skonfundowani próbują znaleźć osobę, która mogłaby otworzyć budynek. Eugenia Radkiewicz jest zawsze „na posterunku" i wychodzi do przybyszy ze swojego domu, który stoi naprzeciwko meczetu. Potem zaprasza do środka, prosi o uiszczenie datku w puszce ofiarnej, czasem zakłada *hidżab*, wprowadza gości do sali dla mężczyzn. Zaczyna się „program" – około piętnastominutowa wypowiedź pani Eugenii, dotycząca historii osadnictwa tatarskiego na tych ziemiach i podstaw islamu. Opiekunka meczetu dodaje kilka aktualności z życia wspólnoty, a na końcu odpowiada na pytania. Następnie kieruje ludzi na mizar, dokąd już idą sami. Niektórzy z turystów decydują się na skosztowanie kołdunów albo nocleg. Tak wygląda zazwyczaj standardowa wizyta w Bohonikach.

Charakter takiego wydarzenia jest tworzony wspólnie przez gospodarzy i turystów. A dzieje się to poprzez interakcję i negocjację kulturową, która zachodzi pomiędzy nimi. Należy zdać sobie sprawę z tego, że mamy do czynienia z krótkotrwałymi, przelotnymi spotkaniami gospodarzy z turystami. Przy czym nie spotykają się tu dwie „modelowe" grupy socjologiczne, ale indywidualni ludzie, z całym swym bagażem doświadczeń, charakterów, kultury i wiedzy. To powoduje, że spotkania w meczecie są w rzeczywistości niezwykle prywatne. W ciągu krótkiej interakcji muszą się porozumieć. Jest to moment, w którym tak naprawdę ścierają się kultury. Jak już wspomniałam,

w wypadku Tatarów ta różnica nie jest w gruncie rzeczy ogromna. Niemniej jednak turyści muszą się skonfrontować z obcym sobie wyznaniem i lokalnością. Dla niektórych z nich interakcja w meczecie to często jedyna forma przekazywania wiedzy o zasadach islamu, dziedzictwie i obecnym życiu społeczności tatarskiej. Dotyka się tu niezwykle ważnych elementów tożsamości samej opiekunki meczetu, a jednocześnie kreuje się wizję Tatarów i islamu w oczach osób niezwiązanych z tematem. Co więcej, w Bohonikach charakterystyczne jest to, że obie strony wypracowują tę wizję wspólnie. Podobnie forma przemówienia w meczecie również jest dziełem obu stron.

Jak wspomniałam, opiekunka meczetu dysponuje jedynie wiedzą potoczną na temat swoich korzeni i religii. Ta świadomość jest niezwykle silna, szczególnie u dwóch pierwszych powojennych pokoleń tatarskich, stąd też mieszkańcy wsi ostrożnie się wypowiadają o islamie. Boją się przeinaczenia, czy „powiedzenia czegoś nie tak". Wypowiedź w meczecie stała się więc wyzwaniem dla opiekunki. Ale rozwiązanie było niezwykle błyskotliwe – pani Eugenia przeczytała wiszącą w meczecie od przeszło dwudziestu lat kartkę informacyjną, zredagowaną zapewne przez Macieja Konopackiego. Informacje z niej ubrała w swoje słowa, przywołała kilka własnych, bądź zasłyszanych od turystów żartów (np. pomysł konkursu z podchwytliwym pytaniem dotyczącym archanioła Gabriela, aby sprawdzić czy goście uważnie słuchali). To wszystko zostaje doprawione niepowtarzalną charyzmą i stylem bycia pani Eugenii.

Tak powstał fundament programu przedstawianego w meczecie, wywołujący zresztą entuzjazm wśród zwiedzających. Podobnie było z odpowiedziami na pytania, które zazwyczaj się powtarzają i wynikają z powszechnie znanych stereotypów na temat muzułmanów. Zazwyczaj padają pytania o sytuację kobiet w islamie, dżihad, zakaz picia alkoholu i spożywania

wieprzowiny, wielożeństwo i mieszane małżeństwa katolicko-muzułmańskie, o główne święta oraz obrzędy rodzinne i religijne. Na te pytania trzeba było sformułować odpowiedzi, przy czym nie jest to wcale rzecz oczywista, bo do tej pory albo nikt takimi kwestiami się nie interesował, nikt nie zadawał takich pytań albo były to kwestie tak głęboko zakorzenione kulturze, że stały się oczywiste i niezauważalne. Z kwestii interesujących turystów, tak naprawdę jedynie mieszane małżeństwa i sprawy organizacyjne gminy wyznaniowej są przedmiotem dyskusji samych Tatarów. Tak jak poprzednio, odpowiedzi zostały skomponowane z zasobów wiedzy gospodyni, książek wydawanych przez Stowarzyszenie Studentów Muzułmańskich, których fragmenty turyści wyszukiwali i podsuwali pani Eugenii, z informacji czy powiedzonek przytoczonych przez turystów. Zatem wszystkie możliwe wpływy lokalne i ponadlokalne (działalność inteligencji, publicystów, wiedza turystów) zlały się, aby stworzyć nową formę, nową jakość – przekaz pewnej wiedzy o kulturze tatarskiej, którego do tej pory jeszcze nie było.

Pani Eugenia odpowiada zazwyczaj na pytanie dotyczące statusu kobiet w społeczności tatarskiej i islamie (notatka z dnia 23 lipca 2004 r.) w ten sposób:

„Islam zakłada, że rodzina, jako najmniejsza komórka w społeczeństwie, powinna mieć swojego kierownika, aby spełniał misję. Żona powinna słuchać męża. We wszystkich kwestiach zgodnych z zasadami islamu, aby on w bogobojności mógł sterować rodziną (część zapożyczona z książki). *Ale nie podniecajcie się panowie, bo tą misję u nas pełnią panie* (część autorstwa pani Eugenii). *Chłop potęgą jest i basta, lecz kieruje nim niewiasta"*(część zasłyszana od turystów).

Ta wypowiedź nie jest niczym innym, jak tylko efektem tworzenia nowych jakości, nowych znaczeń, nowego sposobu narracji, a więc nowej części kultury. Została ona stworzona

na potrzeby zwiedzających i dzięki dialogowi z turystami. Wypowiedź dotycząca głębokich zagadnień tożsamościowych i religijnych została skomponowana przez obie strony interakcji. Ten komunikat, tworzący pewną wizję kobiety tatarskiej, pozostaje w przestrzeni turystycznej meczetu, ale również wyjeżdża na zewnątrz w głowach turystów. Zapisuje się więc w kulturze lokalnej i ponadlokalnej.

W antropologii takie zjawisko nazywa się negocjacją znaczeń i polega na tym, że dwie strony, komunikując się wymieniają ze sobą rozmaite znaczenia (symbole, światopogląd, klasyfikację świata, wiedzę potoczną, doświadczenie) i pod wpływem obopólnego oddziaływania na siebie i interpretacji wytwarzają nowe znaczenia, które potem przyjmują do swojej kultury. Taka negocjacja nie musi wcale przebiegać jedynie w relacji między ludźmi, może się również odbywać np. pomiędzy człowiekiem a przestrzenią. Kiedy turyści wchodzą do meczetu czy na mizar, stykają się z nieznanymi sobie symbolami i zachowaniami sakralnymi. Trzeba się symbolicznie zmierzyć z półksiężycem i gwiazdą, zdjęciami Medyny, *mihrabem*i *mimbarem,* wiszącymi na ścianach *muhirami* (kilimy lub obrazy z ozdobnymi wersetami z Koranu), pismem arabskim, orientowaniem świątyni i nagrobków w kierunku Mekki, dywanami, na których się siada, zwyczajem zdjęcia butów itd. Sakralność miejsca powoduje z jednej strony użycie znanych z własnej kultury wzorców zachowania w świątyni, a więc szczególnej formy zachowania w budynku, okazywania szacunku, zniżenia głosu itp. Powoduje ona także pewną konsternację, co do tego jak się zachowywać, lawinę pytań o znaczenia tej przestrzeni i jej symboli, aż w końcu tworzenia własnych interpretacji i sposobów percepcji. Przestrzeń ponadto przekazuje pewne emocje, które turyści określają jako „klimat", „aura", „atmosfera" i to też wynika z interakcji między fizycznością przestrzeni i tym, co się w niej dzieje. W turystyce przecież ten emocjonalny ładunek

jest niezwykle ważny, bo na jego podstawie często się ocenia zwiedzane miejsce. W wypadku wsi tatarskich korzystniej pod tym względem wypadają zanurzone w lesie Kruszyniany, z większą liczbą starych budynków. Turyści i sami Tatarzy oceniają miejsce jako bardziej „klimatyczne".

Istnieje jeszcze inny, niezwykle istotny aspekt przestrzenny, mianowicie organizacja przestrzeni w kulturze, sposób w jaki ją zabudowujemy, w jaki się po niej poruszamy, jak definiujemy punkty charakterystyczne, jak wartościujemy miejsca. Nowoczesna turystyka nauczyła większość turystów poruszania się za pomocą znaków, szyldów, szlaków, adresów. Wydawałoby się, że we wsi, gdzie jest tylko jedna ulica, nie sposób się zgubić, a jednak przyjezdni robią to nagminnie. Są zagubieni, kiedy pozbawieni informacji na bramie meczetu, muszą wejść na cudze podwórko i do cudzego domu w poszukiwaniu opiekunki. A przecież we wsi to zupełnie normalne zachowanie, każdy wchodzi do każdego bez żadnego zakłopotania, tak jest to przyjęte. Turysta może czuć się osamotniony zajeżdżając pod zamknięty meczet. Nie wie, że jego obecność została już zauważona, widać go przez okna okolicznych domów. Na wsiach przecież często po samym odgłosie silnika samochodu wiadomo, kto i w jakim celu przejechał. Często turyści mylą czynny mizar za wsią ze starszym, ogrodzonym, znajdującym się po środku wsi, na którym nie ma już żadnego widocznego nagrobka, jest tylko opatrzona odpowiednim opisem tablica. Turyści najwyraźniej nie rozpoznają charakterystycznych punktów, czy mają inne wyobrażenie o odległościach, przez które mieszkańcy wsi opisali im drogę. Dlatego też do programu spotkań w meczecie weszła wzmianka o tym, aby nie poprzestawać na pierwszym cmentarzu i wyjść poza wieś. Podobne przykłady można by mnożyć. Oczywiście odrobina turystycznej zaradności natychmiast rozwiązuje wszelkie wątpliwości dotyczące poruszania się po wsi. Uwidacznia się tu pewna konfrontacja innych stra-

tegii odczytywania przestrzeni i poruszania się po niej. To, co jest oczywiste i naturalne dla mieszkańców wsi (przecież wszyscy wiedzą, gdzie mieszkają Radeccy i jak trafić do nich na kołduny), jest nowością i czyni turystów nieporadnymi. Na tym też polega wspomniana już konfrontacja kultur.

Ekonomia i gościnność

Kolejnym wątkiem wartym rozpatrzenia jest kwestia ekonomiczna. Oczywiście główne założenie przyjmowania turystów w Bohonikach stanowi zysk. Jednocześnie wkraczamy w ten sposób w niuanse kultury, bo każda transakcja jest obwarowana swoim moralnym uzasadnieniem (np. celem, na który zbiera się pieniądze) albo wplątana jest w relacje społeczne między obiema stronami; ponadto świadczona praca wiąże się z pewnym prestiżem i rolą społeczną, które buduje się na fundamencie własnych zasad i wartości.

Nie inaczej rzecz się ma w Bohonikach. Przejawia się to na przykład przez ustalanie cen, zarówno za wejście do meczetu, jak i za oferowane potrawy. Mimo że gmina wyznaniowa wydała wytyczne dotyczące obowiązujących opłat, opiekunka uznała je za wysokie i na podstawie własnych kalkulacji stworzyła cennik – 10 złoty od grupy w samochodzie, 30 złoty od grupy w autokarze. Ale jest to raczej niepisane założenie tego, co stanowi moralnie uzasadnioną, „sprawiedliwą" kwotą za usługę, a ta sytuuje się pomiędzy „za dużo" (5 złoty od osoby) i „za mało" (np. za żenujące uznane zostało wrzucenie przez turystę do puszki ofiarnej 50 groszy). W zależności od sytuacji można ceny negocjować, konkretne sytuacje uprawniają do zmian ceny – dla przykładu jeśli wycieczce dzieci zabrakło nawet większości kwoty, nie zostaną odprawieni z kwitkiem.

Byłoby to niemoralne. Moralność jest istotna przy zbieraniu opłat w obiekcie sakralnym, który przede wszystkim ma być otwarty dla wszystkich jako dom Boga, stąd ceny nie mogą stanowić zapory.

Istnieje jeszcze jedna racja moralna, która usprawiedliwia proceder zbierania opłat. Pieniądze, podobnie jak praca opiekuna, są darowane na rzecz gminy wyznaniowej. Pamiętać trzeba, że w meczecie jeszcze do niedawna była przyjęta zasada ofiary. Obecnie sugeruje się jedynie wysokość, w jakiej dobrze byłoby ją złożyć. Ale pieniądze, służące dobru wspólnoty lub dobru kultury (przecież meczet figuruje w rejestrze zabytków) przestają krążyć w obiegu komercyjnym, w którym zarabia się dla zysku. W tym przypadku służą one wyższym celom, bardziej szlachetnym. To zmienia podejście do opłaty zarówno turystów, jak i gospodarzy.

A co z pieniędzmi zarabianymi dla czystego zysku? Nocleg kosztował w 2005 r. 15 złotych. Jest to oczywiście cena bardzo niska jak na standardy branży turystycznej. Jednak kołduny u innej gospodyni kosztują dokładnie tyle samo co nocleg, a to już drogo jak na tego typu potrawę. Obie gospodynie jednak różniły doświadczenia życiowe – jedna mieszkała, pracowała i wydawała pieniądze jedynie w okolicach Sokółki, druga pracowała w Niemczech, gdzie zarobki i ceny są dużo wyższe. Każda z nich miała więc odmienne pojęcie o wartości pieniądza. A pojęcie to tworzone jest właśnie poprzez lokalne i społeczne oznaczanie tego, co jest drogie, a co nie oraz poprzez własne doświadczenie i potrzeby. Jak widać ceny ustala się w odniesieniu do własnego pojęcia wartości pieniądza, indywidualnie przez każdego gospodarza, a nie wedle standardów branży turystycznej czy gastronomicznej. Wreszcie ważna jest sprawa relacji z gośćmi – ci bardziej spoufaleni mogą liczyć na mniejsze stawki lub nawet na bezpłatny pobyt.

W tym miejscu przechodzimy do bardzo ważnej kulturowej koncepcji, niezwykle silnej w Bohonikach i, jak można się spodziewać, na całym Podlasiu, a mianowicie do kategorii gościnności. Turysta jest gościem – jako takiego się go traktuje i podejmuje. Na czym polega tradycyjna polska gościnność, jest powszechnie znane. Dość nadmienić, że gościowi wychodzi się na powitanie i odprowadza się go na podwórze, aby pożegnać, częstuje się przynajmniej herbatą, a czasem posiłkiem czy wódką. Należy zabawiać go rozmową, usiąść z nim przy stole w kuchni itp. Tak właśnie traktuje się tu turystów, wedle wzorów wynikających z gościnności. I oczekuje się od nich, że będą umieli tę gościnę przyjąć tak jak zazwyczaj czynią to goście – z szacunkiem, z chęcią podzielenia się własnymi historiami z życia, dania czegoś z siebie. I rzeczywiście w większości wypadków tak się właśnie dzieje, szczególnie jeśli ktoś zostaje w gospodarstwie na nocleg. Po turystach zostają na miejscu opowieści i wspomnienia ich pobytu, zupełnie jak po gościu. Tego typu przyjęcie turysty ma swe głębokie kulturowe korzenie.

Jeśli jednak wzorce udzielania gościny i bycia gościem są rozbieżne, może to prowadzić do konfliktu. Turyści stosujący swoje miary, wynikające z doświadczeń z turystyką komercyjną, traktujący bohonicką turystykę jak zwykłą usługę, zimno wykalkulowaną, zorientowaną na zysk i komercyjny sukces, walczącą o klienta i dbającą o jego wygody i zadowolenie – tacy turyści mogą obrazić gościnność gospodarzy. I taki przypadek zdarzył się, kiedy jeden z turystów przywiózł swoich znajomych, aby obejrzeli meczet, a sam nie wszedł do środka mimo zaproszeń, bo „już to widział". Odmówił więc gościny, co stanowi poważny afront i sprawia, że nie powinien już niczego więcej oczekiwać. Kiedy po ukończeniu programu chciał zadać pytania dotyczące Tatarów, spotkał się ze stanowczą odmową. Sytuacja zrobiła się napięta. Konfrontacja tych dwóch koncepcji, będąca zarzewiem

konfliktu, nie wynikała ze złej woli którejkolwiek ze stron, ale różnicy wyznawanych wartości i innych znaczeń przypisywanych konkretnym zachowaniom oraz innej wizji tego, w jaki sposób przyjmuje się gościa – turystę.

W Bohonikach, można to śmiało stwierdzić, przyjmuje się turystę z całą „kulturową intymnością" regionu. Nie tylko gości się go tutaj i traktuje niezwykle indywidualnie, ale również pozwala mu się brać czynny udział w tworzeniu charakteru i formy samej turystyki. Dlaczego ten przykład jest ważny? Ukazuje on pewne mechanizmy płynności i łatwości, w jaki kultura umożliwia człowiekowi tworzenie nowych jakości. Ta bohonicka historia jest jeszcze jednym przyczynkiem do badań nad antropologią zmiany, narracji, komunikacji ludzkiej, ukazuje sposoby wpływania kultura na nasze strategie działania i organizowania się. Pokazuje, w jaki sposób adaptuje się zjawiska zewnętrzne do lokalności i odwrotnie.

Co może z tego przykładu istotnego wynikać dla przedsiębiorców? Wydaje mi się, że zrozumienie zjawiska interakcji i negocjacji znaczeń jest dość ważnym argumentem dla każdego, kto chce współpracować ze społecznościami odmiennymi od swojej. Świadomość różnic kulturowych i ich wpływu na struktury organizacji w biznesie może zapobiec wielu konfliktom lub zagubieniu którejś ze stron. Tu wyraźnie widzieliśmy takie przykłady wzięte z własnego podwórka – turyści błąkający się po nieznanej sobie przestrzeni, czy nieporozumienie pomiędzy koncepcjami gościnności i usługi. Spojrzenie z etnograficznego punktu widzenia na kwestię ekonomii może zwyczajnie pomóc nie tylko w rozwiązywaniu problemów, ale również w budowaniu zupełnie niepowtarzalnych jakości przez negocjowanie ich i ucieczkę od standaryzacji czy narzucania jednej koncepcji strategii działania, czy organizowania. Może wskazać

na niezwykle istotną wrażliwość, którą trzeba sobie wyrobić w zetknięciu z inną kulturą, jeśli się chce, aby nasz kontakt z nią, również ten w interesach, był skuteczny i owocny.

Przedstawiliśmy tu studium przypadku, które po pierwsze pozwala zaobserwować pewne praktyki, jakie zauważa się w turystyce, a po drugie podkreśla wagę aktywnej działalności mniejszości etnicznych w regionie, którą należy hołubić i wspierać. Samorodna turystyka w Bohonikach ma oczywiście wiele niedoskonałości, nie jest oszałamiająco dochodowa, nie ma spójnego planu rozwoju, ale przejawia niezwykle oryginalne i wartościowe cechy, które są potencjałem nie tylko w tej wsi, ale i w całym regionie. Ma swój niepowtarzalny charakter, zachowuje głębokie tradycje współżycia kultur i religii oraz podtrzymuje takie atuty kulturowe, jak wspomniana gościnność, ale również niepowtarzalna estetyka, barwność miejscowego języka i stylu bycia. Emanuje z niej autentyczność, wartość najbardziej pożądana przez współczesnego turystę. To wszystko stanowi o olbrzymim potencjale Podlasia, niepowtarzalnym w skali kraju.

BIBLIOGRAFIA

Bloch M., Parry J., *Pieniądze i moralność wymiany* [w:] *Badania Kultury. Elementy teorii antropologicznej*, red. M. Kępny, E. Nowicka, s. 219–249, Warszawa 2003.

Borawski P. Dubiński A., *Tatarzy polscy. Dzieje, obrzędy, legendy, tradycje*, 1986.

Geertz C., *Studies in Peasant Life: Community and Society*, „Biennial Review of Anthropology", vol.2, s. 1–41, 1961.

Hamphrey C., *An Anthropological View of Barter in Russia*, [w:] *The Vanishing Rouble*, red. P. Seabright, s. 71–89, Camb2000.

Konopacki M., *Pod białostockimi minaretami,* Białystok 1972.

Konopacki M., *Białostocki Szlak Tatarski*, Warszawa 1977.

Kopytoff I., *Kulturowa biografia rzeczy – utowarowienie jako proces*, [w:] *Badania Kultury. Elementy teorii antropologicznej*, red. M. Kępny, E. Nowicka, s. 249 – 274, Warszawa 2003.

Kryczyński S., *Tatarzy litewscy – próba monografii historyczno-etnograficznej*, „Rocznik Tatarski", t. 3, Warszawa 1938.

Miśkiewicz A., *Tatarzy polscy 1918–1939*, Warszawa 1990.

Miśkiewicz A., Tatarska legenda. Tatarzy polscy 1945–1990, Białystok 1993.

Miśkiewicz A., O przewodnikach krajoznawczych miejsc związanych z osadnictwem tatarskim, „Pamięć i Trwanie", nr 6, s. 11–20, 2004.

Owczarska M., *Turysta i Tatar. Antropologiczna interpretacja przestrzeni turystycznej w podlaskiej wsi tatarskiej* (praca magisterska dostępna w archiwach IEiAK UW, 2006).

Warmińska K., *Tatarzy polscy. Tożsamość religijna i etniczna*, Kraków 1999.

Wiśniewski J., *Osadnictwo tatarskie w sokólskiem i na północnym Podlasiu*, „Rocznik Białostocki", t. XVI, s. 325–405, Białystok 1991.

GŁOSY

W

DYSKUSJI

MARCIN BARTNIKOWSKI

Przeciw konwencjom raz jeszcze

Tytuł niniejszego szkicu jest parafrazą tytułu książki – znakomitej antologii tekstów o nowoczesnym teatrze[1] pod redakcją Marty Fik[2]. We wstępie do owej książki autorka *Autorytecie wróć* tak pisała o roli przełamywania konwencji w sztuce:

„Zaakceptowanie przez artystę obowiązującej go współcześnie konwencji nie musi przesądzać o wartości jego dzieła, podobnie jak fakt, iż ją odrzucił. Mimo to właśnie tym, którzy buntują się przeciw obowiązującym konwencjom, sztuka zawdzięcza swe dynamiczne przemiany. Jest truizmem stwierdzenie, że jej historia to historia walk z konwencjami, przezwyciężania ich, utwierdzania nowych, znów po pewnym czasie przezwyciężonych itd., itd."[3]

I tak w teatrze po „młodych zdolnych" przychodzą „młodsi zdolniejsi", a po jednej konwencji następuje kolejna.

---

[1] Antologia Mary Fik dotyczy kończ XIX w. oraz XX w. aż po lata dziewięćdziesiąte. Jednak teksty te nadal stanowią aktualny opis teatralnego uniwersum, stąd nazywam je nowoczesnymi.
[2] *Przeciw konwencjom*, red. M. Fik, Warszawa 1994.
[3] Ibidem, s. 5.

Należy na wstępie zaznaczyć, że przez konwencję rozumiem całokształt postaw, zasad i oczekiwań w stosunku do teatru, obowiązujących w danym momencie. Podobne rozumienie charakteryzowało twórców tekstów zebranych przez Martę Fik. Po tej lekturze nie mogę oprzeć się urodzie owej gorzkiej i, jak zauważyła Fik, oczywistej refleksji: po każdej rewolucji następuje skostnienie. Artyści związani z Wielką Reformą, piewcy Teatru Ubogiego, czy twórcy Antropologii Teatru, mimo dzielących ich lat walczyli (i walczą nadal) wciąż z tymi samymi problemami.

A jednym z podstawowych problemów w sztuce jest uznanie utartego przez praktykę (nie zawsze najlepszą; za to najwygodniejszą) schematu za wzorzec obowiązujący i niepodważalny. Dotyczy to przede wszystkim zagadnień artystycznych, ale także – w dużym stopniu – organizacyjnych. Ten drugi problem jest szczególnie istotny w Polsce i we wszystkich krajach, które odziedziczyły nawyki po państwie opiekuńczym.

Życie teatralne w krajach „bloku wschodniego" jest zorganizowane inaczej niż w państwach zachodnioeuropejskich. W Europie Zachodniej dużą rolę odgrywa sektor teatrów prywatnych, podczas gdy we Wschodniej życie teatralne centralizuje się w teatrach instytucjonalnych, dotowanych przez państwo, miasta bądź województwa. Teatry prywatne są wciąż uważane za amatorskie bądź offowe. Oba te wyobrażenia przeradzają się w niebezpieczne stereotypy: teatr amatorski, jako tworzony przez pasjonatów nie jest zawodem, a zatem nie musi przynosić zysków i nie wymaga od jego twórców żadnych umiejętności, a teatr offowy to wyklęta zabawa dla zbuntowanych nastolatków – oba te rodzaje teatrów są gatunku podrzędnego. Oczywiście żaden z przytoczonych stereotypów nie jest prawdziwy, ale istotniejszy jest fakt, iż nie każdy prywatny teatr musi być offowy czy amatorski. Dopiero od niedawna działania gwiazd, znanych z dużego ekranu, czy scen miejskich (Krystyna Janda, Emilian

Kamiński – oboje organizują własne teatry) zaczynają powoli przełamywać stereotypy. Okazuje się jednak, że konwencja obowiązująca przez kilkadziesiąt lat w państwowych teatrach długo jeszcze będzie modelować polskie życie teatralne.

Nie jest moim celem udowadnianie, że model życia teatralnego, obowiązujący w Polsce ma jedynie złe strony. Przeciwnie – daje na pewnych polach olbrzymie możliwości. Wielkie zespoły teatralne dzięki stałej dotacji mogą sobie pozwolić na realizację kosztownych, z rozmachem pomyślanych widowisk. Poza tym dyrektorzy teatrów mogą planować strategie na wiele lat, dzięki tej małej stabilizacji. Sprzyja to oczywiście twórcom wybitnym, rozwijającym swój kunszt w wieloletnim procesie – wystarczy wymienić tu nazwiska Jerzego Grzegorzewskiego czy Krystiana Lupy – stanowi jednak problem w wypadku twórców przeciętnych i słabych, którzy nie czując żadnej presji, rozpływają się w wygodnym dobrobycie, zapominając o jakości. Zostajemy wtedy zalani wytworami pustej konwencji udającej sztukę absolutną. Skoro wszyscy tak robią, to staje się to powszechną zasadą dającą prawo do bezmyślności i wtórności. Przed niebezpieczeństwem stojącym za owym „Teatrem martwym" przestrzegał Peter Brook w *Pustej przestrzeni*:

„Nie ma sensu twierdzić, że określenia, jakich używamy w stosunku do sztuk klasycznych – »harmonijne«, »poetyckie«, »wzniosłe«, »majestatyczne«, »heroiczne«, »romantyczne« – mają jakieś znaczenie absolutne. Są one odbiciem poglądów estetycznych poszczególnych epok; każda współczesna próba inscenizacji zgodnej z tymi kanonami – to najpewniejsza droga do martwego teatru – teatru obdarzonego powszechnym szacunkiem, nadającym mu pozór żywej prawdy"[4].

---

[4] P. Brook, *Pusta przestrzeń,* Warszawa 1977.

Niestety martwy teatr ma się całkiem dobrze. Warto zastanowić się, czy pieniędzy, które ów teatr tuczą, nie da się przeznaczyć na inne działania. Nie proponuję tu modelu rewolucyjnego. Nagle i schematycznie wprowadzone zmiany mogą mieć jedynie opłakane skutki. Tymczasem ewolucyjny model zmian wydaje się całkiem realny. Mam tu na myśli próbę powolnego przekształcania wybranych repertuarowych teatrów instytucjonalnych w sceny o charakterze repertuarowo-impresaryjnym, gdzie część spektakli realizowanych byłaby na podstawie konkursów, do których przystępowałyby profesjonalne grupy niezależne. W ten sposób nie trzeba by utrzymywać wszędzie (zaznaczam – nie sądzę, by mogło to dotyczyć wszystkich teatrów, a jedynie wybranych placówek) wielkich zespołów – istnieje przecież możliwość gościnnego angażowania aktorów z zespołów współpracujących. Ponadto grupy niezależne najczęściej obywają się bez rozbudowanych zespołów krawców, pracowników technicznych itp., co niesie ze sobą oszczędność kosztów. Jest to bardzo istotne, gdyż często klapa artystyczna bywa tłumaczona walką o widza w imię dobrego bytu finansowego teatru. To oczywiście absurd – komercyjne nie znaczy z założenia tandetne, a finanse można reperować na różne sposoby, nie zapominając oczywiście o widzach.

W Polsce spotykamy typ teatru impresaryjnego, był nim chociażby kierowany przez wiele lat przez Pawła Konica Teatr Mały w Warszawie, słusznie uchodzący za jedną z najlepszych scen teatralnych w mieście – mimo braku własnego zespołu. Repertuar Małego opierał się jednak wyłącznie na propozycjach teatrów przyjezdnych. Kiedy piszę o scenie repertuarowo–impresaryjnej, mam na myśli nieco inny model teatru, charakterystyczny dla krajów zachodnich. Najbardziej znany na świecie tego typu teatr to nowojorska La Mama, gdzie Ellen Steward promuje zarówno lokalne produkcje, jak i spektakle przyjezdne z całego świata.

Przyjrzyjmy się jednak bliższemu i bardziej skromnemu (choć jak na polskie warunki imponującemu) przykładowi takiej struktury. Jest nim FTS! Centrum Teatru Lalek w Stuttgarcie. FITS! Zatrudnia niewielu pracowników – wyłącznie obsługę administracyjną i techniczną. Dysponujący jedną sceną teatr współpracuje jednak z kilkoma niezależnymi zespołami profesjonalnymi, które przygotowują w Centrum premiery – częściowo przy pomocy finansowej FITS! Częściowo, dzięki zdobytym przez siebie funduszom. W ten sposób teatr ma spektakle w stałym repertuarze, a artyści zapewnioną pewną ciągłość prezentacji. Ponadto FITS!, podobnie jak La Mama, zaprasza do gościnnych występów najciekawsze spektakle z Niemiec i ze świata.

Oczywiście polskie zespoły niezależne mają, podobnie jak teatry niemieckie, możliwość zdobycia środków finansowych w otwartych konkursach dla organizacji pozarządowych. Sprawę jednak utrudnia im brak miejsc, w których mogłyby przygotowywać i prezentować spektakle.

Warto przywołać także, chyba najkorzystniejszy dla twórców niezależnych, model francuski. Dotyczy on już nie samej instytucji, a finansowania kultury. Otóż we Francji istnieją specjalne komisje oceniające prace poszczególnych grup teatralnych na poziomie lokalnym. Pozytywnie zaopiniowane grupy otrzymują roczny grant, którego wysokość zależy od oceny. Najwyżej ocenione zespoły przechodzą na trzyletnią jurysdykcję komisji centralnej w Paryżu, co oznacza, że otrzymują wsparcie na minimum trzy lata w obrębie korzystniejszej puli. Po upływie trzech lat te najlepsze zespoły nie muszą już ubiegać się o grant na poziomie lokalnym, gdyż mają od razu zapewnioną wizytę komisji centralnej. A zatem stabilizacja jest, ale trzeba się o nią starać co rok lub trzy lata i, żeby jej nie stracić, mieć realne efekty. Przy polskich realiach jest to model wręcz utopijny i nie wiem,

czy kiedykolwiek możliwy przy około sześćdziesięciu teatrach (dramatycznych i lalkowych) dotowanych przez państwo.

Ale mimo to teatr niezależny w Polsce istnieje i rozwija się. Co więcej za granicą często skuteczniej promuje Polskę niż przyciężkawy teatr instytucjonalny, który ze swoimi tonami dekoracji i tłumami na pokładzie, często nie jest w stanie opuścić portu. Oczywiście niezależne teatry muszą się pilnie ćwiczyć w alfabecie przedsiębiorczości, ale jest to nauka, z której wychodzi się z dużym hartem. Wiem coś na ten temat, bo zajmuję się teatrem niezależnym od kilku lat, pracując w teatrach Akcja dzrt i Kompania Doomsday. Wiem, jak dużo znaczy dobry PR, umiejętność rzetelnego wypełniania wniosków czy posługiwania się sprzętem teatralnym. Pewnie zgodnie z konwencją powinni robić to za mnie kierownik Biura Obsługi Widzów, księgowa i elektryk, póki co pozostaje to częścią mojego artystycznego losu, przy której chwile spędzone na scenie stają się czubkiem góry lodowej.

Myślę, że warto próbować jednak wspinać się na tę górę lodową, nie wierząc w bezpieczeństwo ciężkiego okrętu, bo nie znam skuteczniejszego sposobu, żeby po raz kolejny rozbić konwencje i bryłę lodu zamienić w pływający ogród, który opisuje Eugenio Barba:

„Jeżeli owe kamienne statki, starożytne i zadziwiająco piękne, ucieleśniają anachroniczny luksus, to konieczność przekraczania teatru przedstawiają właśnie pływające ogrody, domy, zbudowane na wątłych wyspach z wodorostów(…) Pływające wyspy nie są wymyślnym wyobrażeniem nawigacji – one rzeczywiście płyną w zamierzonym kierunku. Lecz ich kurs i położenie nie wydają się warte uwagi. Czasem wyobrażam sobie, że statki z kamienia osiadają na szczycie lodowca. Są bezpieczne, tym zaś, co się porusza, jest masywna bryła lodu pod wodą”[5].

---

[5] E. Barba, *Teatr. Samotność, rzemiosło, bunt*, Warszawa 2003, s.14.

AGNIESZKA TARASIUK

Placówka

Na wschodnim krańcu Puszczy Knyszyńskiej stoi oparty o ścianę lasu, duży drewniany budynek. Otacza go zarośnięty ogród, w krzakach można doszukać się zdziczałych bylin. Na tle tradycyjnej wiejskiej zabudowy wydaje się okazały. Duże kwadratowe okna są dziś w większości zabite deskami. Z blaszanego dachu sterczą trzy wyniosłe kominy, nieczynne od dziesięciu lat. Pokruszone betonowe schodki prowadzą do swojskiego oszklonego ganeczku, ale ciężar i proporcje bryły oraz symetryczne podziały okien świadczą, że i tu w pierwszej połowie XX wieku dotarł duch modernizmu. Budynek wybudowano w roku 1937 jako Dom Ludowy im. Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego.

Wieś nazywa się Sokole. To mała, polsko-białoruska, leśna osada, dwadzieścia parę kilometrów na wschód od Białegostoku. Nie więcej jak sto domów, nieczynne tory kolejowe, sklep. Kiedyś przebiegał tędy ważny trakt Zabłudów – Grodno, pozostały wspomnienia o żydowskiej karczmie, kuźni, dworze i majątku ziemskim. Do dziś przetrwało trochę starych drewnianych domów, tradycyjny układ wsi z piaszczystymi drogami, sztachetowe płoty i opuszczony Dom Ludowy.

To tu przez prawie siedemdziesiąt lat koncentrowało się życie społeczne wsi. Dzieci chodziły do szkoły, teatr dawał przedstawienia, przyjeżdżały gwiazdy ze stolicy i obwoźne kinematografy, były wesela, potańcówki, a potem dyskoteki – światła z lampek choinkowych, konsoleta z dykty. Wydawać by się mogło: codzienne uczestnictwo w najprostszym, swojskim wymiarze kultury. Biegnące w rytmie pór roku i prac polowych, sami dla siebie, niezależnie, z dala od reszty świata.

Trochę tak, ale nie całkiem… nie bardzo niezależnie, nie do końca sami dla siebie.

Przez to miejsce przebiegają najróżniejsze granice – między Polakami a Białorusinami, między warstwami społecznymi, między miastem a wsią, między tradycją a tym co kolejne epoki nazywały postępem. Pogranicze to miejsce wymiany i kontaktu z innymi, ale też pole bezwzględnej walki o wpływy. Wszystkie kolejne ideologie i propagandy zostawiły swoje ślady tak w ludzkiej pamięci, jak w składzikach Domu Ludowego – stosy papierów; kroniki, dokumenty.

Najbardziej szacownym eksponatem z lat trzydziestych XX wieku jest księga pamiątkowa budowy Domu Ludowego. Wymienieni są w niej wszyscy fundatorzy i darczyńcy. Nawet ci, którzy ofiarowali niewiele, np. trzy dni pracy niefachowej. Są nazwiska polskie, białoruskie, żydowskie i niemieckie. Są podziękowania dla hrabiów i dla bezrobotnych z pobliskiego miasteczka. Teatrzyk amatorski dawał na ten cel przedstawienia w całej okolicy. Ma się rozumieć po polsku, choć o ile mi wiadomo, w tamtych czasach w Sokolu po polsku mówiła jedynie nauczycielka „Mazurka", czyli przybyła z centralnej Polski.

Potem przyszły kolejne armie II wojny światowej. Pierwsza – sowiecka, nie przez wszystkich odbierana jako okupant.

Prowadzili we wsi sklep, przyjeżdżało kino. Pokazywali na przykład *Świat się śmieje* Grigorija Aleksandrowa, film z roku 1934. Dla polskich patriotów to sowiecka indoktrynacja, dla Białorusinów miło brzmiące swojskie melodie, a dla mnie, mimo świadomości celu tych pokazów, nieoczekiwane zaistnienie sztuki nowoczesnej wśród chłopów w puszczy…

Po wojnie najpierw powróciło to, co najważniejsze czyli szkoła. Potem nadbudowa: Koło Socjalistycznego Związku Młodzieży Wiejskiej, Klub Ruchu. Po dekadach realnego socjalizmu pozostała całkiem spora biblioteczka ideowa: biuletyny partyjne, scenariusze „wieczernic", instrukcje przeprowadzania czynów społecznych. Dziś mogą nas nawet trochę śmieszyć czy wzruszać swoją formą, ale stopień indoktrynacji, zakłamania, braku jakiegokolwiek marginesu na indywidualne myślenie jest przerażający.

Szkołę i świetlicę zlikwidowano w połowie lat dziewięćdziesiątych. Od tego czasu budynek stał pusty, ktoś wybił okna, piece się rozsypały, chłopcy pili wódkę i jeździli motorem po zrujnowanych klasach, a wiatr roznosił dyplomy z wizerunkiem czerwonego sztandaru i orłem bez korony.

I właśnie teraz przyszła moja kolej. Dom Ludowy ze swoją historią i swoimi bohaterami stał się inspiracją, a także miejscem moich działań. Na poły artystycznych, na poły społecznych. Przyjechałam tu wychowana w świecie sztuki współczesnej. Przejęta ideą, by sztuka nie była jedynie kwiatkiem do kożucha, a artysta nieszkodliwym dziwakiem; przejęta ideą sztuki, która daje wiedzę o świecie i bywa narzędziem inicjowania zmian. Przyjechałam z dużego miasta, szczerze zainteresowana tym miejscem, wiedząc, że pozycje marginalne, lokalne historie mają

dużą moc. Mieszkam w okolicy już dwanaście lat, coraz lepiej znam ludzi, dzisiejszych i tych których już nie ma. Coraz bliższy jest mi krajobraz drewnianych chałup, przybudówek krytych papą i bagienna nostalgia podmokłych lasów.

Moim celem jest, aby Dom Ludowy stał się twórczym ośrodkiem, w którym – myśląc kategoriami współczesnej kultury – pracowałoby się na rzecz takich miejsc jak Sokole. Na rzecz białostockiej prowincji, z jej wiejskim krajobrazem, przyrodą i historią. Nie chcę, aby moje działania były adresowanym do elit produktem na rynku sztuki, lecz by stały się katalizatorem wymiany myśli między centrum a prowincją. Chciałabym, choćby w minimalnym stopniu zainspirować dobrych architektów do tworzenia nowoczesnych projektów dostosowanych do tego krajobrazu. Chciałabym przekonać mieszkańców podlaskich wsi, żeby byli dumni ze swojego miejsca i czuli się za nie odpowiedzialni, za stare drewniane stodoły i za czystość źródełka na łące.

Mieszam ludzi i porządki – wiejskie dywaniki ze szmatek wieszam w galerii sztuki. Są okrągłe i bajecznie kolorowe, na białych ścianach galerii wyglądają jak mandale. Publiczność z wernisażu w mieście wiozę autobusem po wyboistej drodze do Sokola. W zrujnowanych salach organizuję kino, stary terkoczący projektor wyświetla *Świat się śmieje* albo *Konopielkę*. Widzów mnóstwo, bardzo różnych, a w dodatku rozgadanych; od historycznych komentarzy erudyty po głośne „ło, ło, źle kose klepie".

W dzień do Domu Ludowego przychodzi chmara dzieci. Chodzimy do lasu, dla zabawy, dla eksperymentu zakopujemy się w mchu. Przebieramy się w sukienki powyciągane z babcinych kufrów. Na głowach siadają nam oswojone jaskółki. Wiosną ktoś zniszczył ich gniazdo, znaleźliśmy łyse, ślepe „flaczki" na podłodze, dzieci same je wykarmiły i nauczyły latać. Krótko ostrzyżeni

młodzieńcy pomogli mi wywieźć gruz i potłuczone szkło, przy okazji nasmarowali na ścianie swastykę, napisali „white power", a za tydzień tańczyli w rytm żydowskich piosenek…

Nawet takie skromne działania wymagają pieniędzy, a planowany remont i przyszła działalność Domu Ludowego to już poważna inwestycja. Współpracuję z samorządem, szukam sponsorów, piszę projekty. Powstają kolejne sterty papierów, napisanych aktualną odmianą języka urzędowego: priorytety, implementacje, aktywizacje. Dostanę wsparcie finansowe tylko na takie działania, które są zgodne z celami strategicznymi grantodawcy.

Jednak jest też inna droga pozyskiwania wsparcia tak finansowego jak energetycznego: lokalni przedsiębiorcy, właściciele sklepu, baru, ludzie teraz lub kiedyś związani z miejscem. Dogadujemy się z dwóch powodów. Po pierwsze oni są ze mną na co dzień i rozumieją, co robię. Po drugie widzą w moich działaniach siłę napędową dla ich własnego rozwoju. Po prostu do Domu Ludowego przyjadą ludzie, którzy zostaną ich klientami, będą chcieli się wyspać i najeść. Już tego lata pojawiła się potrzeba utworzenia kwater agroturystycznych. Udało mi się znaleźć ludzi, którzy o przyszłości wsi myślą podobnie. Myślą o rozwoju zrównoważonym, o jakości, a nie ilości pomysłów, odbiorców, inwestycji.

Takie partnerstwa między przedsiębiorcami a środowiskami kulturotwórczymi mogą być niezwykle owocne także w znacznie większej skali niż moje Sokole. Domyślam się jednak, że czekają na nas różne pułapki. Trzeba nauczyć się rozmawiać i nazywać rzeczy po imieniu. Rozróżnić, co jest naszym wspólnym interesem, co dobroczynnością wynikającą ze społecznej odpowiedzialności biznesu, kiedy wspieramy się, bo mamy wspólną

ideę, a kiedy sprzedajemy sobie towary czy usługi. Mam niestety za sobą klika gorzkich doświadczeń, kiedy na przykład sponsor warsztatów artystycznych dla małych dzieci wparował w środku naszej pracy z dmuchaniem wielkich kolorowych balonów z logo swojej firmy. Dzieci robiły prace z surowców wtórnych, mówiliśmy o niedostatku i nadmiarze. Nikomu niepotrzebne balony były większe i bardziej kolorowe niż prace dzieci, nad wszystkim unosił się wielki ceratowy baner.

Trzeba więc nauczyć się rozmawiać, jasno formułować swoje potrzeby i plany. Może okazać się, że bardzo wiele nas łączy. Zarówno w interesach, jak i w sztuce trzeba mieć wrażliwość, by w porę zauważyć to, czego inni jeszcze nie widzą. Trzeba myśleć nieszablonowo i odważnie podejmować nowe wyzwania.

Na szczęście żyjemy w czasach gdy, mimo wszystko, nie istnieje jedyna słuszna droga. Wierzę, że w bólach, ale powstaje w Polsce społeczeństwo obywatelskie. Jego istotą jest stowarzyszanie się w imię wspólnych celów. Takim celem może być konkretna zmiana społeczna, czy ochrona wspólnego dziedzictwa. Bardzo ważne jest, by powstawały partnerstwa składające się z członków różnych środowisk: twórców, ludzi nauki, przedsiębiorców, działaczy samorządowych i trzeciego sektora. Trzeba tylko odnaleźć ludzi, do których mamy zaufanie, którymi kierują podobne idee. Partnerstwa zawierane przypadkowo, w wyniku chwilowej koniunktury czy mody, nie będą owocne. Zanim więc przystąpimy do działania, musimy się spotykać, wzajemnie poznawać, rozmawiać. Zaistniała dzięki temu realna potrzeba utworzenia otwartego dla wszystkich forum, giełdy idei i sposobów działania. Cieszę się bardzo, że uczestniczę w inicjatywie, która być może pozwoli takie forum utworzyć.

Kazimierowo 2007

KRZYSZTOF I MAŁGORZATA PASZKO

Na drodze do dobrej współpracy

Współpraca świata biznesu ze światem kultury kojarzy się przede wszystkim z typowym mecenatem. Przed oczami pojawiają nam się bogaci przemysłowcy, którzy hojną ręką wspierają biednych, lecz ambitnych artystów. Obraz taki lepiej chyba jednak pasuje do Francji czy Anglii połowy wieku XIX niż Polski początków XXI. W naszej rzeczywistości skojarzenia nie są już tak jednoznaczne. Oczywiście mamy w Polsce kilku znanych mecenasów kultury. Jako przykład można tu podać chociażby Andrzeja Walczaka, współwłaściciela firmy ATLAS, znanego ze swego zamiłowania do sztuki. Takich ludzi w naszym kraju nie ma jednak zbyt wielu. Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja w skali naszego regionu. Brak nam niewątpliwie zamożnych obywateli, którzy z rozmachem i efektownie wydawaliby swoje pieniądze na rzecz rozwoju kulturalnego. Oczywiście wśród znawców tematu przewija się kilka nazwisk, jednak poziom oferowanego wsparcia jest znacznie niższy od oczekiwań ewentualnych beneficjentów.

Dlaczego tak się dzieje? Czy nasza *business class* jest tak ograniczona, że nie widzi potrzeby wspierania środowisk artystycznych? A jeśli już zauważa, dlaczego w takim razie dozuje

przekazywane środki z wielką ostrożnością? Cała sytuacja jest niestety znacznie bardziej skomplikowana.

Warto zastanowić się w tym miejscu nad strukturą lokalnego biznesu, który był adresatem postulatu twórców kultury, hasłem wywoławczym Sympozjonu. Należy zauważyć, że tak naprawdę jest to kiełkujący w perspektywie zaledwie kilkunastu lat wolnego rynku mechanizm własnej działalności prywatnych przedsiębiorstw. Przede wszystkim musimy pamiętać, że współczesna przedsiębiorczość ma w naszym kraju zaledwie kilkanaście lat doświadczeń. Pomijając epizody rzemieślnicze z lat PRL-u, prawdziwy kapitalizm zagościł u nas ponownie dopiero w 1989 roku. To niestety bardzo krótki okres jak na stworzenie silnego sektora przedsiębiorczości, który byłby w stanie wspierać inne grupy społeczne. W przypadku województwa podlaskiego dochodzą do tego dodatkowo zaszłości historyczne oraz typowo rolniczy charakter regionu. To wszystko powoduje, że główną siłą rozwoju gospodarczego naszej części kraju jest sektor małych i średnich przedsiębiorstw. Z naciskiem na małych.

Może zamiast wzajemnie od siebie wymagać, środowiska okołobiznesowe i twórcy kultury powinni skupiać się na pomocy w ramach szeroko rozumianej działalności. Nie oznacza to całkowitej rezygnacji z budowania fundamentów pod dojrzały mecenat, ale paradoksalnie, ma się przyczynić do wytworzenia więzi pomiędzy tymi dwiema sferami działań ludzkich. Powinniśmy pamiętać, że kultura stanowi w dużej mierze o tożsamości Podlasia. Może warto zacząć od przykładu dobrych praktyk, od szukania wspólnych płaszczyzn działania, aby w długofalowej perspektywie osiągnąć cel, jakim jest wspieranie wartościowych przedsięwzięć kulturalnych.

Nie znaczy to jednak, że nic się w sprawie mecenatu kultury po stronie podlaskich przedsiębiorców nie dzieje. Na co dzień pojawiają się inicjatywy wspierające imprezy kulturalne, czy

też konkretnych twórców. Nie są to może kwoty olbrzymie, często pomoc przyjmuje charakter rzeczowy, niemniej jednak funkcjonuje. Znacznie łatwiej przy tym pozyskać takie wsparcie uznanym instytucjom kulturalnym, niż twórcom niszowym.

W czym wobec tego tkwi problem? Przede wszystkim w skali i natężeniu przekazywanego wsparcia. Problem ten można jednak dość skutecznie zniwelować dzięki dość szeroko dostępnym dziś inicjatywom pomocowym realizowanym ze środków Unii Europejskiej. W ramach licznych programów funkcjonuje naprawdę duża grupa instrumentów finansowych umożliwiających zrealizowanie nawet bardzo oryginalnych pomysłów artystycznych. Co więcej, o ile w przypadku projektów inwestycyjnych konkurencja w walce o dotacje jest znaczna, to w przypadku tzw. programów miękkich, pozwalających na sfinansowanie na przykład imprez artystycznych, często zdarza się, że wartość składanych wniosków jest niższa od wielkości dostępnych środków. I to jest w naszej opinii płaszczyzna, na której mogą z powodzeniem współpracować ze sobą światy kultury i biznesu. Łatwiej jednak przekonać potencjalnego sponsora do pokrycia czwartej części niezbędnych kosztów i pozyskać na resztę bezzwrotną dotację, niż szukać firm gotowych sfinansować całkowite koszty projektów. Dodatkowo wspólna praca nad pozyskaniem dotacji przekłada się często na wzmocnienie relacji międzyludzkich i przeniesienie współpracy z płaszczyzny czysto biznesowej na stosunki prywatne.

Takie inicjatywy bardzo dobrze wpisują się również w nurt partnerstwa publiczno-prywatnego. Wspólna praca nad konkretnymi projektami może być początkiem trwałej współpracy pomiędzy instytucjami kulturalnymi (reprezentującymi najczęściej sektor publiczny), prywatnymi przedsiębiorstwami, przedstawicielami samorządu oraz organizacjami pozarządowymi. Takie praktyki są według nas szansą na pogłębienie związków pomiędzy twórcami i odbiorcami kultury. Znacznie większe

emocje budzi bowiem praca twórcza nad wspólnym projektem, niż czysto finansowe wsparcie obcego przedsięwzięcia. Przekonanie obu stron do współpracy na warunkach partnerskich jest w tym momencie nie lada wyzwaniem. Jest to jednak element niezbędny, jeśli w perspektywie kilku lat chcemy mówić o realnej współpracy środowisk kultury i biznesu. Bez takich inicjatyw obie grupy będą żyć w swoich enklawach. I tak środowiska kultury będą patrzeć na przedsiębiorców jak na dojne krowy, a świat biznesu na artystów jak na kolejnych naciągaczy, zainteresowanych wyłącznie ich pieniędzmi.

Należy w tym miejscu zauważyć, iż pewne kroki w kierunku zmiany relacji na bardziej partnerskie zostały już poczynione. We wrześniu 2006 r. z inicjatywy dyrektora Opery i Filharmonii Podlaskiej, Marcina Nałęcz-Niesiołowskiego rozpoczęto prace nad wspólnym przedsięwzięciem zakładającym połączenie wymiany gospodarczej z wymianą kulturalną. W ramach planowanych działań przewidziano organizację misji gospodarczej przedsiębiorców podlaskich na Białorusi i Ukrainie. Międzynarodowa współpraca gospodarcza została wzmocniona poprzez element kulturalny, mianowicie organizację koncertów Opery i Filharmonii Podlaskiej, które miały uświetnić zakończenie negocjacji handlowych. Pomysł ten nawiązywał do podobnej inicjatywy przeprowadzonej pod auspicjami urzędu marszałkowskiego w czerwcu 2006 roku w Brukseli[1]. Wtedy to w ramach szerokiej promocji województwa podlaskiego połączono kwestie gospodarcze i kulturalne. Pomysł dyrektora Niesiołowskiego zyskał aprobatę ze strony innych organizacji. Do prac nad projektem włączyła się Izba Przemysłowo-Handlowa w Białymstoku, jako reprezentant przedsiębiorców oraz Centrum

[1] Szczegóły dotyczące misji gospodarczej można znaleźć na stronie internetowej Centrum Promocji Podlasia pod adresem: http://www.cpp.bialystok.pl/misja_opis.htm/.

Promocji Podlasia, jako przedstawiciel organizacji pozarządowych. Ponadto uzyskano deklarację ze strony władz samorządowych, iż w sytuacji, gdy na realizację projektu uda się pozyskać dotację, zagwarantują one środki na prefinansowanie projektu. Ze względu na międzynarodowy charakter przedsięwzięcia zdecydowano się aplikować o środki do Programu Sąsiedztwa Polska-Białoruś-Ukraina INTERREG IIIA/TACIS CBC[2].

Na etapie przygotowywania projektu sprawnie podzielono zadania i przystąpiono do realizacji poszczególnych działań. Izba Przemysłowo-Handlowa wzięła na siebie ciężar pozyskania partnerów po stronie białoruskiej, Centrum Promocji Podlasia odpowiadało za merytoryczne przygotowanie aplikacji, zaś Filharmonia koordynowała całość działań. W efekcie w bardzo krótkim czasie przygotowano wartościową aplikację, która w październiku 2006 r. została złożona do Wspólnego Sekretariatu Technicznego.

Powyższe doświadczenia stanowią przykład dobrych praktyk i pokazują, że rzeczywista współpraca pomiędzy przedstawicielami środowisk kultury i biznesu jest możliwa. W ten sposób w tych niełatwych dla kultury i biznesu czasach, istnieje szansa na umacnianie relacji. Kluczem do nawiązania stałego i efektywnego wsparcia jest w głównej mierze znalezienie wspólnej płaszczyzny, na której obie strony widzą dla siebie wymierne korzyści. Jest to również skuteczna forma budowania fundamentów pod dojrzały mecenat. Wszak takie inicjatywy pozwalają na wzajemne poznanie się obu stron, co powinno owocować zaufaniem i przyjaźnią. Przecież przyjaciołom pomocy się nie odmawia. Finansowej również.

---

[2] Szczegółowe zasady udzielania dotacji z programu INTERREG można znaleźć na stronie internetowej Wspólnego Sekretariatu Technicznego pod adresem http://www.pbu.wwpwp.gov.pl/.

ELŻBIETA GRZYBEK

Ludzie kultury i przedsiębiorcy – perspektywy współpracy

Czy sztuka może być w jakikolwiek sposób związana z biznesem? Lub odwrotnie – czy biznes może zawierać się w sztuce, czy może tworzyć albo jeszcze lepiej – współtworzyć sztukę?

Począwszy od starożytności, przez średniowiecze i barok, aż do współczesności – te dwie dziedziny życia zawsze się uzupełniały. Od zarania dziejów istnieli tacy ludzie, którzy pragnęli coś po sobie zostawić i mieli na to środki i tacy, którzy tworzyli to, co inni pragnęli mieć. Wydaje się, że powiedzenie „mieć i być" można połączyć ze słowami biznes i sztuka.

Warto pamiętać o instytucji mecenatu, chwalebnie wpisującej się w ten fragment rzeczywistości społecznej, gdzie zazwyczaj skupiają się ludzkie działania zmierzające do zbudowania kreacji artystycznej. Mecenasami sztuki byli starożytni władcy, antyczni patrycjusze, a także kościół, królowie, arystokraci, bogate mieszczaństwo, a więc możni tego świata, aż wreszcie, w dobie panowania systemów demokracji parlamentarnej, państwo, które realizuje zadania w zakresie mecenatu poprzez wyspecjalizowane organy i instytucje. Ten rodzaj współpracy pomiędzy dysponentami finansów a artystami sprawdził się w ciągu wieków i przyniósł oczywiste

korzyści całym społeczeństwom, warunkując ich cywilizacyjny i kulturalny rozwój.

Również obecnie spotykają się dwa światy – biznesu i sztuki, czyli z jednej strony grupy posiadającej nie tylko środki finansowe, ale także świadomość, że rzeczywistość byłaby nie do zniesienia bez obrazów, książek, filmów i muzyki, tak jak ogród bez kwiatów, perfumy bez zapachu i potrawa bez smaku; a z drugiej strony artystów. Spotkanie to doprowadza do powstania nowych jakości w życiu społecznym.

Autorskie pomysły artystów mogą przeistoczyć się w dzieło sztuki, dzięki życzliwej pomocy współczesnych mecenasów-przedsiębiorców oraz instytucji państwowych i samorządowych.

Dobrze jest, gdy biznes i sztuka podążają tą samą drogą. Przedsiębiorcy, współpracując z artystami doprowadzają do tego, że na rynku sztuki pojawiają się przedmioty spełniające standardy estetyczne, przedmioty, które podobają się ewentualnym nabywcom. Z tego stanu rzeczy korzyści czerpią biznesmeni, artyści i odbiorcy sztuki. Jeżeli w biznesie zabraknie twórczego myślenia, wówczas staje się on martwy, skoncentrowany wyłącznie na pomnażaniu swoich dóbr materialnych. Samo w sobie nie jest to czymś złym, ale pozostawione w takiej formie prowadzi do skarlenia, patrzenia na życie jedynie przez pryzmat pieniądza i posiadania. Z drugiej strony biznes to siła napędowa sztuki, przez swój stan posiadania pozwala rozwijać się artystom oraz poszczególnym gałęziom sztuki. Stwarza warunki artystom, aby mogli tworzyć swoje dzieła z myślą o hipotetycznych nabywcach. Dzięki tej współpracy oraz mecenatowi, społeczeństwo otrzymuje dar w postaci dzieła sztuki, dzięki któremu poszerza własne horyzonty wiedzy, kształtuje wyobraźnię, wrażliwość, rozwija się intelektualnie, inspiruje do aktywności twórczej, odnajduje swoją tożsamość.

Już wiele lat prowadzę galerię sztuki i mam wyrobiony pogląd na swoich klientów. Znam ich, lubię i szanuję, i wiem, że zależymy od siebie. Oni przychodzą do mojej galerii w określonych celach. Ja, w dużym stopniu zależę od nich i dzięki nabywcom mogę wykonywać pracę, którą lubię. Galeria „e-la montparnasse", którą prowadzę od wielu lat w Białymstoku, ma duży zakres działalności. Oprócz dziedziny handlowej, prowadzone są w niej działania czysto artystyczne, edukacyjne oraz popularyzujące poezję, muzykę, sztukę słowa mówionego, kulturę życia codziennego. Organizujemy wystawy indywidualne i zbiorowe artystów z naszego regionu, kraju i z państw ościennych, a także różnego rodzaju formy happeningu i performance'u.

Ważnym wydarzeniem, podsumowującym międzynarodowe spotkanie artystów z Polski, Białorusi, Litwy i Ukrainy, była wystawa poplenerowa „Czarci pazur i dzwon", uświetniona recitalem piosenki Ludmiły Wiszenko. Przez promocję twórców z krajów Europy środkowowschodniej w Białymstoku, staram się wskazać, jak duże znaczenie odgrywa nasze miasto w dialogu różnych kultur, grup etnicznych, państw i tradycji. Współpraca między artystami z wielu krajów ma szczególnie istotne znaczenie właśnie dla takich miast jak Białystok, stanowiących punkt styku sąsiadujących ze sobą kultur. Międzynarodowy charakter przedsięwzięcia wzmacnia więc znaczenie zarówno regionu, miasta, jak również samej Galerii, dla której impreza na taką skalę była dodatkową nobilitacją. Warto też wspomnieć o muzycznej oprawie wernisażu – recitalu Ludmiły Wiszenko, która wspólnie ze mną reprezentowała województwo podlaskie podczas Dni Brandenburgii w Poczdamie.

Galeria, na wzór dawnych salonów opinio– i kulturotwórczych przyciąga wielu ludzi. Są wśród nich klienci, którzy pragną zakupić jakiś piękny przedmiot dla siebie lub na prezent

komuś bliskiemu, często po uprzednim skorzystaniu z fachowej porady. Niektórzy z nich z czasem stają się stałymi bywalcami, poszukującymi – oprócz oryginalnych obiektów sztuki – także szczególnego klimatu, możliwości podyskutowania na temat twórczości artystycznej, podzielenia się własnymi odczuciami i refleksjami. Chętnie przyjmują zaproszenia na organizowane w galerii wieczory i wernisaże. Piękną praktyką staje się nawiązanie relacji przyjacielskich z częścią osób odwiedzających galerię. To właśnie pozwala wierzyć w sens prowadzenia takiej działalności w Białymstoku, a ci ludzie dają mi siłę i przekonanie, że to co robię, jest ważne i potrzebne. Przykładem może tu być Antoni Stolarski, wybitny białostocki biznesmen, który jest jednocześnie naszym częstym gościem, przyjacielem Galerii i entuzjastą sztuki. A zaczęło się od studium portretu, które postanowiłam otworzyć w galerii, gdzie przy kawie i herbacie, pozując do portretu, można mile spędzić czas kontemplując sztukę i rozmawiając o niej. Przyjaciółką galerii jest również Małgorzata Dutkowska, prowadząca własną działalność gospodarczą, przy tym żywo interesująca się sztuką, zwłaszcza dawną i jest obdarzona pasją kolekcjonerską. Od kilku lat wspiera galerię i rozumie jej potrzeby, będąc przekonana o potrzebie istnienia i rozwoju takiego miejsca ze względu na jego kulturotwórczą rolę.

W naszym mieście nie ma wielu miejsc, w których artyści mogą swe prace zaprezentować i sprzedać. Galerie, które już istnieją, to zazwyczaj małe pomieszczenia o charakterze kameralnym, odgrywające rolę małych sklepików. Są oczywiście muzea, ale spełniają one zupełnie inną funkcję, czysto ekspozycyjną. Artysta ma niewielkie możliwości, aby zaprezentować w pełni swą twórczość, trudno też jest sprawić, aby stanowiła ona źródło zarobkowania i artystycznej satysfakcji, z zachowaniem przywileju uprawiania wolnego zawodu. Białystok to miasto, które

posiada liczne grono twórców różnych dziedzin. Akademia Teatralna, znana w Polsce uczelnia, skupia wokół siebie aktorów. Nieopodal Białegostoku, w Supraślu od wielu lat istnieje Liceum Sztuk Plastycznych, które rokrocznie opuszcza wielu absolwentów, z często spełnionymi ambicjami studiowania na wyższych uczelniach artystycznych. Część z nich jednak osiada na długie lata w Białymstoku, gdzie ma niewielkie możliwości otrzymania pracy w swoim zawodzie. W tym momencie pojawia się odwieczny problem: Co robić dalej? Jaką obrać drogę?

Jest to dylemat powszechny, dotyczący wielu młodych ludzi. W naszym mieście nie ma mecenatu nad młodymi artystami. Dlatego wielu z nich emigruje za granicę w poszukiwaniu uznania dla ich talentu oraz twórczych możliwości. Będąc za granicą, widziałam wielokrotnie młodych Polaków, którzy z konieczności opuścili kraj w poszukiwaniu miejsca dla siebie. Niewątpliwie są to trudne wybory, niemające nic wspólnego z ich wcześniejszymi oczekiwaniami.

Tę pustkę w programie kulturalno-artystycznym Białegostoku staram się zapełniać, między innymi prowadząc niestrudzenie galerię „e-la montparnasse". Jednak nie wszystkie planowane przeze mnie działania mogę zrealizować własnymi siłami, jeśli chodzi o organizację i finanse. Nie mogę też zaprosić do współpracy wszystkich zaprzyjaźnionych ze mną artystów. Dlatego cały czas poszukuję odpowiedzi na pytanie, jak rozwiązać ten problem, jakie działania należałoby podjąć, aby umożliwić tutejszym artystom twórczy rozwój w rodzinnym mieście i jednocześnie wzbogacając tym propozycję artystyczną stolicy regionu północno-wschodniej Polski.

Odpowiedzi na to pytanie poszukuję od lat. Otwierając autorską galerię, skierowałam zaproszenie do przedstawicieli świata nauki i biznesu, którzy stali się moimi klientami, gośćmi, później znajomymi, a także sympatykami tego magicznego

miejsca. W jakimś stopniu oni również współtworzą klimat galerii i wyznaczają kierunki jej rozwoju. Po wielu wspólnych rozmowach i rozważaniach narodziła się w nas myśl utworzenia centrum sztuki użytkowej, które byłoby otwarte na wszystkich chcących zaprezentować swoją twórczość i prezentowałoby wszelkie formy sztuki użytkowej. Będzie więc to okazja do spotkania w jednym przedsięwzięciu dekoratorów wnętrz, wizażystów, projektantów mody i osób reprezentujących szerokie grono twórców. Mogłoby to być miejsce spotkań artystów z odbiorcami sztuki, wernisaży, pokazów i warsztatów. Jeśli powstanie, stanowić będzie najlepszą odpowiedź na pytanie o możliwość połączenia dwóch światów: sztuki i biznesu.

ANDRZEJ KALINOWSKI

Czy przedsiębiorca jest twórcą, czy tylko odbiorcą?

Wielu przedsiębiorców chce mieć poczucie, że współtworzą, że są w środku kręgu, w którym tworzy artysta. Mają potrzebę współodczuwania. Chcą, żeby artysta dzielił się z nimi radością tworzenia na każdym etapie powstawania dzieła. Chcą czuć, że ich pieniądze są bodźcem do stworzenia dzieła, o którym mogą powiedzieć innym: w tym jest też mój skromny wkład, beze mnie mogłoby nie być dzieła. Te obustronne korzyści uczą poczucia smaku, poczucia wdzięczności, że jesteśmy w stanie na siebie oddziaływać i siebie rozwijać.

Książka jest jednym z elementów, gdzie możemy połączyć kulturę, rozwój i promocję poszczególnych obszarów. W województwie podlaskim jest za mało książek pokazujących bogactwo naszego regionu, promujących konkretne miejsca, przyciągających zwiedzających.

Pieniądze przedsiębiorców umożliwiają pokazanie piękna małych ojczyzn. Jednym bez drugich jest niewygodnie. Dopiero razem, wydawca i biznesmen, angażując się w powstanie książki czują, że nie są sobie obcy, bo tworzą coś ważnego.

Twórcy wspólnie z przedsiębiorcami i politykami są w stanie oddziaływać na ludzi, którym dostarczą wiedzę o Podlasiu.

Mogą pokazać wiele atrakcji i barw naszego regionu. Jestem pewien, że konsekwencja i patrzenie w przyszłość zbudują, wydobędą na powierzchnię obraz regionu, który będzie ważny i atrakcyjny dla szerszego kręgu ludzi niż dotychczas. Dzięki pieniądzom przedsiębiorca może propagować kulturę, dawać ją innym, przyczyniać się do tego, że więcej osób wejdzie w jej krąg. Najczęstszą formą takiej postawy jest dofinansowywanie książek, imprez kulturalnych, spotkań z artystami. Biznesmeni kupują dzieła artystów, dzięki czemu ci, którzy tworzą, są doceniani i mogą dalej rozwijać swoją twórczość.

W czasie, gdy mecenat państwa nie jest w stanie rozwijać wielu dziedzin kultury, dotacje od prywatnych przedsiębiorców pozwalają rozkwitać ciekawym prywatnym i lokalnym pomysłom, dzięki czemu często można ocalić skrawki kultury, która zanika, na przykład rękodzieło ludowe.

Marzy mi się, że prezydent Białegostoku i marszałek województwa podlaskiego ogłoszą konkursy na pomysł na imprezę kulturalną, która będzie wizytówką naszego miasta i regionu. Biznesmeni dadzą swój wkład i razem spotkamy się na pięknej ogólnopolskiej albo i międzynarodowej imprezie na przykład w Białymstoku. Później środki masowego przekazu z całego kraju będą ją relacjonowały. Taka promocja przydałaby się bardzo. Czy to tylko nieziszczalna mrzonka?

Marzy mi się także, żeby ludzie kultury, biznesmeni i politycy pokazywali innym, że warto uczestniczyć w kulturze. Na przykład niech to będzie akcja pod tytułem „Przyłapani na czytaniu". Ciągle za mało osób, które cieszą się szacunkiem i prestiżem, bądź mających pozycję społeczną, odwiedza księgarnie. To powinno być nobilitacją. Ich osobistą autopromocją. Warto kilka razy w miesiącu poza obowiązkami służbowymi odwiedzić miejsce, w którym „dzieje się kultura". Być z ludźmi, którzy w tym uczestniczą.

Takie nawyki pozwalają zauważać, gdzie kulturę można wzmacniać. Tak wrażliwych ludzi, dysponujących pieniędzmi jest stanowczo za mało. Jak to ożywić? Myślę, że duża mogłaby być w tym rola środków masowego przekazu, które – poza społecznie ważnymi pytaniami – mogłyby ***chcieć*** pytać ludzi będących na świeczniku, co ostatnio czytali, co oglądali, co sądzą o danym wydarzeniu kulturalnym.

Powinno się też ***proponować*** przedsiębiorcom udział w kulturze, powinno się dzielić z nimi dzieło sztuki. Żeby czuli, że nie są wykorzystywani – daj, bo jest mi to potrzebne do stworzenia dzieła – ale i obdarowywani, na przykład częścią wydanych książek, pulą biletów na spektakl, dziełem sztuki od artysty, którego wspomogli. Jest mnóstwo sposobów, żeby dawać wzajemnie satysfakcję, którą przekłada się na potrzebę ciągłego kontaktu z twórcami, z kulturą.

Są kluby, puby, kawiarnie, które promują młodych ludzi – organizują im występy, promocje płyt, robią wystawy malarskie i fotograficzne. Młodzi spełniają się, a przy okazji promują miejsca, w których poza piwem spotykamy kulturę. Wszyscy są zadowoleni. Wierzę w to, że takich spotkań biznesu i kultury będzie coraz więcej. W tak zorganizowanym świecie kultura daje oddech, a bez tego trudno tworzyć także w innych dziedzinach. „Kultura jest jak powietrze", im go więcej, tym większa chęć do działania na różnych polach naszej aktywności. „Kultura jest formą bytowania człowieka na ziemi" i od tego nie ma odwrotu. Wierzę, że w coraz szerszych kręgach społeczeństwa ta świadomość będzie zdobywała stałe miejsce. Gdzie brakuje kultury, tam jesteśmy mniej wrażliwi na otaczający nas świat, tam są mniejsze szanse na dialog i znalezienie nowych dróg rozwoju człowieka.

Spotykajmy się, rozmawiajmy, a jest szansa, że niepostrzeżenie kultura nas otoczy i przygarnie.

GRZEGORZ KUCZYŃSKI

Temat, w którym niezbędny okazuje się marketing

Z wielką radością i zaciekawieniem uczestniczyłem w spotkaniu pod hasłem *Ludzie kultury i przedsiębiorcy – perspektywy współpracy*. Moja radość wiązała się z tym, że wreszcie marketing, którego jestem reprezentantem, został włączony do tego typu dysputy.

Biorąc udział w dyskusji o roli przedsiębiorczości w kulturze, czy też o tym, co kultura może zrobić dla biznesu, nie mogę oprzeć się pokusie refleksji na jeszcze jeden, być może kluczowy, temat, dotyczący roli kultury i biznesu, a także jednostek samorządowych, w promocji naszego miasta i regionu. Myślę, że na tej płaszczyźnie współpraca, o którą zabiegamy, może dojrzeć najszybciej, a co więcej, będzie ona najbardziej widoczna, jeśli zostaną spełnione odpowiednie warunki. I to jest właśnie temat, w którym niezbędny okazuje się profesjonalny marketing.

„Wyróżnij się lub zgiń" – powiedział wiele lat temu Jack Trout. Stwierdzenie to ma zastosowanie zarówno w przypadku przedsiębiorstw, jak i miast, regionów czy krajów. Niemożliwe jest jednak skorelowanie wszystkich ujęć wyróżniających dane

miejsce. Gospodarka, nauka, rozrywka, wypoczynek i turystyka, kultura... Powinniśmy wybrać, na co postawić. W moim przekonaniu elementem, który może wyróżnić nasze miasto i region jest kultura. Mamy możliwości, ludzi z pasją, talentem oraz energią, bardzo zaangażowanych w to, co robią. Inne miasta mogą szczycić się listą budynków godnych podziwiania i zwiedzania. A my róbmy imprezy, spotkania, które będą ściągać tłumy. Przecież mało miast ma do zaoferowania atrakcje, które rzeczywiście tworzą atmosferę życia kulturalnego.

Białostockie Dni Sztuki Współczesnej od lat wpisały się w kulturalny rozkład zajęć. I choć nie każde wydarzenie musi być tak duże, każde należy starannie przygotować pod względem promocyjnym. Wiem, że artyści oraz organizatorzy często dostają dreszczy już na samą myśl o rozmowach z ludźmi „od komercji", za jakich biorą specjalistów od reklamy i marketingu. Uważam jednak, że istnieje ogromna potrzeba przygotowania profesjonalnej, olśniewającej strategii, potem kreacji, doboru odpowiednich narzędzi do wypromowania interesującego nas wydarzenia. Niezbędne jest długofalowe planowanie takich działań.

Mieliśmy w Białymstoku bardzo wiele ciekawych wydarzeń, często międzynarodowych, o których wiedziała dosłownie garstka zainteresowanych osób. Bywało, że jeśli komuś dopisało szczęście, to natknął się na ciekawą sztukę uliczną, wystawianą w ramach jakiegoś festiwalu. Celowo piszę „jakiegoś", bo konia z rzędem temu, kto mógłby powiedzieć, co się akurat dzieje na ulicach naszego miasta. Tę sytuację szybko należy zmienić. Muszą to zrozumieć sami organizatorzy, jak również władze miasta (o biznesie celowo w tym miejscu nie piszę, bo zajmę się tym później).

Czas już sprawić, aby Dni Sztuki Współczesnej stały się „małą Maltą", ale oryginalną w swoim przekazie i wyraźnie

rozpoznawalną w Polsce, a nawet poza nią. Może warto postawić na teatr, z Dniami Sztuki na pierwszym miejscu i wieloma innym festiwalami teatralnymi, mniejszymi i większymi? Dlaczego Białystok nie miałby się stać Miastem Teatru? Myślę, że jesteśmy na dobrej drodze, brak nam tylko zdecydowania i konkretnego działania w sferze komunikacji.

Chciałbym przytoczyć w tym miejscu dwa wydarzenia, które pokazują, w jaki sposób należy myśleć o promowaniu swojego miasta przez kulturę. Celowo chcę podać przykłady, które bardzo dużo dzieli, jeśli chodzi o charakter samego wydarzenia, a łączy sposób myślenia o wydarzeniu w sensie komunikacyjnym. Pierwszy z nich to poznańska „Malta". Trudno by znaleźć kogoś, kto choć odrobinę jest zainteresowany kulturą i kto nie wiedziałby, co to za festiwal. Oczywiście, odezwą się głosy w rodzaju „o jakich pieniądzach my rozmawiamy". Nie chcę dyskutować o budżecie, ale o samym podejściu do wydarzenia. Swoją drogą uważam, że przy dobrym pomyśle, pieniądze zawsze się znajdą, mniejsze lub większe. Zwracam uwagę również na promocję „Malty" w samym Poznaniu. Mieszkańcy są dumni, że mają u siebie taki festiwal, znany w całej Europie. Pomysł, konsekwencja, pomoc ze strony miasta, a także wykorzystywanie profesjonalnych narzędzi marketingowych zadecydowały o sukcesie tego kulturalnego projektu.

Drugim przykładem jest Open'er Festival w Gdyni. Zachęcam gorąco do zobaczenia na własne oczy jak miasto może wykorzystać swoją szansę podczas takiego wydarzenia. Pięć lat temu chyba mało kto przypuszczał, że Opene'er będzie jednym z najważniejszych festiwali muzycznych w Europie. Tak na scenie, jak i na widowni festiwal gromadzi ludzi z całego świata. Wpisał się na stałe w kalendarz kulturalny Gdyni. Tak gigantyczne wydarzenie mogło odbyć się oczywiście tylko pod

warunkiem ścisłej współpracy z władzami miasta. I brawa za to. Miasto potrafiło znakomicie to wykorzystać. Podczas kilku dni trwania festiwalu Gdynia prowadziła swoją kampanię reklamową, chociażby hasło nawiązujące wprost do nazwy festiwalu: „Gdynia – Open City". Władze miasta bardzo szybko spostrzegły, że właśnie muzyka może być tym, co ściągnie turystów i sprawi, że słowo „Gdynia" popłynie daleko w świat. W tym roku Open'er nie był jedynym wydarzeniem tego typu w Gdyni, a wielokrotne powtórzenie dobrego projektu nadaje mu sens komunikacyjny i otwiera szansę na trwały efekt. Również w tym przypadku mamy wszystkie składowe niezbędne do sukcesu: pomysł, entuzjazm, przychylność władz miasta, profesjonalny marketing i sponsor, który również odniósł ogromny sukces komercyjny.

Pozwolę sobie zadać w tym miejscu pytanie retoryczne: czy sukces tych wydarzeń byłby tak duży, gdyby nie komunikacja wewnętrzna? To właśnie jej zadaniem jest rozwijanie relacji między mieszkańcami i promowanie wiedzy ważnej w wewnętrznym rozwoju miasta. Rynek wewnętrzny – mieszkańcy, lokalni przedsiębiorcy, są pierwszymi odbiorcami komunikatu reklamowego. Mieszkańcy są ambasadorami promocji miasta. Wybitni obywatele, artyści, kibice, organizatorzy akcji społecznych... Doceniając cały obszar rynku wewnętrznego, możemy uzyskać wielokrotnie większy efekt działań promocyjnych miasta. Mieszkańcy powinni być pierwszymi odbiorcami, którzy zetkną się z informacją o wydarzeniu, aby z przekonaniem mogli je potem przekazywać dalej. Należy dbać o to, aby cała komunikacja była spójna i czytelna. Publikacje, strony internetowe, druki, wystąpienia, muszą komunikować się w podobny sposób.

Wizerunek miejsca, w którym żyjemy, tworzą nasze działania, ale ich zaniechanie również tworzy wizerunek, niestety nie zawsze taki, jakiego byśmy oczekiwali. Marzy mi się, abyśmy

również w naszym mieście mogli chwalić się sztuką, wydarzeniami, festiwalami, z których mieszkańcy będą najzwyczajniej w świecie dumni i będą w nich chętnie uczestniczyć. Oczywiście, żeby móc uczestniczyć, trzeba o tych wydarzeniach wiedzieć, a na tym polu mamy mnóstwo pracy do zrobienia. Oczywiście nie każde wydarzenie musi być zakrojone na ogromną skalę, ale nawet te mniejsze odgrywają rolę w promocji miasta czy regionu, dlatego ważne jest profesjonalne przygotowanie, aby wszystkie mniejsze całości składały się na większą całość i były identycznie ukierunkowane (przykład Gdyni).

Mógłby mnie teraz ktoś zapytać: „Dobrze, a gdzie związki tych działań kulturalnych z biznesem? Gdzie sponsorzy takich wydarzeń?". Odpowiadam na to pytaniem do organizatorów wszelkich wydarzeń kulturalnych: „A jaki interes ma przedsiębiorca w tym, by być sponsorem?". To pytanie jest zupełnie na miejscu. W jakim celu dana firma ma wspierać wydarzenie, o którym nikt nie będzie wiedział? Wydarzenie, które nie będzie komunikowane, a w informacjach prasowych czy radiowych sponsora nie podadzą, bo to kryptoreklama.

W swojej pracy zawodowej, reprezentując wiele firm, stykam się niejednokrotnie z tym problemem i wiem, że jednak można dużo na tym polu zdziałać. Organizatorzy wszelkich wydarzeń kulturalnych uważają, że biznes powinien wpierać kulturę dla zasady. Nie mogę się z tym zgodzić. Uważam, że biznes z wielką chęcią wspierałby kulturę, pod warunkiem, że korzyść miałyby obie strony. Tak to już jest na tym świecie. Czas docenić zalety współpracy z firmami komercyjnymi w ramach działań PR.

Zachęcam, aby biznesu i kultury nie traktować jako dwóch przeciwstawnych sfer życia, ale jako siły współzależne. Należy zrozumieć, że w wielu przypadkach wspieranie kultury jest decyzją strategiczną przedsiębiorstwa. Firmy dobrze zarządzane

w tej dziedzinie doskonale potrafią wykorzystać zaangażowanie w przedsięwzięcia artystyczne i zrobić z tego swój atut. Nieodzownym warunkiem jest jednak spójna, dobrze opracowana komunikacja, zarówno firmy jak i samego wydarzenia. Jeżeli brak jednego bądź drugiego czynnika, trudno będzie zdobyć się na sukces.

Jako miasto i region mamy możliwości, potrzeba „tylko" innego podejścia i współpracy środowisk twórców kultury, przedsiębiorców, samorządów… i specjalistów od marketingu. Niezmiernie istotną rolę odgrywa zdolność do przyjęcia długofalowej strategii działań bez względu na sympatie polityczne czy zmieniające się kadencje. Ważne jest także, abyśmy wszyscy dążyli do tego samego celu. Do czego gorąco zachęcam.

ROMAN FIEDOROWICZ

*Zarabianie jest sztuką, praca jest sztuką, a dobry biznes jest najlepszą sztuką**

How does it feel
To be on your own
With on direction home
Like a complete unknown
Like a rolling stone?
Bob Dylan

Współczesna kultura pełnymi garściami czerpie inspirację z czasów „burzy i naporu" – młodzieżowej rebelii lat 60. Był to czas powstałego w narkotycznych oparach przekonania o nieograniczonej wolności ludzi – dzieci kwiatów, burzenia autorytetów, wolnej miłości, kontrkulturowej rebelii wobec reżimu strachu, przeciętności i głupoty.

Poczucie wspólnoty budowano wokół muzyki, początkowo folkowej, później rockowej. Nieprzypadkowo na motto wybrałem piosenkę Boba Dylana. Był on, obok Jean Baez, bardem młodzieżowej rewolty, a jej ideologami bitnicy, grupa niezależnych pisarzy (m.in. Jack Kerouac, Allen Ginsberg, Neal Cassady, William S. Burroughs).

---

* Andy Warhol

Andy Warhol i inni twórcy popartu nadali jej wymiar plastyczny. Dziś, kiedy artystyczny bunt sprzedaje się znakomicie, kiedy jest już tylko konwencją i nikt nie wierzy w jego autentyzm, pozostały tylko ikony, którymi żongluje show biznes, odświeżając i powielając znane wątki, a wszystko to ma swoją cenę.

Kultura wysoka czy popularna są dziedzinami coraz bliższymi biznesowi, ponieważ światem żądzą media elektroniczne. W przekazie medialnym artysta to idol, kultura to biznes.

Idol nie musi nic umieć, ale musi mieć fanów. Dzieło sztuki nie musi nieść głębszego przesłania, wystarczy, że miło łechce naszą skołataną duszę bądź tandetnie szokuje.

Kultura wysoka zniża się do stylu pop, popkultura popada w skrajną infantylność, ponieważ takie są preferencje masowego odbiorcy. Globalna wioska tworzy swoją kulturę, a nad nią czuwa ktoś, kto posiadł instrukcję składania gwiazd i idoli. Nie lansuje siebie, stoi w cieniu, odczuwa jedynie ogromną zawiść branży.

Nie wierzę w symbiozę kultury i biznesu, która przyniosłaby wartościowe dzieła. Dzieło rodzi się w męce i bólu, sprzyjają mu czasy rewolucji i przełomów, a nie ciepełko roztaczane przez np. biznes.

Historia polskiego jazzu potwierdza, że wysoka kultura może funkcjonować wbrew władzy, wbrew gustom większości i w finansowym niedostatku. Polski jazz trwał i rozwijał się niejako w sprzeciwie do zastanej rzeczywistości, był tchnieniem wolności w kraju zdominowanym przez socrealizm, stworzył dzieła bardzo wysokiej jakości i wydał niezwykłych twórców. Dziś, kiedy stracił magiczną otoczkę kontrkultury, jest muzyką niszową, wspieraną przez najwierniejszych fanów.

Ciągle zastanawiam się, ile było w młodzieżowym buncie lat 60. autentyzmu, niezależności, twórczej wolności? Nurtuje mnie

pytanie: dlaczego nasi idole z tamtych lat tak łatwo sprzedali się biznesowi? Mój pesymizm jest spowodowany zalewem artystycznej tandety, którą oferują nam media i dotyczy zjawisk szerszych niż codzienna rzeczywistość, którą się w gminie zajmuję.

Na co dzień dostrzegam wiele pozytywnych wzorców współpracy ludzi biznesu, kultury i edukacji. Nie do przecenienia jest mało znana, altruistyczna działalność liderów gospodarczych w finansowaniu przedsięwzięć edukacyjnych, stypendiów dla najbardziej uzdolnionych młodych ludzi. Środowiska wiejskie, jak „ bedłki jarmużu" potrzebują edukacji w jej najlepszym wymiarze.

Zjawiska, wspomniane wcześniej, rodzą się wśród ludzi wykorzenionych, którzy swoją rodzimą kulturę odrzucili w przekonaniu, że to co wiejskie, jest gorsze, nieatrakcyjne, niedzisiejsze. Przejęli wzorce, które nazwałbym kulturą przedmieścia. Jest to kultura promująca kicz, bylejakość, żerująca na poczuciu wykorzenienia i zagubienia słabo wykształconych ludzi.

Oferta edukacyjna, która powinna być adresowana do młodych ludzi zamieszkujących polską prowincję, musi być ukierunkowana na uświadomienie młodym ludziom kilku podstawowych prawd. Po pierwsze: ludzie nie są samotnie toczącymi się kamieniami. Po drugie: jesteśmy małą cząstką narodowej historii i kultury. Po trzecie: mamy swoje miejsce, swój czas i swoje dziedzictwo. Po czwarte: jesteśmy zobowiązani je kultywować. Trzeba to codziennie uświadamiać wiejskiej młodzieży.

W gminie Raczki mamy znakomite przykłady tego rodzaju działalności. Marek Kłoczko, prezes Krajowej Izby Gospodarczej, wspiera prywatnymi pieniędzmi wspomniane wyżej inicjatywy. Uważam, że jest jednym z wielu ludzi biznesu, którzy czynią to w dobrej wierze, bez medialnego rozgłosu i chwała im za to.

JACEK NAZARKO

Nie żyjemy już w „naszej chacie z kraja”...

Z pewnymi wątpliwościami przyjąłem zaproszenie na konferencję „Ludzie kultury i przedsiębiorcy – perspektywy współpracy”. Na początku pomyślałem sobie, że równie dobrze można by zorganizować podobną konferencję na temat – dajmy na to – „Ludzie kultury i strażacy – perspektywy współpracy”. W grę wchodziło także kilka innych zawodów: górnicy, rolnicy, kolejarze wąskotorowi, pielęgniarki itd. Większość takich haseł widziałem kiedyś w czasach realnego socjalizmu i poza wymową propagandową nic z nich nie wynikało.

Konferencja była udana, chociaż dyskusja przebiegała niezbyt burzliwie. Wątpliwości mimo wszystko pozostały, do chwili jednak kiedy w jednym z tygodników przeczytałem artykuł o wynikach badań socjologicznych dotyczących oceny hierarchii zawodów w Polsce. Na jej szczycie stał właśnie strażak. Pod koniec drugiej dziesiątki znaleźli się kolejno: artysta, właściciel firmy i ksiądz. Jako inżynier i przedsiębiorca, miejsce pomiędzy artystą a księdzem uznałem za wyjątkowe wyróżnienie. Ten fakt wzbudził we mnie pewną refleksję.

Dlaczego powszechna opinia ocenia nas tak skromnie? Jakie cechy sytuują daleko w rankingu artystę i przedsiębiorcę,

a jakie mają szansę to zmienić? Wydaje się, że przedstawiciele obu tych zawodów nie budzą dobrych skojarzeń w naszym społeczeństwie. To mniemanie może być przyczyną wielu niepowodzeń. Trudno nie zauważyć, że ranga zarówno kultury jak i przedsiębiorczości w społeczeństwach rozwiniętych jest nieporównywalnie wyższa niż w Polsce. Przedsiębiorczość i kultura (często popkultura) są podstawą systemu, kreują nowe wartości i przedsięwzięcia, są synonimami postępu, czerpią inspirację z otoczenia i rywalizują o należne im miejsce. Kwestia rywalizacji jest tu ważna ze względu na konieczność doskonalenia. Pomysł aktywnej i konkurencyjnej działalności niesłychanie trudno przebija się do świadomości Polaków. Bardziej pożądani są szafarze dóbr, nawet wtedy gdy te dobra są jedynie wirtualne. Tymczasem świat nie daje nam alternatywy. Im prędzej zrozumiemy, że nie żyjemy już w „naszej chacie z kraja", lecz w globalnej wiosce, tym dla nas lepiej. W tym sensie ludzie kultury i przedsiębiorcy jadą na jednym wózku. Dlatego warto wspólnie dążyć do transformacji poglądów, zarówno na kulturę jak i na biznes. Bez tej fundamentalnej zmiany nie mamy po prostu szans. I jeszcze jedno. Musimy to zrobić z uwzględnieniem zasad przyzwoitości, do której zobowiązuje nas duchowny – bliski partner z przywołanego wyżej rankingu.

Noty biograficzne

Marcin Bartnikowski jest aktorem, pedagogiem i publicystą. Ukończył studia aktorskie w białostockim Wydziale Sztuki Lalkarskiej Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie oraz filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. Współzałożyciel i aktor niezależnych profesjonalnych teatrów – Akcja DZRT i Kompania Doomsday. Organizator Przeglądu Inicjatyw Teatralnych *Białysztuk*. Autor scenografii teatralnych oraz scenariuszy, m.in. do spektaklu *Baldandersa*. Od 2005 r. pracuje jako asystent na kierunku aktorskim Wydziału Sztuki Lalkarskiej. Swoje szkice krytyczne i recenzje z zakresu literatury i teatru publikował m.in. w „Przeglądzie Humanistycznym", „Pograniczach", „Perspektywach" i „Teatrze Lalek".

Edwin Bendyk urodził się w 1965 r., publicysta i pisarz. Ukończył chemię na Uniwersytecie Warszawskim. Podczas studiów był działaczem niezależnego ruchu studenckiego. Pracował jako dziennikarz w tygodniku „Nowoczesność", w Polskiej Agencji Informacyjnej, „Życiu Warszawy" i magazynie „WWW". Obecnie jest związany z tygodnikiem „Polityka" (szef działu Internet). Publikuje także w pismach „Computerworld", „Mobile Internet", „ResPublica Nowa", „Krytyka Polityczna" i „Przegląd Polityczny". Zajmuje się problematyką cywilizacyjną i wpływem technologii na życie społeczne. Opublikował m.in.: *Zatruta studnia. Rzecz o władzy i wolności*, *Antymatrix – człowiek w labiryncie sieci.*

Roman Fiedorowicz, urodzony na Podlasiu, jest absolwentem Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie. Po studiach podjął pracę jako nauczyciel w Zespole Szkół Rolniczych w Dowspudzie, a następnie był zastępcą dyrektora Zespołu Szkół Rolniczych. W 1992 r. został wybrany na wójta gminy Raczki i pełni tę funkcję do dzisiaj. Ponadto jest prezesem Klubu Sportowego „Polonia" Raczki oraz głównym pomysłodawcą i organizatorem Festiwalu Celtyckiego w Dowspudzie.

Tadeusz Gadacz urodził się w 1955 r., filozof i religioznawca. Doktorat z filozofii uzyskał w 1984 r. na Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie (rozprawa *Wolność jednostki w filozofii G.W.F. Hegla)*. Habilitował się na tym samym uniwersytecie w 1990 r. (praca: *Wolność a odpowiedzialność. Rosenzweiga i Levinasa krytyka Heglowskiej wolności ducha)*. Był bliskim współpracownikiem ks. prof. Józefa Tischnera. W 1995 r. został wybrany na prowincjała pijarów, po przedstawieniu programu otwarcia się na zmiany posoborowe i rzeczywistość świecką. Kilka miesięcy później opuścił jednak zakon i stan duchowny. Obecnie jest profesorem i kierownikiem Katedry Filozofii Collegium Civitas w Warszawie i przewodniczącym Komitetu Nauk Filozoficznych PAN. Przez wiele lat był redaktorem *Encyklopedii Religii PWN*. Ponadto opublikował m.in. *O umiejętności życia* (2004), *Filozofia Boga w XX wieku. Od Lavelle'a do Tischnera* (2007) i przekład *Gwiazdy Odkupienia* Franza Rosenzweiga.

Ela Grzybek jest artystą plastykiem i twórczynią galerii sztuki e-la montparnasse w Białymstoku, którą prowadzi od 1993 r. Specjalizuje się w tkaninie eksperymentalnej i ubiorze unikatowym, także w stylu prêt-à-porter. Laureatka wielu krajowych i międzynarodowych wystaw, na których prezentowano jej projekty. Była kuratorem wielu wystaw, zarówno sztuki tradycyjnej, jak i awangardowej (happening, performance).

Audronis Imbrasas urodził się w 1964 r., artysta baletu, teatrolog i dziennikarz. Ukończył teatrologię w Narodowym Instytucie Sztuki – GITI w Moskwie oraz dziennikarstwo na Uniwersytecie Wileńskim. Doświadczenie zawodowe zdobywał w latach 1981–1989 jako artysta litewskiego teatru baletu i opery litewskiej. Jest autorem wielu publikacji w prasie litewskiej, zwłaszcza na temat tańca współczesnego.

Od 1995 r., jako dyrektor Centrum Informacji o Tańcu w Wilnie, był organizatorem wielu międzynarodowych projektów kulturalnych, m.in. międzynarodowego festiwalu „Nowy Taniec Bałtycki", „Projekt Nowego Tańca Litewskiego", występów teatru tanecznego „Vupertalis". Od 2002 r. kieruje drukarnią artystyczną w Wilnie. Jest członkiem Rady Ekspertów Baletu Ministerstwa Kultury Litewskiej oraz Członkiem Rady Kultury i Sztuki Litewskiej.

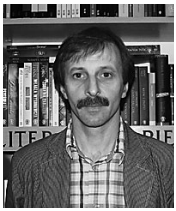

Andrzej Kalinowski – przedsiębiorca i animator kultury. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. Jest twórcą oraz współwłaścicielem księgarni i galerii „Akcent" w Białymstoku. Angażuje się w realizację programów wydawniczych, organizację wieczorów autorskich, wystaw oraz promocji czytelnictwa i sztuki współczesnej w regionie.

Bernd Kauffmann urodził się w 1944 r. w Ahaus. Po studiach dziennikarskich i prawniczych w Berlinie i Hamburgu, pracował jako adwokat i pracownik naukowy w Landtagu Dolnej Saksonii. W 1976 r. przejął kierownictwo nad referatem prasowym i działalnością w celu pozyskania życzliwości publicznej w dolnosaksońskim ministerstwie kultury. W latach 1978–1984 kierował biurem ministra, w 1984 r. został kierownikiem wydziału dolnosaksońskiego ministerstwa kultury. W 1989 r. objął funkcję sekretarza generalnego fundacji Dolnej Saksonii. W latach 1992–2001 był prezesem Fundacji Klasyki Weimarskiej i pełnomocnikiem generalnym projektu „Weimar 1999 – Europejska Stolica Kultury". W latach 1996–2000 przewodniczył radzie kultury EXPO 2000, Hannover. Od 2001 r. jest pełnomocnikiem generalnym i dyrektorem zarządzającym Centrum Schloss Neuhardenberg (zamek Neuhardenberg) i jednocześnie kieruje Fundacją Schloss Neuhardenberg.

Rafał Kasprzak jest pracownikiem naukowym Szkoły Głównej Handlowej w Katedrze Poziomu Życia i Konsumpcji. Ukończył studia Master of Business Administration w Ecole Superieure de Commerce de Rennes (Francja). Autor wielu publikacji z zakresu wdrażania funduszy strukturalnych w Polsce oraz ekonomicznych aspektów rozwoju kultury i przemysłów kultury. Jest jednocześnie doradcą i certyfikowanym trenerem z zakresu pozyskiwania środków pochodzących z funduszy strukturalnych UE oraz autorem licznych wniosków o dofinansowanie projektów.

Magdalena Kopczyńska-Zych jest menadżerem kultury, historykiem sztuki (UJ), absolwentką studiów podyplomowych z zakresu integracji europejskiej (UW) oraz studiów Master of Business Administration (University of Bradford School of Management). Specjalizuje się w dziedzinie zarządzania m.in. w zakresie pozycjonowania oferty kulturalnej oraz dywersyfikacji źródeł jej finansowania. Inicjuje i prowadzi badania w sektorze kultury. Współpracuje z uczelniami kształcącymi menadżerów kultury w Warszawie i Krakowie. Jest koordynatorem programu *Polskie regiony w europejskiej przestrzeni kulturowej,* redaktorem pisma o tym samym tytule oraz koordynatorem programu *Kurs na kulturę.* Uczestniczy jako partner w projektach Laboratory For European Cultural Cooperation oraz European Cultural Foundation: *A Cultural Component to European Union External Policies*. Jako kierownik Działu Rozwoju Kultury w Narodowym Centrum Kultury prowadzi program obchodów Europejskiego Roku Dialogu Międzykulturowego w Polsce (2008).

Grzegorz Kuczyński urodził się w 1974 r. w Białymstoku. Jest absolwentem Szkoły Strategii Marki przy Stowarzyszeniu Agencji Reklamowych w Polsce. W 2000 r. założył agencję reklamową „Departament Reklamy", którą kieruje do dzisiaj. Współpracuje z firmami na Podlasiu i w całej Polsce (AIG, Ulrich, 3M Poland, TK Development). Specjalizuje się w budowaniu strategii marek i wizerunku, w strategii komunikacji rynkowej oraz budowania trwałych relacji.

Jacek Nazarko urodził się w 1950 r. w Białymstoku. Z zawodu inżynier budownictwa, od 1982 r. jest przedsiębiorcą – współwłaścicielem białostockiej firmy budowlanej. Interesuje się kulturą okresu renesansu, w szczególności architekturą i budownictwem XVI w. Projektem jego życia stała się odbudowa zamku w Tykocinie.

Małgorzata Owczarska urodziła się 17 października1981 w Warszawie. Ukończyła Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego. Prowadziła badania dotyczące komunikacji w kulturze wsi litewskich oraz eksplorację związaną z turystyką wśród Tatarów polskich na Podlasiu. Autorka tekstów publikowanych m.in. w pracy zbiorowej *Etnografia lokalnych znaczeń* i w dodatku do „Zeszytów Regionalnych". Odbyła praktyki w organizacjach pozarządowych i kulturalnych w Polsce, Belgii i Indiach. Obecnie zajmuje się public relations oraz angażuje się w tworzenie projektu SAID (Spotkania Antropologiczne – Interdyscyplinarne Dyskusje) w ramach Polskiego Instytutu Antropologii.

Ks. Henryk Paprocki urodził się 10 grudnia 1946 r. Absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (1972). W 1978 roku ukończył Instytut św. Sergiusza w Paryżu z tytułem doktora. W 1981 roku przyjął święcenia kapłańskie. Jest autorem licznych prac z zakresu teologii prawosławnej. Pracuje w Katedrze Teologii Prawosławnej Uniwersytetu w Białymstoku i w Telewizji Polskiej, wykłada na Akademii Teatralnej w Warszawie. Jest rzecznikiem prasowym Kościoła Prawosławnego.

Opublikował m.in. *Wieczerza Mistyczna* (1988), *Teksty o Matce Bożej* (1991–1995, I–III), *Lew i mysz, czyli tajemnica człowieka. Esej o bohaterach Dostojewskiego* (1997). Tłumacz m.in. dzieł Mikołaja Bierdiajewa, Sergiusza Bułgakowa, Oliviera Clémenta, Mikołaja Łosskiego i Aleksandra Schmemanna.

Małgorzata i Krzysztof Paszko – urodzeni na Podlasiu. Absolwenci Uniwersytetu w Białymstoku (Wydział Filologiczny i Wydział Prawa). Po zakończeniu studiów kontynuują pracę naukową, odpowiednio na Wydziale Humanistycznym UwB i Kolegium Społeczno-Ekonomicznym SGH (ukończone studia doktoranckie). Zawodowo związani z Białymstokiem, są zaangażowani w działalność na rzecz rozwoju regionalnego, aktywnie działają w stowarzyszeniu Centrum Promocji Podlasia, które realizuje projekty ukierunkowane na różne sektory życia społecznego. Prowadzą własne firmy związane z różnorodnymi profilami działalności (m.in. handel, usługi edukacyjne, konsulting).

Leon Tarasewicz urodził się 14 marca 1957 w Waliłach na Podlasiu. Ukończył Liceum Plastyczne w Supraślu i malarstwo w warszawskiej ASP (pracownia Tadeusza Dominika). Obecnie jest profesorem tej uczelni. Wystawia i współpracuje z galeriami w Polsce ((m.in. Foksal, Zachęta, Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie, Arsenał w Białymstoku, Ego w Poznaniu, Biała w Lublinie) i na całym świecie (m.in. Nordenhake w Malmä, del Cavallino w Wenecji, Springer & Winkler w Berlinie). Reprezentował Polskę na 49 Biennale Sztuki w Wenecji. Jest laureatem m.in. Paszportu Polityki, Nagrody im. J. Cybisa, Nagrody Fundacji Zofii i Jerzego Nowosielskich. Otrzymał tytuł ambasadora Roku Dialogu Międzykulturowego 2008.

Agnieszka Tarasiuk urodziła się 22 maja 1971 r. w Warszawie. Artystka wizualna i animatorka kultury. Studiowała grafikę i malarstwo na Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych (dyplom 1996 r.). Jest autorką filmów wideo, audiowizualnych koncertów oraz akcji artystycznych w przestrzeni publicznej. Od 1994 r. mieszka i pracuje we wsi Kazimierowo na Białostocczyźnie. Łączy aktywność artystyczną w przestrzeni sztuki współczesnej (m.in. Narodowa Galeria Zachęta i Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie, Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia w Gdańsku, Międzynarodowe Biennale Sztuki Mediów WRO we Wrocławiu, CSW Maneż w Sankt Petersburgu, Videoformes w Clermont, Shoneiche Gallery, Berlin), z działalnością społeczną .
W 2006 r. otrzymała stypendium artystyczne Marszałka Województwa Podlaskiego. Nagrodzona w ogólnopolskim konkursie „Akcja akacja" za pracę na rzecz zmiany społecznej. Jest jednym z założycieli, a od 2006 r. prezesem Stowarzyszenia WIDOK.

Spis treści

Krzysztof Czyżewski: *Zagajenie* 3

Człowiek, duchowość, nowoczesność **15**
Ks. Henryk Paprocki: *Na rozdrożu*. 17
Tadeusz Gadacz: *O myśleniu w czasach marnych* 33
Edwin Bendyk: *Ostrzeżenie przed przyszłością*
Kilka uwag do sztuki Christopha Marthalera 52
Leon Tarasewicz: *Słony smak pieniędzy* 73

Kultura i przedsiębiorczość **79**
Magdalena Kopczyńska-Zych: *Sponsorowanie – partnerstwo*
strategiczne dla kultury. 81
Bernd Kauffmann: *Pozarządowe finansowanie kultury* 97
Audronis Imbrasas: *Wspieranie kultury przez biznes: forma promocji*
firmy czy odpowiedzialność społeczna? 117
Rafał Kasprzak: *Kierunki wpływu kultury i przemysłów kultury*
na rozwój społeczno-ekonomiczny regionów 125
Małgorzata Owczarska: *„Kulturowe intymności”*
organizowania turystyki 134

Głosy wdyskusji. **153**
Marcin Bartnikowski: *Przeciw konwencjom raz jeszcze* 155
Agnieszka Tarasiuk: *Placówka* 161
Krzysztof i Małgorzata Paszko: *Na drodze do dobrej współpracy* . . . 167
Elżbieta Grzybek: *Ludzie kultury i przedsiębiorcy*
– perspektywy współpracy. 172

Andrzej Kalinowski: *Czy przedsiębiorca jest twórcą, czy tylko odbiorcą?* 178
Grzegorz Kuczyński: *Temat, w którym niezbędny okazuje się marketing* 181
Roman Fiedorowicz: *„Zarabianie jest sztuką, praca jest sztuką, a dobry biznes jest najlepszą sztuką”* 187
Jacek Nazarko: *Nie żyjemy już w „naszej chacie z kraja”...* 190

Noty biograficzne **192**

Projekt okładki:
Krzysztof Czyżewski

Redakcja i korekta:
Dorota Rembiszewska

Wydawcy:

Urząd Marszałkowski
Województwa Podlaskiego w Białymstoku
ul. Kard. S. Wyszyńskiego 1
15-888 Białystok
www.wrotapodlasia.pl

Ośrodek „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów"
ul. J. Piłsudskiego 37
16-500 Sejny
www.pogranicze.sejny.pl

ISBN 978-83-904749-3-9

Skład komputerowy:
Norbert Hofmann, HOF service

Druk:
biały drukarnia kruk tel. 085 7404704, druk@bialykruk.com